WYDANIE ŚWIĄTECZNE

JACEK SNOPKIEWICZ POCZET PREZESÓW Z WORONICZA

Marco Politi
Kulisy wyboru Leona XIV

Krzysztof Pilawski
Tajemnicze morderstwo Edwarda Toeplitza

Wojciech Kuczok
Barwna kariera Jana Urbana

Jacek Pałkiewicz
Wakacje w tropikach

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 52 (1355)
22-28.12.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Jerzy Bralczyk

WOLĘ ROZUM NIŻ EMOCJE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

cpressa.pl b330d1edd1e

TEATR CAPITOL

Sylwester 2025/2026



UNE IDEE GENIALE

GENIALNY POMYSŁ

Autor SÉBASTIEN CASTRO

Przekład BARBARA GRZEGORZEWSKA

Reżyseria WOJCIECH ADAMCZYK



Duża Scena, g. 17:00 i 21:00

Po wieczornym spektaklu impreza do rana!

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Szukasz pomysłu na Gwiazdkowy Prezent?

VOUCHER ·TEATR CAPITOL·

Daj się porwać świątecznej magii!

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl b3301edd1e



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Kompleks Okrągłego Stołu

Czy od kogoś, kto, jak Karol Nawrocki i jego kancelaria, kosztuje polskich podatników co miesiąc ponad 800 tys. zł, nie należałoby wymagać czegoś więcej niż liczne i bezsensowne weta? Minęło pół roku tej prezydentury i wiemy już, że dla Nawrockiego naród to tylko jego wyborcy. Czyli ponad 10 mln obywateli, którzy na niego głosowali. Drugie ponad 10 mln wyborców – głosujących na Rafała Trzaskowskiego – zostało wykluczone. Podobnie jak ci, którzy do wyborów nie poszli. Wiem, że nie brakuje sympatyków takiej prezydentury, jaką Polakom funduje Nawrocki. Człowiek o skromnej wiedzy i marnych umiejętnościach, za to z ego większym od stodoły.

Coraz częściej słyszę, że to wstyd mieć takiego reprezentanta kraju. A przecież prezydent dopiero się rozpędza. Uwierzył, że cud przy urnie daje mu jakieś nadzwyczajne uprawnienia. Utwierdzają go w tym urzędnicy kancelarii z silną ekipą oddelegowaną przez Kaczyńskiego do pilnowania interesów PiS.

Są tacy, którzy dopatrują się w tym szaleństwie Nawrockiego jakiejś metody. Myślę, że wątpię, jak mówił mądry człowiek. A przeszłość, zwłaszcza tak mroczna jak prezydenta, w końcu go dopadnie.

Przed świętami wynalazek prezesa postanowił przemeblować pałac. Wyrzucił Okrągły Stół, symbol udanej transformacji ustrojowej, wzorcowej dla całego świata. Łaskawca. Wyrzucił, a mógł kazać porąbać. Albo spalić. Widać, ma kompleks na tle ludzi, którzy przy tym Stole siedzieli. Gdzie mu do Kuronia, Michnika, Bujaka czy Frasyniuka. Do tej półki nie sięga, nawet gdy stoi na palcach.

Nawrocki chyba wie, jak wtedy było? Tworzy jednak historię alternatywną. Opartą na fałszu i kłamstwach. Do niego i do jego środowiska zasada, że polityka jest służbą, jakoś nie dotarła. Będziemy im o tym przypominać. Choć wielkich nadziei na zrozumienie nie mamy.



BĄKOWSKI



Drodzy Czytelnicy!

CZYTAJCIE I WSPIERAJCIE

To dzięki Wam
wydajemy PRZEGLĄD
i kolejne książki.

Jesteśmy WSPÓLNOTĄ
ludzi, których łączą poglądy.

Podobnie myślimy
i widzimy świat.

Mamy własne zdanie.

Jesteśmy niezależni.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy o darowizny na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta

Każda wpłata ma znaczenie!

eprasa.pl b3301edd1e

W NUMERZE

KRAJ
8 Wolę rozum niż emocje
– rozmowa z prof. Jerzym Bralczykiem
13 Wrocław psuje się od prezydenta
Jacek Sutryk czuje się bezkarny
16 W sprawie szarlatanów zawodzi system
Walkę z nimi przegrywamy od 30 lat
44 Zabiegani, pędzą…
W Małopolsce pod koniec roku

MEDIA
18 Prezesi. Krótka historia TVP
Kto i jak kierował telewizją

OPINIE
22 Piotr Kimla
Koncert mocarstw

ZAGRANICA
24 Jaki jest Leon XIV?
– rozmowa z Markiem Politim
36 Święta w Białym Domu
Korespondencja z USA

ZDROWIE
28 Medycyna przyszłości to już rzeczywistość
Nowocześnie, ale czy dla wszystkich?

SPORT
32 Urban et orbi
Wreszcie właściwy selekcjoner?

HISTORIA
40 Zastrzelony przez pomyłkę
Róża Luksemburg i śmierć Edwarda Toeplitza

KULTURA
48 Teatr powinien dawać odpowiedzi
– rozmowa z Mateuszem Pakułą
52 Jubileusz Klubu Księgarza
Przy Rynku w Warszawie od 70 lat
53 Maria Pakulnis o prawdzie nie tylko w teatrze
Laureatka Nagrody Treugutta
54 Qulturalia
56 Filharmoniczne nowalijki
Testy pomysłów Filharmonii Narodowej
66 Miasto kobiet
Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej

OBSERWACJE
57 Tropikalne wakacje
Słoneczne święta, skoro nie białe

FELIETONY I KOMENTARZE
3 Jerzy Domański
Kompleks Okrągłego Stołu
31 Jan Widacki
Smutne święta narodowców
35 Andrzej Romanowski
Polska zdziecinniała
47 Andrzej Szahaj
Radość bycia z innymi
51 Roman Kurkiewicz
Bombki wojennej strategii
55 Tomasz Jastrun
Po latach
60 Wojciech Kuczok
Schron przeciwświąteczny



13
KRAJ

WROCŁAW PSUJE SIĘ OD PREZYDENTA
Jacek Sutryk czuje się bezkarny



48
KULTURA

TEATR POWINIEN DAWAĆ ODPOWIEDZI
– rozmowa z Mateuszem Pakułą



57
OBSERWACJE

TROPIKALNE WAKACJE
Słoneczne święta, skoro nie białe



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b3301edd1e

Szarlatani szaleją



Na gruncie psychologii i socjologii „bratanie się" środowisk antynaukowych z politycznymi antysystemowcami nie jest przypadkiem ani zbiorem osobliwych sympatii, lecz dość spójną konfiguracją interesów, emocji i sposobów myślenia. Zarówno antynaukowość, jak i antysystemowość budują swoją tożsamość poprzez sprzeciw wobec instytucjonalnej nowoczesności: państwa, akademii, mediów, medycyny czy struktur ponadnarodowych. Psychologicznie mamy tu do czynienia z tożsamością negatywną, w której poczucie, „kim jesteśmy", rodzi się z wyraźnego, „przeciw komu jesteśmy". Nauka instytucjonalna, ze swoim autorytetem i procedurami, pełni funkcję symbolicznego centrum władzy poznawczej, dlatego jej odrzucenie staje się odrzuceniem porządku społecznego, który ta nauka legitymizuje. (…)

Silnym spoiwem obu środowisk jest myślenie spiskowe, które psychologicznie porządkuje świat w warunkach niepewności i braku kontroli. Zarówno antynaukowcy, jak i antysystemowcy operują przekonaniem, że nic nie dzieje się przypadkiem, oficjalne wyjaśnienia są kłamstwem, a prawda jest ukryta i dostępna jedynie nielicznym „przebudzonym". Daje to poczucie wyjątkowości i moralnej wyższości, a polityka w stylu Brauna ujmuje ten schemat w ramę etyczną: jesteś po stronie dobra, bo sprzeciwiasz się fałszowi systemu. (…)

Zarówno antynaukowość, jak i radykalna antysystemowość opierają się w większym stopniu na afektach niż na argumentach. Gniew, lęk i poczucie krzywdy są znacznie skuteczniejszym paliwem niż język niepewności, statystyki i falsyfikacji, którym posługuje się nauka. Narracje polityczne oferujące proste rozróżnienie na winnych i ofiary, zdradę i prawdę bardziej przemawiają do odbiorców uzdrowicieli, guru i teorii alternatywnych niż chłodny, probabilistyczny opis rzeczywistości.

W tym sensie antynaukowość pełni konkretną funkcję polityczną. Zapewnia ugrupowaniom antysystemowym gotową, silnie zmotywowaną grupę wyborców protestu, nieufnych wobec instytucji i odpornych na fakty. Dlatego pytanie, czy konkretna postać rzeczywiście wierzy w poglądy szarlatanów, jest drugorzędne. Istotniejsze jest to, że antynaukowość i antysystemowość wyrastają z tych samych psychologicznych deficytów i spełniają te same funkcje społeczne: delegitymizują istniejący porządek i zastępują go uproszczoną, moralistyczną wizją świata.

Janusz Watut

•

Każdy, kogo w jakiś sposób dotknęła choroba nowotworowa: jego samego, kogoś w rodzinie, wśród przyjaciół, w pracy, pewnie zauważył, że chorzy na raka to potężny biznes robiony na różnych „lekach", „niezwykłych preparatach", „cudownych terapiach". Człowiek śmiertelnie chory jest gotowy zapłacić tysiące, jeśli ktoś obieca mu, że np. zjedzenie codziennie g… sprawi, że wyzdrowieje. O innych rewelacjach nie mówiąc. Ten biznes na tym bazuje i ma się świetnie.

Michał Jacek Wysocki

•

Nie ma czegoś takiego jak medycyna alternatywna. Jest medycyna konwencjonalna, komplementarna i ludowa. Poczytajcie sobie wytyczne WHO obligujące państwa członkowskie do umożliwienia swobodnych praktyk medycyny komplementarnej i ludowej.

Bartosz Ruta

Więcej na s. 16

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski



Wołodymyr Zełenski podczas wizyty w Polsce spotkał się z premierem Donaldem Tuskiem. Warszawa, 19 grudnia 2025 r.

eprasa.pl b3301edd1e

Włodzimierz Czarzasty ponownie został przewodniczącym Nowej Lewicy. Wiceprzewodniczącymi partii są: **Krzysztof Gawkowski, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Tomasz Trela, Katarzyna Kotula, Joanna Scheuring-Wielgus, Karolina Zioło-Pużuk, Anna Maria Żukowska, Aneta Złocka, Wiesław Szczepański i Dariusz Wieczorek.** Sekretarzem generalnym jest **Marcin Kulasek.**

•

Wielka Izba Trybunału Sprawiedliwości UE orzekła, że Trybunał Konstytucyjny nie jest bezstronnym i niezawisłym sądem ustanowionym zgodnie z prawem. Konsekwencją wyroku jest konieczność jak najszybszego dostosowania się do tego orzeczenia. Jeśli tak się nie stanie, grożą nam surowe kary finansowe.

•

Michał Przedlacki z TVN 24 decyzją kolegiów redakcyjnych został Dziennikarzem Roku w plebiscycie Grand Press. Nagród było wiele. Między innymi w kategorii News otrzymali je **Mariusz Gierszewski** (Radio Zet) i **Dominika Długosz** („Newsweek"). W kategorii Reportaż prasowy/internetowy nagrodzono **Ewę Raczyńską** (Onet). W kategorii Publicystyka wyróżniono **Rafała Kalukina** („Polityka"). Nagrodę im. Bohdana Tomaszewskiego otrzymał **Janusz Pindera** („Rzeczpospolita", a przez wiele lat „Sztandar Młodych"). Grand Press to największy i najważniejszy konkurs dziennikarski w Polsce. Organizowany jest przez Fundację Grand Press, bardzo sprawnie i koncyliacyjnie kierowaną przez **Weronikę Mirowską.**

•

O 50% w ciągu dwóch lat rządów Tuska wzrosła kapitalizacja spółek skarbu państwa notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych. Z 240,6 mld zł do 369,5 mld zł **(„Rzeczpospolita").**

•

Około 964 tys. z 1,5 mln Ukraińców przebywających legalnie w Polsce ma PESEL UKR, ok. 482 tys. ma pozwolenie na pobyt czasowy, a 57,7 tys. na pobyt stały.

•

Prawie 2 mln osób w Polsce ma nieuregulowane zobowiązania. Według Krajowego Rejestru Długów jest to kwota 42,8 mld zł. Najbardziej zadłużeni w miastach powiatowych są mieszkańcy Wałbrzycha, Siemianowic Śląskich, Świętochłowic, Chorzowa, Bytomia i Zabrza oraz powiatów sztumskiego, nowodworskiego i malborskiego.

•

Na ponad **300 języków** przetłumaczono najpopularniejszą kolędę na świecie, **„Cichą noc".**

•

Jeśli reprezentacja Polski wygra wiosną z Albanią, a Ukraina ze Szwecją, to na mecz z Ukrainą polecimy do Hiszpanii. Taka jest decyzja ukraińskiej federacji piłkarskiej.

•

Pierwsze komercyjne kartki bożonarodzeniowe zostały stworzone **w Londynie w 1843 r.,** a pierwszą udekorowaną choinkę widziano **w Rydze w 1510 r.**

•

Polska jest drugim w Europie, po Holandii, **eksporterem bombek choinkowych.** W 2024 r. wysłano ich w świat za 85 mln euro. Bezkonkurencyjnym potentatem na tym rynku są Chiny, z eksportem o wartości 5,5 mld euro. Także w Polsce 88% ozdób świątecznych jest z Chin.

PRZEBŁYSKI

Brednie w „Fakcie"

Głupiej się nie dało? Springerowski „Fakt" w notce o wprowadzeniu stanu wojennego podpisanej przez jakiegoś anonima (MW) ogłosił, że „Rosjanie wcale nie chcieli wchodzić".


Kłamstwa propagandy PRL

Rosjanie wcale nie chcieli wchodzić

Kulisy stanu wojennego

Springerowski nieuk powołał się na słowa ówczesnego szefa KGB Jurija Andropowa. I na gen. Mirosława Milewskiego, którego obwołał sekretarzem generalnym KC PZPR. Choć takiej funkcji nigdy nie było. Jaka gazetka, takie informacje i takie autorytety.

Może „Fakt" dla odmiany napisze o tym, na czym musi się znać. Czyli o Niemczech. Na przykład o planach wobec Polski, jakie NRD-owcy mieli w 1980 i 1981 r. Co wtedy chcieli zrobić? Którędy mieli wkroczyć do Polski? Ile było dywizji, czołgów itd.

Dla ułatwienia pracy podpowiadamy, że nawet nie trzeba umieć czytać. Wszystko jest na mapach. Są strzałki, są wykresy. Wystarczy na tekst: „Niemcy wcale nie chcieli wchodzić".



Duda (Piotr) nie chciał wolnej Wigilii

Piotr Duda, nie mylić z Andrzejem, to polityk równie charyzmatyczny jak eksprezydent. Tyle że cwańszy. Na fotelu przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ Solidarność rozsiadł się w 2010 r. I nie odpuszcza.

Minę ma zazwyczaj tak ponurą jak historia przekrętów w Solidarności. Zdarza mu się jednak żartować i powiedzieć coś śmiesznego. Na przykład to, co ogłosił w „Tygodniku Solidarność": „Zmusimy rząd do podjęcia dialogu". Duda i dialog? Oglądaliśmy to przez osiem lat rządów PiS. Jadł władzy z ręki. Bo to była ich ręka i ich władza.

Mało kto wie, że Duda był przeciwko wolnej Wigilii. „Opowiadaliśmy się za pozostawieniem dotychczasowej praktyki, pracownicy handlu pracowali w Wigilię do godz. 14". Agnieszka Dziemianowicz-Bąk nie skorzystała z jego oferty. I to ona została symbolem wolnej Wigilii.

W PZU Zdrowie jak na folwarku



Trzeba dobrego zdrowia, by czytać o skandalach w PZU Zdrowie i nie zachorować. Za rządów dojnej zmiany działo się tam jak na folwarku, który łaskawy pan przekazał swoim wiernym sługom, by jak najszybciej się wzbogacili. Aferzyści na górze, otoczeni rodzinami prawicowych patriotów, co to z niejednego pieca chleb jedli, jechali bez hamulców.

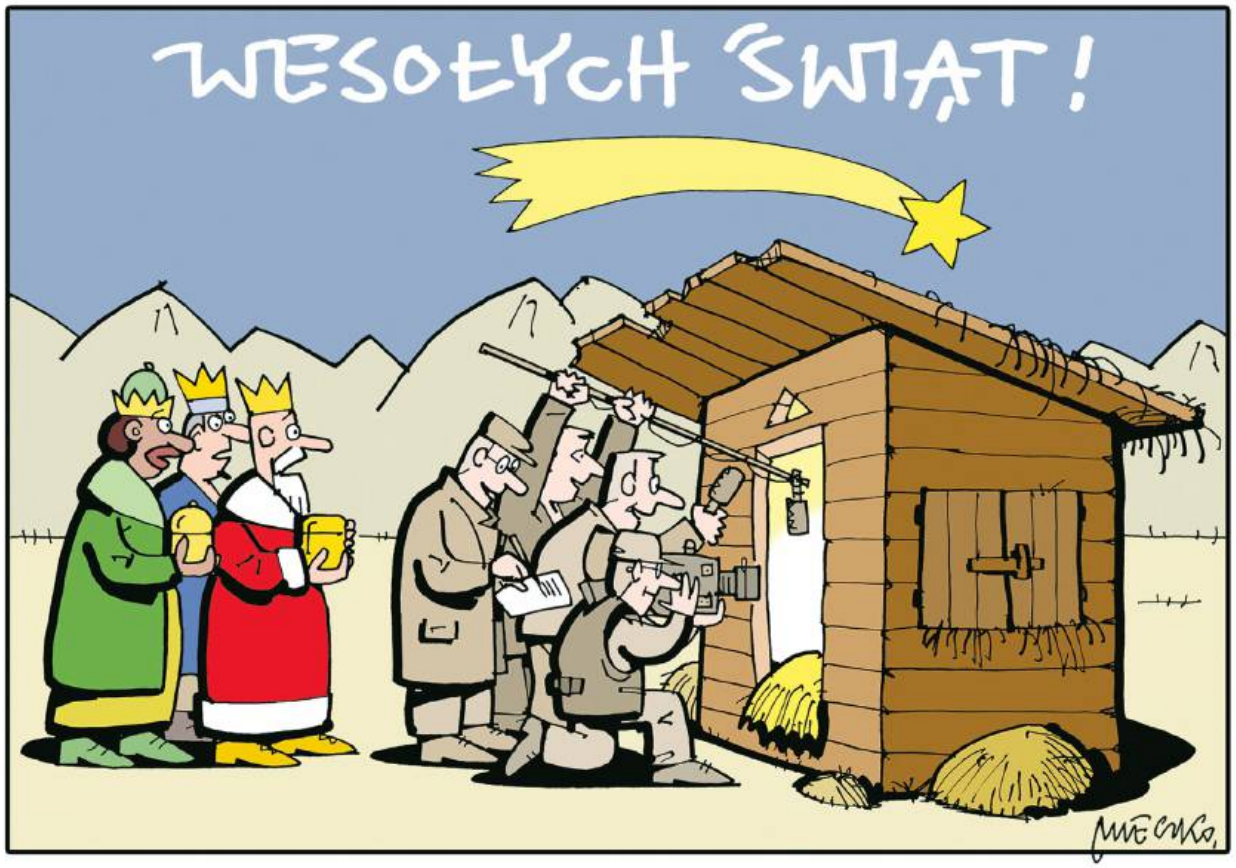
Andrzej Jaworski, prezes bardzo oddany ojcu Rydzykowi, przychodził i odchodził z PZU Zdrowie, gdy Kaczyński potrzebował poparcia Radia Maryja. Jako prezes spółki w niecałe trzy lata zarobił ponad 3 mln zł.

W PZU Zdrowie bliskich swoich współpracowników ulokował Patryk Jaki. Tłuste posady mieli tam: Magdalena Przydacz, żona ministra u prezydenta Nawrockiego, Dominika Szajnoga z Solidarnej Polski, dyrektorka gabinetu politycznego ministra zdrowia Niedzielskiego, Oliwer Kubicki, rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości, i wielu, wielu innych. Prokuratura ma co robić.

FOT. ARCHIWUM, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOU TUBE

eprasa.pl b3301edd1e

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Wigilia i Święta Bożego Narodzenia są tak ważne dla Polaków?

DR HAB. ZUZANNA GRĘBECKA,
antropolożka kultury, Instytut Kultury Polskiej, Uniwersytet Warszawski

Boże Narodzenie jest w Polsce ważne kulturowo i wspólnotowo, nie tylko dla chrześcijan. To święta głęboko rodzinne, zarówno w praktyce, jak i w samej treści opowieści o narodzinach dziecka, obecności matki i ojca oraz radości z nowego życia. Ta narracja jest bliska codziennemu doświadczeniu i łatwa do osobistego przeżywania. Dodatkowo święta zostały silnie „spolonizowane": kolędy, pastorałki, szopki i ludowe obrazy przenoszą wydarzenia biblijne w znane nam realia: śnieg, polską wieś, swojskie dary. Boże Narodzenie zostało też wpisane w historię i patriotyzm. W czasie zaborów, wojen czy stanu wojennego Wigilia symbolizowała nadzieję, wspólnotę i oczekiwanie na wolność. Stąd charakterystyczne połączenie ciepła rodzinnego, pamięci o zmarłych i refleksji narodowej. To konglomerat wyjątkowy dla polskiego przeżywania świąt.

DR HAB. MAŁGORZATA BOGUNIA-BOROWSKA,
socjolożka, kulturoznawczyni, Uniwersytet Jagielloński

Wigilia to kwintesencja polskości. To umiłowana tradycja, symbol tożsamości, piękny obyczaj i ważny czas dla ludzi wiary w narodziny Jezusa Chrystusa. To bardzo piękne i nostalgiczne święto, które obchodzone jest wyłącznie w naszym kraju. Jest bardzo polskie. Biały obrus, wolne miejsce przy stole, śnieżnobiały opłatek, postne potrawy, Pismo Święte, kolędy, choinka, pasterka i odświętne stroje podkreślają wyjątkowość zdarzenia. Polacy czują, że uczestniczą w czymś, co ich jednoczy, umacnia i daje siłę. To ważny czas przechodzenia z profanum do sacrum. A sacrum i związana z nim łaska, odświętność i specyficzny nastrój sprzyjają budzeniu w sobie dobra, otwartości, czasem głęboko ukrytej wrażliwości. Niejednemu z nas przy świątecznych życzeniach kręci się łezka w oku. To czas spotkań, życzeń i przebaczania. Jesteśmy w tym dniu trochę inni. Wierzymy, że waśnie ustaną, ludzie się pogodzą, a zatwardziałe serca zmiękną. Ufamy, że zawiesimy na kołku żale. Przełamiemy się opłatkiem z wrogami. Liczymy, że wybaczymy urazy i uzdrowimy trudne relacje.

TOMASZ SULIMA,
antropolog kultury

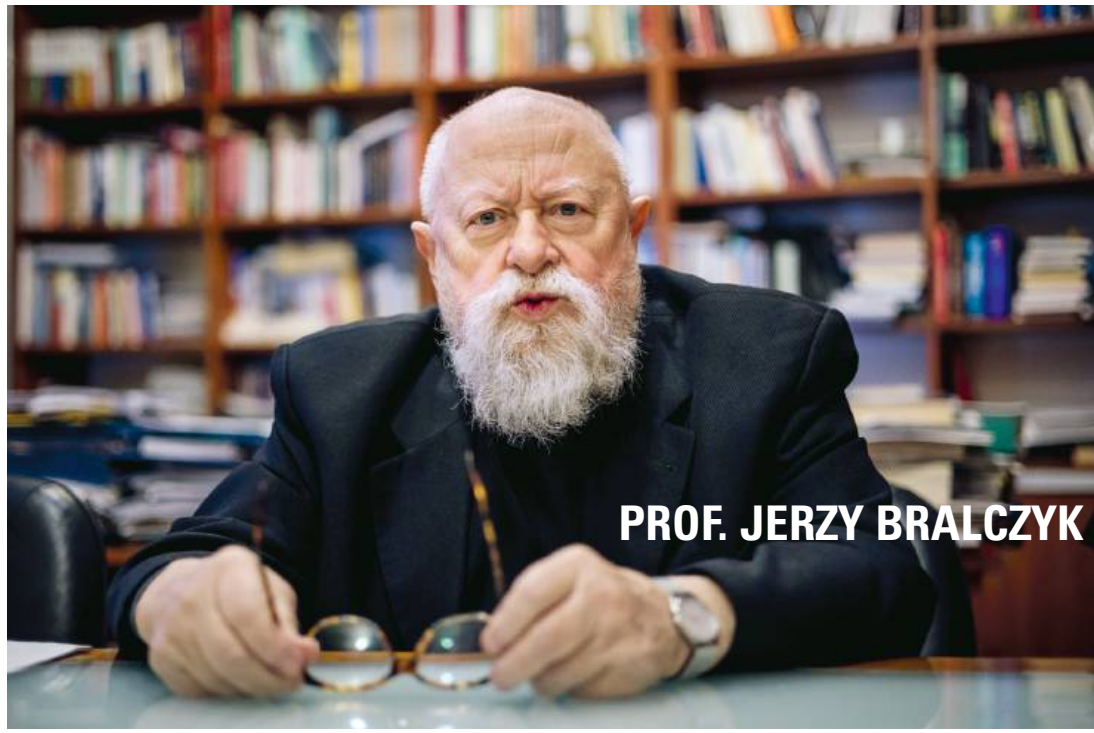
Wigilia i Boże Narodzenie to wciąż najważniejsze święta w Polsce. Łączą w sobie kwestie religijne, pewną tradycję i jak żadne inne podtrzymują więzi rodzinne. To czas przyjazdów z zagranicy i rytualnego podtrzymywania poczucia wspólnoty, gdy choć na chwilę przestajemy się spierać. Lubimy jarmarki świąteczne, wciąż chcemy wydawać pieniądze, by wręczać sobie prezenty. Sądzę, że to działa również na podświadomość, gdy dni są coraz krótsze; to czas podsumowań roku i życzeń pomyślności na nowy początek, jakim były przed wiekami narodziny Jezusa Chrystusa.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl b3301edd1e

WOLĘ ROZUM NIŻ EMOCJE

Słowa używane w obiegu politycznym znaczą często co innego, niż uczy się w szkołach. Jak prawo, sprawiedliwość



Rozmawiają Jerzy Domański i Robert Walenciak

Jak się panu żyje?

– Ostatnio miałem dziwne zdarzenie. Zadzwoniono do mnie, że jest konferencja „Kierunek Polska", i spytano, czy ja bym się nie pojawił, pomówił o języku. Pojawiłem się. Gdy tam przyjechałem, zorientowałem się, że to jest towarzystwo zdecydowanie prawicowe. Dlaczego mnie zaproszono? Okazało się, że przez „zdychającego psa".

Awanturę, która wybuchła, gdy pan powiedział, że pies zdycha, a nie umiera.

– Bardzo im się to podobało, bo to jest prawicowe i konserwatywne. Psy zdychają. Murzyni są czarni.

A ja to z poczucia zdrowego rozsądku mówiłem

Więc uznali pana za prawicowca. Za swojego.

– A ja to z poczucia zdrowego rozsądku mówiłem. Dla mnie kompletnie nieideologicznie.

O, język stał się areną boju. Ministra, ministerka, dyplomatka... Nowe szturmuje.

– Dobrze. Niech to nawet będzie. Niech panie mówią o sobie feminatywami, jeżeli bardzo chcą. Ale wolałbym, żeby to nie było ustawowe. Żeby ustawowo nie wprowadzać „osoby studenckiej" czy „osoby aktorskiej". Już tak piszą. „Osoba aktorska socjalizowana do ról męskich" – to ma być aktor. I za tym idzie ciąg dalszy – np. osoba fryzjerska czy kelnerska. Cóż mogę powiedzieć? Język lepiej się czuje, jak się w niego nie ingeruje. Tu byłbym konserwatywny, chociaż oczywiście z drugiej strony jestem przeciwko wykluczaniu wszelakiemu.

Osoby z niepełnosprawnością.

– To także brzmi dla mnie dziwnie. I myślę, że dla zainteresowanych też. Tym bardziej że eufemizacja bywa takim poklepywaniem po ramieniu, głaskaniem. Dlatego nie lubię być „seniorem". Ja jestem „stary". Niech

eprasa.pl b3301edd1e

mówią o mnie np. „staruszek", bo na starca nie wyglądam, ale staruszek jestem i do tego się przyznaję. To jest normalne określenie. A niektórzy zaraz by powiedzieli: trzeci wiek! I to już jest poklepywanie. Otóż uważam, że jeżeli traktuje się kogoś serio, to określa się też słowami serio i te słowa dobrze byłoby zachować.

Słowa takie jak „Murzyn", „zdychać" zachowałby pan?

– Tak! Bo to są normalne słowa języka polskiego, które nie muszą nieść ze sobą ani niechęci, ani nienawiści, ani niczego złego. Zostawmy je! Próbując je zastąpić czymś nowym, popadamy w śmieszność.

Eufemizacja bywa poklepywaniem po ramieniu. Dlatego nie lubię być „seniorem". Ja jestem „stary".

Rada Języka Polskiego, w której pan funkcjonuje od lat, tym się zajmuje.

– Idea była taka, żebyśmy służyli pomocą i radą, jak to rady. Żeby instytucje, oficjalne urzędy mogły zasięgać u nas opinii. A także zwykli ludzie. I zasięgają, często w błahych sprawach, np. w sprawie imion. Jedyne ustawowe umocowanie do regulowania języka mamy w sprawie ortografii, bo ortografia musi być unormowana.

1 stycznia 2026 r. wchodzą w życie nowe zasady, właściwie poprawki.

– W ogromnej mierze zgodne z intuicją przeciętnego użytkownika. Intencją rady było uproszczenie. Trochę dziwne było, że Warszawianka spod Warszawy była wielką literą pisana, a warszawianka z samej Warszawy – już małą.

A dlaczego?

– Trochę tak jak Łowiczanka, Małopolanka, Ślązaczka.

Bo z regionu?

– A jak z samego miasta, to już nie. Więc teraz, od 1 stycznia, Warszawianka, Mokotowianka będą pisane wielką literą. Poza tym są i inne zmiany, co pisać łącznie, a co oddzielnie. Zależało nam, żeby to jakoś uporządkować i ujednolicić. Żeby uwzględnić przyzwyczajenia ludzkie.

Język żyje, zmienia się. Wciąż jest wzbogacany o nowe określenia. Nawet organizuje się konkursy, by to oceniać, takie jak plebiscyt Młodzieżowe Słowo Roku.

– Nie bardzo wiadomo, czy to jest polskie młodzieżowe słowo roku, czy globalne. Wszystkie, właściwie cała finałowa piętnastka, poza „szponceniem", to były słowa amerykańskie. Kiedyś było więcej naszych, takich jak wypasiony czy wyczesany. One wprowadzały lub odświeżały znaczenia. A teraz mamy niemal tylko wprost przeniesione ze Stanów.

Może to znak czasu? Globalizacji kultury? Wpływu seriali, gier?

– Ogromna większość to są słowa związane z szybkim życiem. Takie, którymi reaguje się emocjonalnie i ocennie. „Szponcić" jest o tyle ciekawe, że jest ambiwalentne. Że może być na tak i na nie. Że coś, co jest niby niedobre, jest jednocześnie atrakcyjne. Ale to nie jest nic nowego. Mówi się: wisus czy urwis. Czyli łobuz, ale fajny. Tylko że – dodam – te młodzieżowe słowa długo nie żyją. Szponcenie zresztą jest stare. Niby z niemieckiego, ale myślę, że to przeszło przez jidysz. W „Panu Tadeuszu" był szponton, „zarazem dzida i siekiera". A szpont sam – to szpunt. „W piwnicy mnie pochowajcie, w piwnicy mi kopcie grób, a głowę mi obracajcie tam, gdzie jest od beczki szpunt, szpunt, szpunt". To się śpiewało w czasach mojej młodości.

„Szponcić" jest o tyle ciekawe, że jest ambiwalentne. Coś niby niedobre jednocześnie jest atrakcyjne.

Doceniam hipokryzję. Gorszy jest cynizm

A w dzisiejszych czasach mniej się śpiewa, za to dużo mówi o polityce.

– W polityce, o tym mówiłem wielokrotnie, są dwa rodzaje przenośni – teatr i wojna. Albo teatr, czyli udawanie – co jest niedobre, bo nieprawdziwe. Albo wojna – i to też jest niedobre. Nie wiadomo, co lepsze. Może jednak lepsze jest udawanie? Rezygnowanie z różnych swoich celów, te „zgniłe" kompromisy? Bezpieczniej jest udawać. Wiem, że to hipokryzja, ale ja doceniam hipokryzję. Gorszy jest cynizm, choć bywa atrakcyjny intelektualnie. Hipokryzja sprawia, że jednak publicznie nie chwali się rzeczy złych. Trzeba się liczyć z oceną publiczności, więc się udaje, kręci. Co tu dużo mówić, hipokrytom najbardziej zaszkodził Pan Jezus. Zwłaszcza w Kazaniu na górze, tam hipokryci zostali najsurowiej ocenieni.

Żałuje ich pan?

– Hipokryta przynajmniej ma jakąś wizję uczciwości i wartości, widzi granice, o których wie, że nie trzeba ich przekraczać. Jest obłudny i udaje. To już inna rzecz.

A wojna jest zupełnie czymś innym, prawda?

– Wojna to walka. W niej ważne jest zwycięstwo, ale i prawda. Przynajmniej własna prawda.

Pokonanie przeciwnika także prawdą.

– Owszem. Nie można przecież powiedzieć, że walczymy po to, żeby pokonać przeciwnika. Mówi się: my głosimy prawdę. Więc na sztandarach możemy umieścić prawdę. Prawda i zgoda nie są kompatybilne. Zgoda – to ustępstwo, to kompromis, to jest nawet zaniechanie starań o pełną prawdę. To jest gest: dobrze, niech tu będzie po twojemu.

Niech będzie kawałek twojej prawdy. Czyli coś oddaję, czegoś się wyrzekam.

– A przecież powinienem być gotów za to umrzeć! Dostojewski pisał, że gdyby Chrystus i prawda byli osobno, to on by był za Chrystusem. Że prawda nie jest wartością dla niego najwyższą. Dla mnie – również.

Są inne, ważniejsze wartości?

– Mnie się bardzo podoba pewna anegdota. Przed rabinem staje dwóch, którzy się kłócą. Przedstawiają mu swoje racje. I rabin mówi pierwszemu: masz rację. A potem

eprasa.pl b3301edd1e

mówi drugiemu: ty masz rację. Wtedy ktoś inny, przysłuchujący się z boku, woła: przecież oni nie mogą mieć razem racji! Na co rabin: masz rację!

I to jest podane najpiękniej, jak można… Bo racja to jest jeszcze coś innego niż prawda. I jakże trudna do zdefiniowania. A prawda? Ileż ona szkód narobiła! Zresztą nawet ci walczący za prawdę przyznawali, że ona musi boleć. Ta prawda jest trochę jak Bóg. W imię Pana Boga i w imię prawdy przecież się mordowało. I do dzisiaj ta prawda nas nie wyzwala.

Za to boli.

– Owszem, prawda musi boleć. I dlatego w imię prawdy mamy różne działania, lustrację mieliśmy, bo ona miała dać prawdę. Wszystkie religie chcą prawdy. Są różne, ale prawdy chcą, tak samo zresztą ją mają. Nawet w słowach bardzo podobnych.

Dla młodych atrakcyjna jest antyestablishmentowość. Na tym polega tajemnica sukcesu Brauna.

Czy w języku, tak jak w polityce, w nastrojach społecznych, widać przepływ na prawą stronę?

– Podstawowe słowa używane w obiegu politycznym, publicznym znaczą często co innego, niż uczy się w szkołach. Na przykład prawo, sprawiedliwość! I tak można byłoby kontynuować. Ale dzisiaj widzę, jak liberałowie i socjaliści zaczynają mówić podobnym językiem jak prawica. Wydaje im się, że jeżeli tamci coś na tym zyskali, to oni też zyskają.

A ugrają coś?

– Pamiętam pierwszą połowę lat 90. Taki moment, kiedy ówczesny Kongres Liberalno-Demokratyczny próbował iść w stronę populizmu; mówiono o równości, proponowano milion nowych miejsc pracy. Nie było to zgodne z ich wizerunkiem. I wtedy przegrali absolutnie.

Starych wyborców stracili, nowych nie zyskali.

– To była zbyt manifestacyjna dezidentyfikacja. A odejście od głównych poglądów jest łatwo dostrzegane. I daje efekt zazwyczaj negatywny. Dla młodych z kolei bardzo atrakcyjna jest antyestablishmentowość. To widzę jako tajemnicę sukcesu Brauna. Nie tyle antysemityzm czy antyukrainizm, ile antyestablishmentowość.

Idee lewicowe nie dają się łatwo wyrazić

Ale przejmowanie słów konkurencji odcina tej konkurencji prąd.

– A to zależy, kto komu odcina. Różnie to wychodzi. Pamiętam, jak pod koniec lat 70., jeszcze za Gierka, przejmowano kościelne pojęcia. Pewnie myślano, że to może na coś się przydać. Że partii pomoże. Ale nie za bardzo się przydawało.

Oto lewica w działaniu!

– Idee lewicowe nie dają się w tej chwili tak łatwo wyrazić. Był taki moment, jakieś dziesięć lat temu, kiedy zaczęło być popularne wykorzystywanie wierszy Broniewskiego. I tak pomyślałem: może tu jest jakieś miejsce, w które wciśnie się to myślenie, które jest mi bliskie, czyli, co tam ukrywać, socjalistyczne.

Panie profesorze, kto dziś się przyznaje do słowa socjalizm!

– „Lewica" zastąpiła „socjalizm". A ponieważ nie bardzo wiadomo, czym jest teraz lewica, spróbowałbym odgrzać słowo „socjalizm". Może jakiś trybun socjalistyczny nadejdzie. Będzie ściągał uwagę. Jakiś czas temu myślałem, że może Zandberg. Tak myślałem, kiedy się jako trybun pojawił. Ale potem stracił wyrazistość. Nie wiem, na ile to jego wina, a na ile wynik światowego kryzysu lewicy. Albo poszła bardzo na lewo, albo się rozpłynęła. Ostatnim wielkim przywódcą lewicy był papież Franciszek. Za swojej pierwszej starości. Dodam do niego może jeszcze Berniego Sandersa.

A w Polsce cisza. Panie profesorze, czy to nie jest jednak tchórzostwo? U nas panuje strach przed powrotem do pewnych terminów.

– Uważam, że to jest tchórzostwo, po prostu. Otóż z dziesięć lat temu w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" powiedziałem, że jestem komunistą. Ileż ja hejtu dostałem za to! Nikt nie chciał słuchać, co przez to rozumiem, o co mi chodziło. A ja myślałem o ideach, nie o tym, co spowodowało, że słowo to stało się obelgą.

Bo nie o rozum w debacie publicznej chodzi, ale o emocje. O pokrzykiwanie. To zresztą chyba widać i słychać w języku debat – że jest coraz uboższy i coraz więcej w nim emocji.

– Oczywiście! Są różne prowokacje. Są mówcy, którzy nawet specjalnie w prowokacje uciekają. Można mieć takie wrażenie, kiedy się słucha niektórych ziobrystów. Myślę zresztą, że w polityce to bywa wynik cynicznej kalkulacji. Polityk myśli tak: jestem zagończykiem, tak mnie widzą, więc tę rolę muszę grać. Niektórzy, gdy mnie usłyszą, obrażą się, skreślą mnie na zawsze. Ale innym to będzie się podobało. Więc uprawia się „szponcenie", dla niektórych jest to atrakcyjne.

Mówi jakby od niechcenia, pod nosem. Tak buduje uwagę

Gdy mówimy o wystąpieniach publicznych, Tusk jest dobrym oratorem, dobrym mówcą?

– Raczej tak.

Dlaczego tak?

– Jest przekonujący, ma na to wpływ sposób mówienia, artykulacja. Wiarygodność można budować na różne sposoby. Zwróćmy uwagę na artykulację prezesa Kaczyńskiego. On często mówi, zwłaszcza do dziennikarzy, jakby od niechcenia, pod nosem… „Przecież to jest oczywiste". A człowiek, który tak mówi, w ten sposób pokazuje właśnie, że dla niego ta oczywistość jest oczywista. Tak buduje uwagę i przekonanie, że mówi rzeczy nie do podważenia.

Tajemnice wyjawia, mamrocząc.

– A prezydent Nawrocki z kolei w przemówieniach krzyczy. Dla wielu to jest drażniące. Ale są i tacy, których krzyk przekonuje. Jednych przekonuje krzyk, drugich mruczenie.

Co jest skuteczniejsze?

– Krzyk to raczej metoda krótkoterminowa. Podobnie jak nadęty patos, z którym także mieliśmy do czynienia.

eprasa.pl b3301edd1e



Red. Robert Walenciak, prof. Jerzy Bralczyk i redaktor naczelny Jerzy Domański w redakcji „Przeglądu”.

Tusk jest mocny w tym, że gdy mówi, sprawia wrażenie, jakby skracał dystans, rozmawiał z grupą przyjaciół.

– W mówieniu najważniejsza jest wiarygodność. Wiarygodni są ci, którzy wierzą w to, co mówią. Takie wrażenie sprawia Tusk. Kiedy patrzy się na Tuska, słucha się go, można myśleć, że on naprawdę myśli to, co mówi. A innym, także jego kolegom, przychodzi to z trudnością.

A Hołowni pan wierzył? To dobry mówca?

– Niezły, szybki. Naturalnie szybki. I widać u niego pewien dystans do rzeczywistości, o której mówi. Ten dystans nie wywoływał poczucia sztuczności. Jest w takim stosunku pewien element zabawy. Często zdrowy, ciepły, ma się wrażenie, że świat tak pokazywany jest fajny. Cały Hołownia, mój magistrant przecież.

Kwaśniewski też był i jest po stronie tych, którzy mówią, że świat jest fajny i że trzeba kochać ludzi.

– Kwaśniewski… Był bardzo dobry zawsze, a teraz, poza polityką, jest jeszcze lepszy. Mówi w takim tempie, w jakim człowiek przyswaja to, co on mówi, i ma świadomość, że to nie są banały. Kwaśniewski nie jest banalny, wiarygodnie artykułuje słowa. A to jest podstawa – kiedy myślę o rzeczach, o których mówię, potrafię słowa, które wypowiadam, dobrze artykułować.

Władysław Kosiniak-Kamysz – gdy mówi: czołg, pan ten czołg widzi?

– Mówi składnie, ma duży zasób słów. W PSL jest dużo ludzi, którzy potrafią sprawnie mówić. Wyróżniłbym tu i marszałka Zgorzelskiego, i posła Hetmana, i Jarosława Kalinowskiego... Ale dobrze jest, kiedy temat, w którym się człowiek wypowiada, do niego pasuje. Tu można mieć wrażenie, że wojsko nie jest tematem, w którym prezes PSL, świetny polityk zresztą, dobrze się czuje.

> Kwaśniewski był bardzo dobry zawsze, a teraz, poza polityką, jest jeszcze lepszy.

Kobiet pan nie wymienia.

– W kobietach ceniona jest kobiecość, ale też twarda decyzyjność. Ja akurat mam pewną sympatię do mocnych kobiet. Taka była Izabella Sierakowska, taka była Alicja Grześkowiak czy Barbara Kudrycka. Taka jest Joanna Senyszyn. One potrafiły i potrafią jasno przedstawiać swój punkt widzenia.

A czy Trzaskowski jasno przedstawiał swój punkt widzenia?

– Językowo jest bardzo sprawny. Widać także jego pewną elegancję. Z drugiej strony pewne wady dostrzegam w jego mimice – podniesione i pomarszczone czoło pokazuje albo zdziwienie, albo zatroskanie. Obie te cechy nie są szczególnie dobrze postrzegane u polityka. I nie wiążą się z poczuciem sprawczości.

Sprawczość czy spójność, o której wcześniej mówiliśmy?

– Spójność wewnętrzna to podstawa. To jest umiejętność dobrego myślenia o tym, o czym w danym momencie się mówi. I dopiero na drugim etapie włącza się to, co chcemy powiedzieć, o co nam przede wszystkim chodzi.

Przydałaby nam się siła spokoju

O zgodę między Polakami!

– Wydawałoby się, że zgoda jest takim hasłem, które mogłoby nas połączyć. Ale nie jest tak do końca.

eprasa.pl b3301edd1e



Bo jako pojęcie używane w polityce za bardzo jest oklepane, nadużywane, także fałszywie. Poza tym zgoda kojarzy się ze słabością. Bo kto chce zgody? Słabszy chce zgody. „Żebyś mnie już nie bił więcej”. Tak mówi do silniejszego. A silniejszy odpowiada: „Ale ja mam przyjemność z bicia”. I bije.

Prezydent Nawrocki w przemówieniach krzyczy. Krzyk to metoda krótkoterminowa. Podobnie jak nadęty patos.

A jak jest z reprezentowaniem szarego człowieka, który przecież chce zgody?

– Ano nie zawsze. Szarzy ludzie lubią przynależeć do jakiejś grupy i w tej grupie mieć poczucie siły właśnie. A przy tym to reprezentowanie szarego człowieka jest może nie tyle skompromitowane, ile za łatwe i za bardzo oklepane. To dziś nie chwyta.

Lepiej stać z boku i narzekać?

– Bo to działa. Jest to zdumiewające, ale za chwilę zagranica będzie nas chwaliła za osiągnięcia gospodarcze, a my będziemy mieli poczucie, że jesteśmy w kryzysie.

Znaczy się, narzekactwo lepiej chwyta? To taki wyraz troski o ojczyznę?

– Taka jest polska tożsamość. Ale też, że innym się nie damy. Że robimy po swojemu. Ten element polskości jest wciąż potrzebny. Choć wolałbym, żeby nie był podkreślany tak natrętnie i podlewany bogoojczyźnianym patriotyzmem.

Czy ta polskość przybliży nas do zgody?

– Zgoda kojarzy się ze spokojem. I wydaje mi się, że jako antidotum na te wszystkie gwałtowności, wyrazistości, awantury przydałaby się nam siła spokoju. Gdyby ktoś taki się pojawił. I władza byłaby odpowiedzialna i spokojna.

Kościół odegrał rolę w mobilizacji przeciw Trzaskowskiemu? Mówiono przecież, że Trzaskowski krzyże zdejmuje.

– W Polsce polityk powinien być przyjazny wierze katolickiej, ale niekoniecznie musi być uczestniczący. Tego od nich nie wymagamy. Proszę zwrócić uwagę, nie tylko Aleksander Kwaśniewski nie był kościelny, ale Jan Olszewski też nie był kościelny. Ani jednemu, ani drugiemu to nie zaszkodziło. A przypomnę jeszcze prof. Bogusława Wolniewicza, zdeklarowanego niewierzącego, który regularnie się udzielał w Radiu Maryja. Szefowi tego radia to nie przeszkadzało. Trzaskowskiemu zaszkodziło głównie to, że przegrał w plebiscycie, w którym reprezentował establishment.

Udało się zmobilizować przeciwko establishmentowi wielu wyborców.

Zastanawiał się pan, dlaczego język jest coraz bardziej emocjonalny?

– To prawda, że jest coraz bardziej emocjonalny. Psychologowie spostrzegli i zaczęli o tym pisać, że ludzie myślą emocjonalnie. Pojawiło się określenie „inteligencja emocjonalna”. Coś, co było schowane przez dziesiątki lat, a może i przez wieki, coś, co kojarzyło się z pewną niedojrzałością, z podejmowaniem nieprzemyślanych decyzji, w których mniej rozumu, a więcej emocji, zostało zaakceptowane.

Uznane za coś naturalnego. Za normę.

– Owszem, myślimy emocjami, kierujemy się emocjami. Ale po co o tym mówić? Po co to uznawać? A uznano! Zaczęto przekonywać: dobre jest myślenie emocjami! Słuszne jest myślenie emocjami! I tak popłynęliśmy. Uważam, że to fatalny kierunek. Lepiej byłoby trzymać się zasady, że emocje gorsze, rozum lepszy. Cztery nogi dobre, dwie złe, przypomina się Orwell. A tu mamy: cztery nogi dobre, dwie lepsze. Rozum dobry, a emocje jeszcze lepsze. I tak to się toczy. I tak to się kończy. Wszystkim wszystkiego najlepszego na Święta i w Nowym Roku!

Jerzy Domański, Robert Walenciak

Prof. Jerzy Bralczyk już wkrótce dołączy do grona stałych felietonistów „Przeglądu”.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl b3301edd1e

Wrocław psuje się od prezydenta

Jackowi Sutrykowi niestraszne są oskarżenia o korupcję i oszustwa, wykruszające się zaplecze polityczne ani nawet referenda o jego odwołanie

Andrzej Sikorski

Koalicja Obywatelska, dzięki wsparciu której Jacek Sutryk został prezydentem Wrocławia, zaapelowała do włodarza miasta, aby podał się do dymisji. Ma to związek z aktem oskarżenia w sprawie afery korupcyjnej Collegium Humanum, gdzie za łapówki załatwiano dyplomy ukończenia studiów MBA. Taki dokument uprawniał do zasiadania w radach nadzorczych spółek skarbu państwa i spółek należących do samorządów.



Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk z wiceprezydent Renatą Granowską, jesienią wyrzuconą z PO za nielojalność.

Proceder przestępczy

Zdaniem prokuratury Sutryk dogadał się z Pawłem C., rektorem Collegium Humanum, że w zamian za załatwienie dyplomu MBA zatrudni go jako fikcyjnego doradcę w miejskiej spółce Wrocławski Park Technologiczny. Tak też się stało. Już dzień po podpisaniu pierwszej umowy o „doradztwo" prezydent Wrocławia otrzymał dyplom MBA. W ciągu dwóch lat Paweł C. zarobił 75 tys. zł, co było ukrytą łapówką, bo żadnej faktycznej pracy nie wykonał. Tymczasem Sutryk, mając upragniony dyplom, dostał posady w radach nadzorczych trzech spółek samorządowych: Śląskiego Centrum Logistyki w Gliwicach, Regionalnego Centrum Gospodarki Wodnej w Tychach oraz Kolei Dolnośląskich, gdzie łącznie zarobił około pół miliona złotych.

Jak to możliwe, że Sutryk dorabiał na boku, będąc jednocześnie prezydentem Wrocławia? Otóż zaprzyjaźnieni prezydenci i burmistrzowie skupieni w Związku Miast Polskich stworzyli patologiczny układ, zwany „samorządowym Erasmusem" lub akcją „stołek za stołek". Polegał on na wzajemnym upychaniu się w radach nadzorczych spółek miejskich. Za posady w spółkach na Śląsku Jacek Sutryk odwdzięczył się prezydentom Dąbrowy Górniczej, Sosnowca i Tychów: Marcin Bazylak trafił do rady nadzorczej Wrocławskich Mieszkań, Arkadiusz Chęciński do wrocławskiego zoo, Andrzej Dziuba do spółki Stadion Wrocław.

Jacek Sutryk został oskarżony o popełnienie czterech przestępstw. Oprócz zarzutu wręczenia rektorowi Collegium Humanum łapówki za dyplom MBA usłyszał też zarzuty oszustwa, bo tym w istocie było posługiwanie się fałszywym dokumentem, dzięki któremu mógł zasiadać w radach nadzorczych, za co otrzymał nienależne wynagrodzenie. Maksymalna kara, jaka grozi prezydentowi Wrocławia za popełnione przestępstwa, to 30 lat więzienia.

Choć zebrany przez prokuraturę materiał dowodowy jest mocny, Sutryk nie zamierza ustąpić ze stołka

eprasa.pl b3301edd1e

nawet pod naciskiem środowiska politycznego, które w kampanii wyborczej i potem, w rządzeniu miastem, udzieliło mu wsparcia. Stwierdził, że nie złamał prawa, „czuje się ofiarą", a swoją niewinność udowodni przed sądem. „To nie prokuratura feruje wyroki. Żyjemy w państwie prawa i to sądy decydują, czy doszło do przestępstwa. Chcę skorzystać z prawa do uczciwej obrony, które przysługuje obywatelom", mówił Sutryk w jednym z wywiadów. Wezwania KO, by podał się do dymisji, nazwał zaś „rewanżyzmem politycznym".

Prezydent Wrocławia, człowiek nie w ciemię bity, wie, że do prawomocnego wyroku droga bardzo daleka, a następne wybory odbędą się dopiero w 2029 r. Ma przed sobą jeszcze cztery lata rządów. Rezygnacja byłaby przyznaniem się do winy, a honorowa postawa jest obca polskiej klasie politycznej. Poza tym, jak wynika z oświadczenia majątkowego, Sutryk ma do spłacenia ponad 1 mln zł kredytu na zakup domu. Biorąc pod uwagę prezydenckie zarobki (prawie 315 tys. zł w 2024 r.), można uznać za wielce prawdopodobne, że do końca kadencji wywiąże się ze zobowiązań wobec banku Santander. Gdyby jednak podał się teraz do dymisji, zostałby natychmiast bankrutem, bo raczej nie znajdzie się nikt na tyle odważny, by zatrudnić gościa z zarzutami korupcji i oszustwa.

Do dwóch razy sztuka

Sutrykowi niestraszne jest też referendum w sprawie odwołania. Podchodzono do niego dwukrotnie pod szyldem stowarzyszenia SOS Wrocław. Pierwszą zbiórkę podpisów rozpoczęto w styczniu br. Co prawda, inicjatorami akcji byli radni miejscy Jakub Janas, Jakub Nowotarski i Piotr Uhle wyrzuceni z klubu KO za nielojalność w sprawie głosowania nad budżetem miasta, ale w skład komitetu referendalnego weszli przedstawiciele niemal wszystkich środowisk od lewa do prawa: narodowcy, wolnościowcy, lewicowi aktywiści i miejscy działacze społeczni.

Prezydent Wrocławia od razu przystąpił do kontrataku. „Będę robił wszystko, żeby zostali wyświetleni patroni polityczni i patroni finansowi tego działania. Już nas dochodzą głosy o tym, że stoją jakieś zorganizowane grupy, które są opłacane. Nie wiem, czy tak jest. Jeżeli tak będzie, z całą pewnością będziemy to pokazywać i ujawniać. Tak być nie może", odgrażał się Sutryk, a jego zastępczyni Renata Granowska mówiła, że za zbiórką podpisów za przeprowadzeniem referendum stoją „środowiska niebezpieczne o poglądach bardzo nacjonalistycznych".



15 stycznia 2025 r. komitet SOS Wrocław ogłosił plany zorganizowania referendum w sprawie odwołania prezydenta Sutryka z urzędu.

Jacek Sutryk został oskarżony o popełnienie czterech przestępstw.

„Od początku mówiliśmy, że w naszą sprawę angażują się środowiska, które dzieli prawie wszystko, ale łączy niechęć i sprzeciw wobec patologii we władzach miasta. To niesamowite osiągnięcie prezydenta, że zmobilizował tak różnych ludzi, którzy znaleźli wspólny język w ocenie tego", odpowiedział radny Piotr Uhle.

Na ludzi zbierających podpisy nasyłano policję za organizowanie nielegalnych zbiegowisk (sic!), w mediach społecznościowych obrzucano ich wyzwiskami i groźbami. Do skandalicznej sytuacji doszło przed miejskim aquaparkiem. Wolontariusze, którzy zbierali tam podpisy, zostali otoczeni przez ochroniarzy, a po chwili przyjechała policja. Choć funkcjonariusze nie dopatrzyli się złamania prawa, bezczelna rzeczniczka miejskiej spółki twierdziła, że aktywiści dopuścili się przestępstwa, więc zawiadomi prokuraturę.

Aby utrudnić zbiórkę podpisów, urząd miasta podłączył się pod kampanię Ministerstwa Cyfryzacji „Zastrzeż swój PESEL". Na banerach i nośnikach reklamowych w komunikacji miejskiej pojawiły się informacje dotyczące akcji, przed urzędami miejskimi zaś postawiono plansze z hasłem: „Strzeż swojego numeru PESEL – oszuści są wszędzie", co miało sugerować, że zbierający podpisy pod wnioskiem o referendum są oszustami wyłudzającymi dane osobowe. Wszystko wskazywało, że była to celowa zagrywka Sutryka. Kampania Ministerstwa Cyfryzacji trwała już od kilku miesięcy, a wrocławscy urzędnicy przystąpili do niej dopiero kilka dni po rozpoczęciu zbierania podpisów.

Zabiegi obozu prezydenckiego okazały się skuteczne. Komitetowi

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS/POLSKA PRESS/EAST NEWS, REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl b3301edd1e

SOS Wrocław nie udało się zdobyć wymaganej liczby podpisów. Przyczyniła się do tego zachowawcza postawa głównych partii. KO była podzielona co do przeprowadzenia referendum. Lewica stanęła murem za Sutrykiem, natomiast partia Jarosława Kaczyńskiego choć oficjalnie poparła inicjatywę, nie zaangażowała się w akcję referendalną.

Po raz drugi SOS Wrocław próbował zebrać podpisy w sprawie przeprowadzenia referendum jesienią. I znowu nic z tego nie wyszło.

Na samorządowym garnuszku

Oskarżenia o korupcję to niejedyne grzechy prezydenta Wrocławia. Latem 2024 r., a więc krótko po wyborach samorządowych, ujawniono pilnie strzeżone informacje dotyczące kilkunastu radnych, którzy w poprzedniej kadencji dorabiali sobie w miejskich spółkach jako „eksperci" i „doradcy". Rekordzistą okazał się Jarosław Charłampowicz z PO. Ten były asystent Grzegorza Schetyny, absolwent studiów licencjackich z zakresu politologii w nieistniejącej już prywatnej szkole wyższej AlmaMer w Warszawie, zarobił ponad 865 tys. zł w dwóch spółkach: TBS Wrocław i Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. Agata Gwadera-Urlep z PO (teraz pełnomocniczka prezydenta Wrocławia ds. zdrowia i seniorów) zarobiła ponad 725 tys. zł we Wrocławskim Centrum Treningowym Spartan i MPWiK. Natomiast Marta Kozłowska, również z PO, przytuliła prawie 600 tys. zł w dwóch spółkach: Wrocławskim Parku Wodnym i MPWiK.

Na majątku samorządowym utuczyli się też radni Lewicy, w tym Bartłomiej Ciążyński, który w trzech spółkach (Stadion Wrocław, Wrocławski Park Technologiczny oraz MPWiK) zarobił ponad 437 tys. zł. W lipcu 2024 r. Ciążyński w wyniku układów politycznych został wiceministrem sprawiedliwości za Krzysztofa Śmiszka, ale szybko podał się do dymisji, gdy wyszło na jaw, że pojechał na wakacje do Słowenii, korzystając ze służbowego samochodu i płacąc za paliwo kartą flotową Polskiego Ośrodka Rozwoju Technologii, gdzie był zastępcą dyrektora. Było to niezgodne z wewnętrznymi przepisami instytucji. Wyjątkowa chciwość (wyceniona przez prokuraturę na 4619,82 zł) zaprowadziła Ciążyńskiego na ławę oskarżonych. Za przekroczenie uprawnień i oszustwo politykowi Lewicy grozi nie tylko więzienie, ale i utrata mandatu radnego.

Dzięki hojności prezydenta Wrocławia 16 radnych PO, Nowoczesnej i Lewicy zarobiło łącznie 5 mln zł. Takie synekury były zgodne z prawem, ale etycznie niegodziwe, bo dając zarobić rajcom (którzy dostali posady w spółkach bez konkursów), Jacek Sutryk zapewniał sobie polityczne wsparcie za publiczne pieniądze.

Co ciekawe, lokalne władze Platformy Obywatelskiej, reprezentowane przez Renatę Granowską, zamiast posypać głowę popiołem i potępić naganną praktykę, stanęły w obronie samorządowców uwikłanych w korupcję polityczną. Granowska jest wiceprezydentką Wrocławia, ale jesienią wyrzucono ją z partii za nielojalność. O polityczce było głośno w kontekście finansowania przez miasto i spółki miejskie drużyny piłkarzy ręcznych Śląska Wrocław. Prezesem klubu był mąż wiceprezydentki Wojciech Granowski, również działacz PO, a właścicielem drużyny jest Stowarzyszenie Sportowe Forza, któremu prezesuje Paweł Rybczak, mąż Agnieszki Rybczak z KO (wcześniej PO), przewodniczącej wrocławskiej rady miasta. Gdy Granowskiej zarzucono sponsoringowy nepotyzm, jej mąż podał się do dymisji. Zaraz jednak lokalni aktywiści ujawnili kolejne smrody. Okazało się, że Wojciech Granowski zasiada w radzie nadzorczej spółki podległej prezydentowi Jeleniej Góry, a córka włodarza tego miasta – w radzie nadzorczej wrocławskiego zoo. Czyli powtórzył się schemat „samorządowego Erasmusa", ale tym razem z członkami rodzin samorządowców. Granowski dorabiał także w Centrum Opiekuńczo-Wychowawczym w Obornikach Śląskich, a o jego zatrudnieniu miała zdecydować Małgorzata Matusiak, starosta powiatu trzebnickiego.

Sytuacja w stolicy Dolnego Śląska wygląda tak: Jacek Sutryk czuje się bezkarny, bo nie ma godnego przeciwnika, który mógłby mu zagrozić i doprowadzić do jego odwołania. Oddolne inicjatywy to za mało, potrzebny jest lider z autorytetem. Skonfliktowana wewnętrznie wrocławska KO (część radnych wspiera skompromitowanego prezydenta) nie ma takiego fighitera, PiS i Konfederacja są zbyt słabe w mieście, by zmienić układ sił. Poza tym politycy PiS i ludzie powiązani z partią Jarosława Kaczyńskiego też są objęci zarzutami korupcyjnymi w aferze Collegium Humanum, jak np. mający silne związki z Wrocławiem Ryszard Czarnecki.

Jedyną osobą, która mogłaby rzucić rękawicę Jackowi Sutrykowi, jest Bogdan Zdrojewski, ale ten zasiada w Parlamencie Europejskim i raczej nie zrezygnuje z mandatu deputowanego na rzecz lokalnej polityki. Wszystko wskazuje na to, że Jacek Sutryk spokojnie dokończy kadencję.

Andrzej Sikorski

Kup roczną e-prenumeratę
PRZEGLĄDU
w cenie 190 zł za cały rok
Nowy numer już w każdą sobotę


Zamów do 21 grudnia
e-book
„Jak to się stało? Ameryka po wyborach"
otrzymasz GRATIS
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd

eprasa.pl b3301edd1e

W sprawie szarlatanów zawodzi system

Walkę z szemranymi uzdrowicielami przegrywamy od 30 lat



Kornel Wawrzyniak

Państwo miało okazję ograniczyć ekspansję pseudouzdrowicieli 30 lat temu. Niestety, zmarnowano tę szansę. Z inicjatywą legislacyjną istotnego ograniczenia, opodatkowania i poddania kontroli skarbowej i sanitarnej działalności różnych znachorów i szarlatanów 14 senatorów wystąpiło już w 1994 r. Pomysł popierała większość senatorów z profesorami Zbigniewem Religą i Zofią Kuratowską na czele. To oznacza, że ponad trzy dekady temu rozpoznano ten problem. Co poszło nie tak, że ostatecznie nikt z tym nic nie zrobił?

Ponadpartyjna zgoda

Inicjatywę dr. n. med. Zbigniewa Kulaka, senatora z ramienia SLD, poparło na posiedzeniu plenarnym Senatu 58 senatorów, przy zaledwie trzech głosach sprzeciwu. Można więc powiedzieć, że panowała ponadpartyjna zgoda co do podjęcia walki z problemem hochsztaplerów, którzy w latach 90. masowo pojawiali się w przestrzeni publicznej. Na początku lipca 1995 r. senator tłumaczył w Sejmie, dlaczego prawo regulujące działalność pseudouzdrowicieli jest ważne: „Jestem przekonany, że inicjatywa legislacyjna, z którą wystąpiła we wrześniu ub.r. grupa 14 senatorów, nie ma w żadnej mierze charakteru politycznego. Nie jest też wyrazem grupowego interesu środowiska lekarskiego czy – szerzej – fachowych pracowników służby zdrowia. Jej celem nadrzędnym jest ochrona interesu obywateli – byłych, aktualnych lub przyszłych pacjentów szukających fachowej pomocy w momencie potrzeby skorzystania ze świadczeń zdrowotnych określonych precyzyjnie w ustawie o zakładach opieki zdrowotnej”.

Lata 90. były czasem popularności telewizyjnych znachorów. Największym uznaniem cieszył się Zbigniew Nowak. Bioenergoterapeuta miał w Polsacie autorski program „Ręce, które leczą”. Mężczyzna twierdził, że potrafi uzdrawiać na odległość. Ludzie przykładali ręce do kineskopów. „Tylko moje dłonie są do państwa skierowane. Państwo wszyscy wyciągacie ręce i kierujecie je przed siebie. Uwaga! Zaczynamy nasz główny, potężny przekaz energetyczny”, instruował telewidzów Nowak. Nihil novi, w latach 80. na podobne sztuczki nabierał widzów rosyjski hipnotyzer Anatolij Kaszpirowski. Ale ludzie i tak wierzyli – przed telewizorami zbierały się miliony.

Najbardziej korzystali na tym lokalni uzdrowiciele, do których ustawiały się całodzienne kolejki. Miejscowe szeptuchy, pseudouzdrowiciele czy znachorzy często leczyli ludzi… surowymi jajkami. Przybierało to przeróżne formy – od rozbijania ich na głowie, przez picie surowych żółtek, po zakopywanie w ogródku za domem. W poważniejszych przypadkach w grę wchodziły również zaklęcia.

Popularność zyskiwała też wtedy chiropraktyka. „Obecnie, zgodnie z obowiązującym stanem prawnym, technik żeglugi śródlądowej, który złożył w urzędzie skarbowym oświadczenie o rozpoczęciu działalności gospodarczej w zakresie handlu obwoźnego i masaży ciała, może zamieszczać ogłoszenia prasowe reklamujące leczenie chorób kręgosłupa, dyskopatii, rwy kulszowej itd. (…) Ciągle słyszymy o pseudoleczniczych próbach rozmasowywania guzków piersi u kobiet, a przecież jedynie szybkie podjęcie leczenia operacyjnego jest szansą na uratowanie życia. Publicznie demonstruje się nam wlewanie gorącego wosku do uszu, grupowe bieganie po ogniu, proponuje się nam zabiegi akupunktury w namiocie ustawionym na stadionie”, podawał w Sejmie przykłady senator Kulak.

> Z powodu dziurawego prawa można wcisnąć ludziom dowolny specyfik i uniknąć konsekwencji.

W literaturze dotyczącej pseudouzdrawiaczy opisywano wtedy ok. 200 różnych metod paramedycznych. Oczywiście był dotyk, który leczył, tzw. odpromienianie, a wreszcie i magiczne zaklęcia czy talizmany. Wspomniany Anatolij Kaszpirowski zapewnia, że potrafi uleczyć 500 różnych chorób. Na swojej stronie internetowej twierdzi nawet, że podczas seansów potrafi leczyć problemy stomatologiczne i „stworzyć” plomby. Żadna z tych metod rzecz jasna nie służy pacjentowi, są to działania podejmowane z chęci zysku, wykorzystywanie nieszczęścia oraz nieświadomości chorych i ich rodzin.

eprasa.pl b3301edd1e

Kij we własne szprychy

Inicjatorzy nowego prawa przygotowali się pod względem merytorycznym. Biuro Studiów i Analiz Kancelarii Senatu sporządziło opracowanie pokazujące, jak inne kraje europejskie regulują kwestię szarlatanerii w swoim ustawodawstwie. W Niemczech od 1939 r. funkcjonuje ustawa o lecznictwie, która wprowadza przymus uzyskiwania przez nielekarzy zezwoleń na wykonywanie praktyk leczniczych. Senatorzy wskazywali, że we Francji, w Norwegii i Austrii uzdrowiciele nie mają w żadnej formie statusu legalności. Dodatkowo w Szwajcarii już w latach 90. obowiązywały bardzo restrykcyjne przepisy dotyczące reklamowania się przez pseudouzdrowicieli.

„W ostatnich latach nasze społeczeństwo jest w coraz większym stopniu poddawane oddziaływaniu jawnej lub ukrytej reklamy przeróżnych form tzw. niekonwencjonalnych metod leczenia", czytamy w stenogramie przemówienia dr. Zbigniewa Kulaka. W Polsce można było wtedy reklamować wkładki do butów, które miały leczyć nowotwory i AIDS.

Zresztą niewiele się zmieniło, doskonałym tego przykładem są wspominane na naszych łamach w tekście „Szarlatani szaleją" (nr 51/2025) cykliczne konferencje i targi „Czego Ci lekarz nie powie". Wystawcy sprzedają tam przeróżne uzdrawiające cuda. Moim faworytem zostały plastry do „fototerapii", które zatrzymują w człowieku jego własne wewnętrzne światło, mające go uleczyć.

Z powodu dziurawego prawa można wcisnąć ludziom dowolny specyfik i uniknąć konsekwencji. Wystarczy wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno mówić. Najlepszy przykład to DMSO. Płyn sprzedawany jest w brązowych butelkach przypominających te od syropu. W środowisku medycyny alternatywnej twierdzi się, że to ukrywany przez lekarzy lek na raka i różne stany zapalne. Sprawę zbadała organizacja Demagog zajmująca się fact-checkingiem. „Dimetylosulfotlenek (DSMO) nie jest lekiem o niezwykłych właściwościach: nie widnieje w wykazie produktów leczniczych dopuszczonych do obrotu w Polsce. W swoim głównym przeznaczeniu jest natomiast rozpuszczalnikiem przeznaczonym m.in. do usuwania farb i lakierów", piszą specjaliści z Demagoga. Wystarczy jednak, że sprzedawcy będą oferować DMSO nie jako lek, tylko jako rozpuszczalnik. Nikt też nie broni sprzedawać żelu do smarowania skóry, który oprócz aloesu ma w składzie 50-procentowy roztwór DMSO, prawda?

Czy doczekamy się regulacji?

30 lat temu problem był rozpoznany. Panowała ponadpartyjna zgoda co do szkodliwości praktyk pseudoleczniczych. Co mogło pójść nie tak? Na posiedzeniu sejmowej Komisji Zdrowia pojawili się przedstawiciele Naczelnej Izby Lekarskiej. Jej ówczesny prezes miał stwierdzić, że inicjatywa jest zbędna, ponieważ za moment parlament będzie uchwalał reformę systemu opieki zdrowotnej i w obliczu tych zmian żadna kasa chorych nie podpisze umowy z pseudouzdrowicielami. Po takiej deklaracji Sejm odrzucił inicjatywę. I był to ogromny błąd. Kwestia pseudouzdrowicieli nie została od tego czasu w żaden sposób uregulowana. Przez te wszystkie lata rósł zaś rynek dla medycyny alternatywnej i wszelkiej maści szarlatanerii.

Praktyka pokazała, że żadne kasy chorych czy dzisiejszy NFZ nie są szarlatanom do niczego potrzebne. Państwo zostawiło ogromną dziurę w regulacjach prawnych, a oni z niej korzystają. Można powiedzieć, że kolejne ekipy od ponad 30 lat przymykają oko na rosnących w siłę pseudouzdrowicieli. Dziś są oni dużo liczniejszą grupą, która doskonale się zorganizowała, szczególnie w ostatnich pięciu-dziesięciu latach. Zarabiają przy tym miliony i pozostają bezkarni, żerując na słabości i desperacji chorych. Brzmi to jak dystopijna wizja rodem z prozy Philipa K. Dicka. Ale zauważmy – doszliśmy do momentu, gdy szarlatani i pseudouzdrowiciele są zapraszani do Sejmu RP na posiedzenia Komisji Zdrowia. Są pewną częścią politycznego teatrzyku.

Nadzieję może dawać inicjatywa rzecznika praw pacjenta, który chce wlepiać nawet półmilionowe kary szarlatanom. Istnieje jednak spore prawdopodobieństwo, że któryś z ważniejszych graczy na scenie politycznej wyrzuci ten projekt do kosza. Mogą to być zarówno koalicjanci, jak i opozycja, prezydent Nawrocki czy premier Tusk. Gra nie toczy się bowiem o zdrowie i życie pacjentów, odwodzonych od prawdziwych terapii na rzecz picia rozpuszczalnika czy brania suplementów. To rozgrywka o sympatię kolejnej grupy wyborców.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl b3301edd1e

PREZESI
Krótka historia TVP

Część 1.

Czytając tę historię, można odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego dziś TVP bankrutuje programowo i traci widownię

Jacek Snopkiewicz

Poznałem ich przez lata prawie wszystkich. Jedni przyjmowali, drudzy wyrzucali, czasami wkurzony sam odchodziłem. Zestaw postaci jak w salonie figur woskowych, od ludzi mądrych i uczciwych po sprzedajne typy. Czytając tę historię, można odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego dziś TVP bankrutuje programowo i traci widownię. Dlaczego w takim kształcie nie ma przyszłości. Warto spojrzeć prawdzie w oczy i zobaczyć, kiedy miała najlepszy okres i powstawały programy emitowane do dzisiaj. Ciąg dalszy tej historii łączy jedno: poniewieranie pracownikami, niszczenie pamięci korporacyjnej i egoizm grup przejmujących władzę. Za prezesury Jacka Kurskiego w 2022 r. miał miejsce jubileusz 70-lecia firmy. Na antenach przelewały się kłamliwe programy, wycięto ludzi, którzy przez lata ją tworzyli: artystów, dziennikarzy, operatorów, realizatorów, montażystów i kierowników produkcji. Pozbawianie pracowników ich historii i tożsamości to specjalność politycznych hochsztaplerów. Dla wielu, którzy poświęcili życie zawodowe telewizji, było to nikczemne. Tak powstał w internecie ruch „Telewizja Polska – to my". Warto poczytać wpisy.

JERZY PAŃSKI

lata 50. do 1962 r.

Nie wiadomo, kto był pierwszym prezesem, bo była telewizja, ale nie było prezesa. To zapomniany wariant, który pojawi się ponownie na końcu tej historii. Na początku telewizją kierowali inżynierowie i nikt się nie wtrącał w pokazy techniczne. Prezes Jerzy Pański pojawił się w strukturach radiofonii jako dyrektor programowy telewizji. Na radiu znał się lepiej niż jego przełożony Włodzimierz Sokorski, obaj nie znali się na telewizji. Pański odbudowywał Polskie Radio, był wydawcą w Czytelniku, zarządzał teatrami, na dodatek znał języki i był tłumaczem. Myśleli z Sokorskim jak w radiu, bo telewizję nazywano radiem z lufcikiem. Radio było potęgą, wszystko, co dobre i złe, tam się zaczyna: chamska propaganda w wykonaniu komentatorki Wandy Odolskiej (stalowy głos, język nienawiści, wskazywanie wrogów), jakże pięknie kontynuowana przez ekipę Kurskiego, ale też rozrywka i przeboje śpiewane przez Koterbską, np. „Karuzela, karuzela", transmisje sportowe z Wyścigu Pokoju czy boksu oraz sprawozdawcy – Witold Dobrowolski i Bohdan Tomaszewski. Do tego powieść radiowa, czyli telenowela „Matysiakowie" wyludniająca co tydzień ulice.

Telewizja zaczynała skromnie. Skromnie, ale czujnie. Pański zwolnił jedną osobę. Pierwsza spikerka – miła, drobna pani z radia, „Misia", jak do niej mówiono – zamiast powiedzieć z malutkiego studia o zakończeniu dni przyjaźni polsko-radzieckiej, użyła skrótu myślowego: „Skończyła się przyjaźń polsko-radziecka". Dalszego ciągu na szczęście nie było, tak jak w przypadku pomyłki korektorskiej w gazecie: „Umarł towarzysz Sralin".

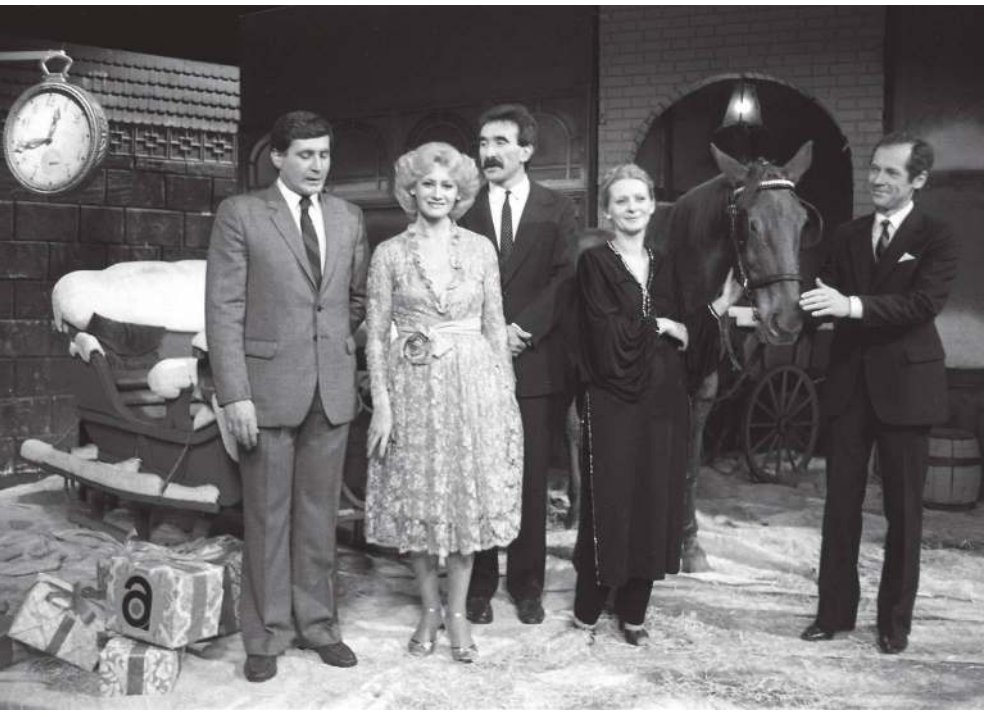
WŁODZIMIERZ SOKORSKI

1960-1972

Radiofonia połączyła się z telewizją w Radiokomitet. To już nie były przelewki. „Wuj chłodek", różnie czytany, nadawał się do tej roboty, był obyty w kulturze i w wojsku. Polityk słaby, dobrotliwy, może dlatego był ministrem kultury za Bieruta. Brr... Nikogo nie zwalniał, tylko przyjmował po znajomości, tępił w Radiokomitecie pijaków, choć sam nie wylewał za kołnierz. Prezes rozkwitu telewizji, nikt mu tego nie odbierze, nawet Bronisław Wildstein w swoich programach. Za jego czasów pojawił się zawód spikera wybieranego w konkursie. Tak objawili się Eugeniusz Pach, archeolog z zawodu, czy Jan Suzin, architekt po politechnice.

Co raz to odkrywano nowe możliwości telewizji. Marian Marzyński przeprowadził na żywo transmisję z obrony słynnego mostu w Wyszogrodzie, atakowanego co roku przez krę. Był to najdłuższy most drewniany

eprasa.pl b3301edd1e



Spikerzy (od lewej) Marek Gajewski, Krystyna Loska i Jerzy Jakubowski w studiu telewizyjnym podczas nagrania życzeń z okazji świąt Bożego Narodzenia. Warszawa, 1982 r.

w Europie, obiekt dumy narodowej. Ale Sokorski zamiast orderu dostał łomot od partii za pokazywanie katastrofy. Marzyński miał rękę do telewizji, upierał się przy programach na żywo. Wprowadził na antenę widowisko „Turniej miast" – autentyczne zmagania małych społeczności, kto jest lepszy. Program ma sens do dzisiaj, można przecież wyobrazić sobie zmagania Podlasia z Podkarpaciem.

Towarzysze z wojska naciskali, aby nakręcić serial o bitwie pod Lenino. Prezes był jednak uczestnikiem tej smutnej bitwy i wykręcił się „Czterema pancernymi" oraz „Stawką większą niż życie". To seriale nieprawdziwe, ale godne. Do dzisiaj stanowią filary programu, choć są zdejmowane z anteny przez ekipę „pampersów", o której później.

Pamiętny „Kabaret Starszych Panów" o przemijającej elegancji i kulturze mógł zakończyć karierę prezesa. Telewizja zadrżała w posadach, kiedy w programie wystąpiła Kalina Jędrusik w głębokim dekolcie i z krzyżykiem. Zobaczył TO sekretarz Gomułka. Wybuchła afera, jakiej później nie było przez lata. Tym bardziej że całe Biuro Polityczne znało słabość „Włodka" do kobiet. Do historii też przeszedł, ale jako przypadek niesprawdzalny, wybryk aktora Bronisława Pawlika mówiącego głosem Misia z okienka po zakończeniu przedstawienia, przy niewyłączonym mikrofonie. Pawlik miał już dosyć misia i powiedział szczerze: „A teraz, drogie dzieci, pocałujcie misia w dupę. Idę na wódkę". Może to była metafora? Albo i nie.

W Teatrze Telewizji występowała elita aktorów. Sztuka „Mistrz" napisana specjalnie dla TVP to arcydzieło telewizyjne z wielką rolą Janusza Warneckiego. I tak dalej, gdzie tylko spojrzeć, tam rosło, bo właśnie za czasów Sokorskiego na polach z kartoflami wybudowano Woronicza.

Uwielbiał Edytę Wojtczak, bał się Ireny Dziedzic z „Tele-Echa". Miał opinię nie tylko kobieciarza, ale i gawędziarza. Lubiany jak dobry wujek. Jednak nie przez premiera Jaroszewicza, który też był w wojsku oficerem politycznym, w tym samym czasie co „Włodek". Sokorski musiał odejść. Na stare lata redagował całkiem ciekawy jak na PRL „Miesięcznik Literacki".

MACIEJ SZCZEPAŃSKI

1972-sierpień 1980

Prezes dwunożny. Człowiek Gierka. Dla jednych „krwawy Maciek", dla drugich budowniczy nowoczesnej telewizji. Zapamiętany z propagandy sukcesu polegającej – jak tłumaczył pracownikom – na wbijaniu gwoździ w deskę. Nie tylko Maryla Rodowicz śpiewała z socjalistyczną energią na budowie Huty Katowice.

Na jednej nodze stał „Dziennik Telewizyjny". Kierownikiem tego organu był Stanisław Cześnin, prezenter z zawodu; chodził do dobrego fryzjera. Prezes nie mógł mu podskoczyć, bo to on miał codzienne kontakty z Komitetem Centralnym. Ale nie tylko. Na etatach dziennikarskich pracowali oficerowie SB, wszyscy o tym wiedzieli. Jeden z nich w randze pułkownika wypisał się z resortu,

> Nie wiadomo, kto był pierwszym prezesem, bo była telewizja, ale nie było prezesa.

ściślej z Departamentu I, dopiero w kwietniu 1990 r. Na drugiej nodze opierała się cała gromada wybitnych twórców i reporterów. Od Macieja Szumowskiego po Olgę Lipińską, od Mariusza Waltera do Jerzego Ambroziewicza. Od „Studia 2" do Teatru Telewizji. Do tego seriale, by wymienić „Noce i dnie", „07 zgłoś się", „Polskie drogi" czy emitowany tuż przed dymisją Szczepańskiego najlepszy polski serial, „Kariera Nikodema Dyzmy". Bez aluzji, Szczepański nie był Dyzmą jak kilku jego następców.

Za jego czasów rozkwitali Krystyna Loska i Wicherek (Czesław Nowicki) od pogody. Tego wyrzucił za fake newsa o żyjącej osobie z wypadku, która niestety zmarła dzień wcześniej. Jest także wersja, że nadawał na Cześnina. Stąd przydomek „krwawy Maciek", bo kto miałby odwagę zdjąć z wizji gwiazdora zapowiadającego w ponury dzień 1 maja słoneczną pogodę.

Dobrze płacił artystom, dawał kasę na programy kulturalne. Tolerował reportaż, np. „Polskę zza siódmej miedzy" Macieja Szumowskiego, i „Studio 2" Mariusza

eprasa.pl b3301edd1e

Waltera. „Studio” było rewelacją jak na owe czasy, z występem Abby na żywo, ale niestety z playbacku. Abba to oddech Zachodu i wolności. À propos oddechu, zespół przywiózł samolotem Edward Mikołajczyk. Pewnego dnia na montażu pokazywał Szczepańskiemu jakiś program i jak to w jego zwyczaju wyraził nieopatrznie sąd o oddechu prezesa: „O, panie prezesie, na śledziku się było!”. Rzecz jasna, w pracy, bo gdzie. Mikołajczyka wybronił Tomasz Hopfer, do którego prezes miał słabość. Hopfer to największa postać tamtej telewizji, dziennikarz sportowy, osobowość i wdzięk medialny. Wszyscy go kochali za prowadzenia studia w czasie piłkarskich mistrzostw świata.

Szczepański miał dryg menedżera prywatnej telewizji. Rozwijał różne biznesy, w tym pozatelewizyjne: a to tuczarnię świń do stołówki, a to hodowlę królików. Również przychodnię zdrowia, rehabilitację, wczasy. No, panisko. Niestety, jak nie szło w kraju, czuł się odpowiedzialny i zwoływał nagle zebrania. Winda na IX piętro się



Wręczenie corocznych nagród Komitetu do spraw Radia i Telewizji. W 1980 r. wyróżnienie z rąk przewodniczącego Radiokomitetu Macieja Szczepańskiego odebrał Czesław Niemen.

zatykała, dyrektorzy, gwiazdy, kierownicy wspinali się po schodach ile tchu w piersiach, aby tylko się nie spóźnić. Nie cierpiał tego. W sali konferencyjnej wyszydzał jakiś program, rzucał nazwiskami, po czym wychodził bez słowa. W sali zostawała tylko Irena Dziedzic kiwająca głową jak w transie.

Najwięcej uwag i pretensji do telewizji miał premier Jaroszewicz, no bo czasy ciężkie się robiły, z kartkami na cukier. Szczepański uważał Jaroszewicza za usta towarzysza Gierka i spełniał wszystkie jego życzenia. Miał władzę nieograniczoną, wszyscy o tym wiedzieli i po prostu się bali. Nie było zmiłuj.

W sierpniu 1980 r. na zebraniu w redakcji „Dziennika Telewizyjnego” pierwszy skoczył mu do gardła korespondent Andrzej Bilik. Skoczył, bo musiał, taki był plan. Drugą osobą była tak lubiana przez widzów Halina Miroszowa, matczyna publicystka. Powiedziała, co wszyscy myśleli, ale nie wiedziała, co jest grane. Po rachitycznym procesie, jako człowiek Gierka, Szczepański znalazł się na Rakowieckiej. Bilik robił nadal karierę w TVP, nawet startował na posła w 1989 r., zajeżdżając służbowego poloneza 2000 metalik.

JÓZEF BARECKI

1980, krótko

Prezes na jeden miesiąc, naczelny „Trybuny Ludu”. Miał gasić w firmie pożary w postaci protestów, buntów, postulatów i deklaracji. Nie wiedział jednak, kto jest kto, gdzie są sikawki, nie poradził sobie.

ZDZISŁAW BALICKI

trochę dłużej, do lipca 1981

Prezes „Zdzicho”. Zagubiony sekretarz z Wrocławia, który o nominacji dowiedział się na dworcu, wezwany do KC. Wiedział, że nic nie wie. Zapraszał do gabinetu i przechodził na ty, mówiąc: „Mów mi Zdzichu”. Oczywiście lubiany. Nie miał nic do powiedzenia, nie wiedział, jak podejść do Solidarności, struktur poziomych i SDP. Próbował rozmawiać, nie wyrzucał, nie groził, bał się strajku w TVP i paraliżu. Dzięki temu część programów wyrwała się spod kontroli i cenzury. „Niedobrze”, powtarzał. Na swój sposób to piękny okres, bo jedyny, kiedy pracownicy skutecznie się stawiali. Nikt już o nich nie pamięta, a zasłużyli na popiersia, np. Stefan Truszczyński, reporter ze „Studia 2”, czy satyryk Marcin Wolski z Polskiego Radia. Czarne owce z egzekutywy partyjnej Radiokomitetu. No i Marta Piszczatowska – taran z Solidarności, jak dzisiejsza Barbara Bilińska z Rady Programowej.

WŁADYSŁAW LORANC

do 1982

Prezes duchowy. Ideolog partyjny, prawdziwy marksista z parciem na szkło. Wygłaszał pogadanki „Proste pytania”, widzowie pytali jednak o co innego. Popierał telewizyjny beton ze Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald” czy klubu Warszawa 80. Władza wyczekiwała, nie wchodziła ostro do środka, pilnowała tylko „Dziennika Telewizyjnego” z bieżącą publicystyką. Rządził sekretarz KC Stefan Olszowski.

Sytuacja się zagęszczała i w kraju, i w Radiokomitecie. Zapis tej historii można znaleźć dziś w archiwach. SB kontrolowała sytuację, wykryła dwie groźne dwulicowe grupy towarzyskie. „Harcerzy” zajmujących się w telewizji dziećmi i edukacją (Jerzy Wunderlich, Maciej Zimiński) i „tenisistów” spiskujących na korcie (Walter, Ambroziewicz, Krzysztof Wojna, operator Zbigniew Proszowski). W nocy przerwano program. Przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego 13 grudnia nadawano z bunkra na Żwirki i Wigury. Rządzili komisarze wojskowi z płk. Korczakiem na czele. Wycinali programy z nieprawymi nazwiskami, ale film o Korczaku był powtarzany, ponieważ myśleli, że ma coś wspólnego z pułkownikiem.

FOT. PAP/MACIEJ BELINA BRZOZOWSKI (2), PAP/CAF

eprasa.pl b3301edd1e



Bożena Walter, Tomasz Hopfer i Edward Mikołajczyk, czyli ekipa słynnego „Studia 2".

Odpowiedzialni za kulturę, jak wcześniej minister Józef Tejchma czy wówczas Jerzy Bajdor, znali jednak granice rozsądku.

MIROSŁAW WOJCIECHOWSKI

do lipca 1986

Kolejny pułkownik, ale tajny, z Interpressu. Rządził twardą ręka. Początkowo twierdził, że dziennikarzem może być nawet stróż nocny. Owszem, jako stróże pracowali wyrzuceni z firmy. Program funkcjonował na oparach. Życie toczyło się jednak nadal. Telewizja miała monopol i przyciągała młodych wbrew opiniom prezesa. W radiu i telewizji pojawiało się nowe pokolenie: Wojciech Reszczyński, Sławomir Zieliński, Monika Olejnik, Katarzyna Dowbor, Waldemar Milewicz, Dariusz Szpakowski… Tak się układały polskie losy.

Prezes Loranc nie spał spokojnie, informowano, że „izoluje aktyw zaangażowany przez wojskowych do programu". Miał rację, bo nawet dziś te wojskowe kawałki propagandowe są lepsze od filmów Barei. Ponosi odpowiedzialność za brutalną weryfikację. W komisjach zasiadali również pracownicy TVP, bardzo znani. Wyrzucali kolegów, często w ramach porachunków osobistych. Mroczność, pełno mundurów. Na murach: „Telewizja kłamie".

JERZY BAJDOR

do marca 1983

Prezes chory, na zwolnieniach lekarskich, przyjmował w klinice rządowej. Człowiek od kultury i filmu. Z innej bajki. Za jego czasów podejmowano próby totalnej rewolucji programowej. Rozważano produkcję wieloodcinkowego serialu „Nowe pokolenie". Bohaterem miał być Staszek Ruczaj pochodzący z rodziny robotników rolnych. Wybitnie zdolny, ale nie mógł rozwinąć talentu, bo działały mafie zawodowe, syjonistyczne i burżuazyjne. Dla patriotów nie było miejsca. Dopiero po wstąpieniu do klubu Warszawa 80 może skutecznie działać i robić porządki w kraju. Z zawodu Staszek był albo reżyserem niedopuszczanym do robienia filmów, albo oficerem SB walczącym z deformacjami socjalizmu.

JANUSZ ROSZKOWSKI

do kwietnia 1989

Prezes z PAP, nic nie robił, i słusznie. Uważany za liberała. Za jego czasów grała jedenastka rozwojowa, już bez wstydu o wynik. Grażyna Bukowska, Karol Sawicki, Wojciech Mann, Katarzyna Dowbor, Andrzej Turski, Marek Sierocki, Elżbieta Jaworowicz, Bronisław Cieślak (Wisła Kraków), Bogusław Wołoszański, Aleksandra Jakubowska i w ataku Marek Barański (zdjęty z boiska w 1989 r.).

JERZY URBAN

1989

Prezes przez kilka miesięcy, słynny w USA rzecznik rządu, który przesyłał bezdomnym z Nowego Jorku śpiwory. Rządził telewizją już podczas Okrągłego Stołu, negocjując z Adamem Michnikiem dostęp Solidarności do TVP. W końcu się zgodził na jeden programik. Uważał, że jedynym człowiekiem, który nadaje się na prezesa, jest Mariusz Walter. Ale ten był już w biznesie. Urban nie miał innego pomysłu, wiedział, że to koniec. Nawet nie wygłaszał na ekranie pogadanek jak Loranc, choć miał dobre pióro felietonisty. Odszedł, powiedziawszy: „Chromolę". Wkrótce założył tygodnik „Nie" i został milionerem.

Jacek Snopkiewicz

Jacek Snopkiewicz – w telewizji od 1972 r. Otrzymał Złoty Ekran za program reporterski „Blisko i daleko". W PRL wyrzucany tylko dwukrotnie, bo w III RP trzy razy. W 1989 r. pierwszy redaktor „Wiadomości". Programami informacyjnymi kierował również podczas wielkiej powodzi, wizyty papieża i katastrofy smoleńskiej. Zajmował różne stanowiska i zna każdy kąt TVP. Przez wiele lat był dyrektorem Akademii Telewizyjnej, wprowadził do telewizji publicznej kodeks zasad etycznych. Od lat pracuje w Szkole Filmowej w Łodzi. Pisze książki dokumentalne i zna się na archiwach. Szefuje Stowarzyszeniu Ludzi Mediów „Woronicza 17".

Za tydzień druga część pocztu prezesów, a w niej: Andrzej Drawicz, Marian Terlecki, Janusz Zaorski, Zbigniew Romaszewski, Wiesław Walendziak, Ryszard Miazek, Robert Kwiatkowski, Jan Dworak, Bronisław Wildstein, Andrzej Urbański, Piotr Farfał, Bogusław Szwedo, Tomasz Szatkowski…

eprasa.pl b3301edd1e

Koncert mocarstw

Czy Europa przed I wojną światową nie była spleciona mocnymi więzami ekonomicznymi?

Piotr Kimla

Stało się. Wraz z nową strategią bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych ostatecznie żegnamy liberalny porządek zbudowany na prawie międzynarodowym i międzynarodowych instytucjach. A prawo to było w zasadzie podyktowane przez USA i służyło interesom USA. Dlatego amerykańscy realiści, tacy jak znany czytelnikom „Przeglądu" Stephen M. Walt, chwytają się za głowę, obserwując Donalda Trumpa i jego rozbrat z dotychczasowym porządkiem instytucjonalno-prawnym, w obrębie którego funkcjonowały powojenne stosunki międzynarodowe. Ten rozbrat nie jest, rzecz jasna, dobrą wiadomością dla małych i średnich państw. To wiadomość groźna, może zatrważająca. W polityce międzynarodowej prawo stwarza przestrzeń ochronną przede wszystkim dla podmiotów małych i średnich. Do pewnego stopnia zrównuje wielkich i małych, a w każdym razie jest wędzidłem dla woluntaryzmu wielkich. Istnienie prawa i jego poszanowanie stwarza państwom przewidywalne warunki działania.

Naturalnie w kraju takim jak nasz, to znaczy o niskiej kulturze prawnej i niskiej świadomości prawnej, to wszystko może brzmieć jak frazesy. Czy szanujący się Polak pomyśli kiedy o dobroczynności prawa, o korzyściach, jakie czerpie z istnienia reguł? Począwszy od reguł ruchu drogowego. Czy przyjdzie mu do zanarchizowanej głowy, że dotychczas pokonał i jeszcze pokona tysiące kilometrów bezkolizyjnie i z dużą prędkością i że zawdzięcza to kodeksowi drogowemu? Jak przypuszczam, ten hipotetyczny Polak uważa, że zawdzięcza to wszystko sobie – swoim wybitnym umiejętnościom prowadzenia samochodu.

To, co napisałem na wstępie o dobroczynności prawa, nie jest krótkim manifestem politycznego romantyzmu i naiwności. Wielcy oczywiście naruszali prawo międzynarodowe i panoszyli się w instytucjach powołanych do działania na rzecz wspólnego dobra wszystkich zrzeszonych w nich państw. Ale naruszali to prawo w zasadzie wtedy, gdy w grę wchodziły ich wielkie interesy. Żadne państwo i żadne mocarstwo nie chciało mieć przyklejonej łatki podmiotu permanentnie łamiącego prawo.

> Z tego, że zostaną wydzielone strefy wpływów i światem będzie zarządzać kilka mocarstw, nie wynika, że zafundujemy mu długotrwały pokój.

Wiarygodność jest kapitałem nie tylko w biznesie, lecz także w polityce. Kiedy jakieś państwo faktycznie naruszało prawo, czuło się w obowiązku przekonać swoją i zagraniczną opinię publiczną, że tak naprawdę go nie narusza. Już sama konieczność zbudowania w miarę wiarygodnego uzasadnienia dla łamania prawa działała powściągająco. Państwo skrzywdzone naruszaniem prawa przez inny, silniejszy podmiot miało do czego się odwołać, gdy zmieniła się polityczna konstelacja i silniejszy osłabł. Mogło liczyć na jakąś formę sprawiedliwości. Prawo międzynarodowe nie fundowało pełni sprawiedliwości, bo żadne prawo tego nie zapewnia, ale czyniło, mimo wszelkich zastrzeżeń, świat sprawiedliwszym i bezpieczniejszym.

Słyszę od uczonych kolegów, że nowa „doktryna Trumpa" ma tę dobrą stronę, że wyraża pogodzenie się Amerykanów z realiami. To znaczy porzucenie przez nich mrzonek o pozycji światowego hegemona. Ścisłe to nie jest. Świadomość, że jest „zbyt wiele wody w morzach i oceanach", aby mogła ona być kontrolowana przez jedno państwo, narastała pośród amerykańskich elit politycznych oraz w świecie akademickim od dawna. W zasadzie od katastrofalnej interwencji w Iraku, w której Polska także wzięła udział jako halabardnik Amerykanów. Właśnie iracka katastrofa poważnie nadwerężyła potęgę Ameryki. Postawiła jej dominację pod znakiem zapytania. W „Przeglądzie" wskazywał to amerykański realista Justin Logan (27 marca 2023). O tym, że Ameryka winna zadowalać się pozycją regionalnego hegemona i nic ponadto, mówił inny realista, John Mearsheimer, 11 lat temu w słynnym wykładzie „Can China Rise Peacefully?" (zob. youtube.com/watch?v=0DMn4PmiDeQ).

Słyszę dalej argument wagi najcięższej, mianowicie, że odejście od porządku opartego na prawie ku koncertowi mocarstw pozwoli uniknąć kosmicznej katastrofy, jaką dla świata byłoby starcie USA z Chinami. Również nie jest to ścisłe. Naturalnie, gdyby to była prawda, należałoby temu celowi poświęcić interesy małych i średnich państw. Ale z faktu, że zostaną wydzielone strefy wpływów i światem będzie zarządzać kilka wielkich mocarstw, nie wynika automatycznie, że zafundujemy mu długotrwały pokój. Argument ten nawiązuje, rzecz jasna, do wytworzonej w XIX w. równowagi sił pomiędzy mocarstwami, która zaowocowała dłuższym okresem pokoju.

eprasa.pl b3301edd1e



Donald Trump i Xi Jinping przed dwustronnym spotkaniem w Korei Południowej. Pusan, 30 października 2025 r.

Do wytworzenia i utrzymywania równowagi sił potrzeba jednak mózgów mężów stanu na miarę Metternicha czy Castlereagha. Czy podejrzewamy prezydenta Trumpa, że jest nowym wcieleniem Metternicha albo Castlereagha? Jak wypada obecny amerykański prezydent chlapiący, co mu ślina na język przyniesie, na tle Metternicha przekonanego, że „niczego konkretnego nie da się ustalić za pomocą słów, które przy bliższym zbadaniu rozpływają się w powietrzu"?

Nie mamy zatem żadnych gwarancji, że wielkie mocarstwa nie wezmą się za łby, nawet jeśli zgodzą się na pierwotny podział świata na strefy wpływów. Oczywistym zaś kosztem tego podziału jest odrzucenie porządku traktatowego i instytucjonalnego. Zdemolowanie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Spotęgowanie ryzyka prowadzenia przez wielkich tzw. wojen zastępczych i generalnie wzrost użycia przemocy nie tylko werbalnej, lecz także fizycznej. Dominującym uczuciem, jakie mają państwa w systemie międzynarodowym, jest strach przed innymi. Tego strachu nie usuwa prawo międzynarodowe ani cały porządek instytucjonalny. Może nieco go ograniczają.

Jednak w świecie bezprawia i bezładu instytucjonalnego tego strachu będzie jeszcze więcej. Zmusi on wszystkich do wyciągnięcia jedynego nieco uspokajającego wniosku, mianowicie, że trzeba się zbroić. Przejście zatem do koncertu mocarstw oznaczać będzie gwałtowny wyścig zbrojeń w wymiarze broni konwencjonalnej, atomowej oraz w nowych technologiach wojennych zdominowanych przez AI. Nie muszę się rozpisywać, ile to będzie kosztowało i jak zaważy na rozwoju ludzkości.

Słyszę jeszcze, że dobrą stroną „doktryny Trumpa" jest dezideologizacja polityki międzynarodowej. Amerykanie odchodzą od liberalnej narracji „czynienia świata bezpiecznym dla demokracji", która prowadziła do stygmatyzowania krajów niedemokratycznych jako – jak mówi wybitny krakowski filozof Piotr Bartula – odrażających moralnie, szpetnych estetycznie i szkodliwych ekonomicznie. Odchodzą generalnie od presji ideologicznej, od narzucania innym państwom świadomości liberalno-demokratycznej. Odchodzą od (najczęściej nieudanych) prób kształtowania innych krajów na swój obraz i podobieństwo. I to ścisłe nie jest. Wycofanie narracji liberalno-demokratycznej nie oznacza próżni ideologicznej. Nie oznacza pozostawienia przez Amerykę innych państw w spokoju. Połajanki, jakie słyszy Europa Zachodnia, zarzuty wielowymiarowego lewackiego dekadentyzmu to przecież nic innego jak prawicowy, a może skrajnie prawicowy manifest tradycjonalizmu albo reakcjonizmu.

Słyszałem przez lata od mądrzejszych od siebie koleżanek i kolegów, że z uwagi na sieć powiązań gospodarczych wytworzonych w „globalnej wiosce" i generalnie w dobie globalizacji nie jest możliwy powrót do znanych nam z historii wojen między państwami narodowymi. Jednak ponownie – tym razem na naszych oczach – okazuje się, że jeśli na jednej szali położymy ekonomię, a na drugiej politykę, to polityka zawsze przeważa. Czy Europa przed I wojną światową nie była spleciona mocnymi więzami ekonomicznymi?

Prof. dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT.WHITE HOUSE PHOTO /DANIEL TOROK

eprasa.pl b3301edd1e

Jaki jest Leon XIV?

Skończyły się czasy, gdy papież mógł decydować sam. Liczą się układy sił w Kościele

Rozmawia
Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Dla wielu obserwatorów wybór Leona XIV był niespodzianką. Co się działo przed konklawe?

– Konklawe odbyło się po dziesięciu latach wojny domowej w Kościele katolickim, wywołanej przez środowiska ultrakonserwatywne po synodach o rodzinie, kiedy papież Franciszek w swoim posynodalnym dokumencie *Amoris laetitia* zdecydował się dopuścić do komunii rozwiedzionych żyjących w ponownych związkach. To właśnie podczas dwóch synodów o rodzinie, w latach 2014 i 2015, zaczęli się organizować kardynałowie o poglądach konserwatywnych. W obronie tradycyjnej rodziny zebrano 800 tys. podpisów – inicjatywę inspirował amerykański kardynał Raymond Leo Burke – a setki biskupów przyłączyły się do akcji. Później pojawiły się książki, organizowano kongresy i konferencje na ten temat. Ostatecznie Kolegium Kardynalskie wystosowało do papieża list, w którym przedstawiono wątpliwości natury teologicznej. Wśród sygnatariuszy były także osobistości pierwszego planu, jak kard. Carlo Caffarra we Włoszech, były arcybiskup Bolonii, postać o dużym znaczeniu, czy też kard. Joachim Meisner w Niemczech, również należący do czołowych hierarchów. A za tymi, którzy występowali publicznie, stało wielu innych myślących podobnie jak konserwatyści.

Pisał pan o tym w ostatniej książce „Niedokończone. Dziedzictwo Franciszka i walka o jego sukcesję". Była to bardzo zaciekła wojna...



MARCO POLITI
– watykanista

– Przez te dziesięć lat grupy ultrakonserwatywne dodatkowo wzmacniało wykorzystanie mediów: ataki i polemiki odbijały się echem na całym świecie. Tego nie było jeszcze za czasów Jana Pawła II ani Pawła VI. W kilkutysięcznym umbryjskim miasteczku pewnego dnia sąsiadka przyniosła mi nagranie z nagraniem wideo abp. Viganò, byłego nuncjusza w Stanach Zjednoczonych, niezwykle ostrego wobec Franciszka. Jego zarzuty nie ograniczały się do odejścia od tradycyjnej linii doktrynalnej. Sam abp Viganò, dziś ekskomunikowany, twierdził nawet, że Bergoglio jest sługą Szatana i został wybrany w sposób nieprawidłowy. Tego nie było w czasach Wojtyły, który rządził Kościołem bez sieci mediów społecznościowych – za ich pośrednictwem każda wypowiedź natychmiast dociera na wszystkie kontynenty.

Dlatego podczas majowego konklawe obawiano się, że skrzydło ultrakonserwatywne będzie bardzo silne, już wtedy było jasne, że dysponuje ono ok. 30% głosów.

Wśród wymienianych kandydatów nie było Prevosta, a faworytami byli Włosi, nie Amerykanie. Co się stało za zamkniętymi drzwiami kaplicy Sykstyńskiej?

– Na konklawe ultrakonserwatyści nie zdołali przeciągnąć na swoją stronę umiarkowanego centrum, także tych umiarkowanych, którzy mieli zastrzeżenia do niektórych decyzji papieża Franciszka. Ultrakonserwatyści nie mieli charyzmatycznego kandydata. Dysponowali kandydatem wysokiej klasy, bo kard. Péter Erdő z Budapesztu, były przewodniczący Rady Konferencji Episkopatów Europy, to znakomity kanonista, jednak nie potrafił zdobyć szerszego poparcia, co było widać już w pierwszym głosowaniu. Był też inny silny kandydat, bardziej umiarkowany mediator, kard. Pietro Parolin.

Potem pojawiła się niespodzianka – na pewno dla kardynałów amerykańskich – w postaci Roberta Francisa Prevosta. Istniała zasada, że nie wybiera się papieża spośród kardynałów pochodzących z supermocarstwa. W minionych wiekach Włochów wybierano właśnie dlatego, że nie byli Hiszpanami, Francuzami ani przedstawicielami Cesarstwa Niemieckiego.

eprasa.pl b3301edd1e

Jakie czynniki osobiste, duchowe lub geopolityczne przekonały kardynałów, by zwrócić się właśnie ku niemu?

– Osobowość Prevosta zauważono podczas debat poprzedzających konklawe. W czasie przygotowań do niego pełnił on określone funkcje, a jego uprzejmy, delikatny, a zarazem stanowczy sposób bycia mógł ostatecznie przekonać elektorów.

Wybór kandydata ultrakonserwatywnego oznaczałby zerwanie z reformami wprowadzanymi przez Franciszka i de facto ich osądzenie. Tymczasem to przede wszystkim kardynałowie z globalnego Południa nie chcieli, aby wobec Franciszka toczył się swoisty proces. Kard. Gerhard Ludwig Müller sformułował trzy główne punkty konfliktu, dotyczące relacji z islamem, osób homoseksualnych oraz roli kobiet w Kościele. Globalne Południe sprzeciwiło się jednak zarówno rozliczaniu pontyfikatu Franciszka, jak i powrotowi do stanu sprzed jego reform, zwłaszcza w odniesieniu do internacjonalizacji Kościoła. Po napięciach ostatnich lat pojawiała się wprawdzie tendencja, by sięgnąć po to, co Włosi nazywają *l'usato sicuro* – sprawdzone rozwiązanie, czyli ponownie wybrać kardynała włoskiego lub europejskiego o globalnej wizji Kościoła. Ostatecznie większość w krótkim czasie zdecydowała się kontynuować drogę międzynarodową.

Po papieżu polskim, niemieckim i południowoamerykańskim przyszedł czas na papieża północnoamerykańskiego, silnie związanego z Ameryką Południową, zwłaszcza z Peru. W pewnym sensie jest to więc papież dwóch światów – umiarkowany i konsekwentnie kontynuujący linię reform zapoczątkowanych przez Bergoglia.

Jakie najważniejsze gesty symboliczne wykonał Leon XIV w pierwszych miesiącach pontyfikatu? W jakim stopniu będzie kontynuował pontyfikat Franciszka, a gdzie dostrzega pan brak ciągłości?

– Kardynałowie chcieli z jednej strony stopniowo kontynuować politykę reform Franciszka, z drugiej jednak mieli świadomość, że konieczne jest wzmocnienie samej kurii. Dlatego Prevost, zwracając się do Kolegium Kardynalskiego, powiedział: „Papieże przemijają, kuria pozostaje". To sygnał, że dla papieża Leona ważne jest również wzmocnienie wymiaru instytucjonalnego: sprawienie, by kuria watykańska dobrze funkcjonowała, ale też wsłuchiwanie się w opinie kardynałów z całego świata. Zresztą już na początku stycznia odbędzie się nadzwyczajny konsystorz – specjalne zgromadzenie wszystkich kardynałów świata poświęcone problemom Kościoła dzisiaj. To istotny element pontyfikatu Leona.

Drugą sprawą była chęć przezwyciężenia polaryzacji, czyli zakończenia „wojny domowej" w Kościele. Papież wykonał konkretne gesty, także po to, by uspokoić ultrakonserwatystów. Na przykład kard. Robert Sarah z Gwinei, który z papieżem emerytem Josephem Ratzingerem ostro sprzeciwiał się możliwości wyświęcania żonatych diakonów na kapłanów w Amazonii, został wyznaczony przez Prevosta na papieskiego delegata na uroczystości upamiętniające objawienia maryjne we Francji. Kard. Raymond Leo Burke otrzymał zgodę na celebrację tradycyjnej mszy łacińskiej w sercu Watykanu, czyli w Bazylice św. Piotra – tak jak to czynił co roku ruch tradycjonalistyczny, zanim papież Franciszek odebrał taką możliwość. To drugi gest pojednania. Trzeci był gest podczas wizyty papieża Prevosta w Turcji: nie modlił się on w Błękitnym Meczecie, lecz ograniczył się do wizyty o charakterze kulturowym. To drobne, ale znaczące sygnały.

Są jednak kwestie fundamentalne.

– Ważne jest to, że Prevost odrzucił już zgłoszoną przez konserwatystów prośbę o cofnięcie się w całej sprawie osób homoseksualnych. W swojej pierwszej książce-wywiadzie papież powiedział, że błogosławieństwo par jednopłciowych będzie kontynuowane, choć nie w formie zrytualizowanej – dokładnie tak, jak zapowiadał Franciszek. Natomiast wyraźne wyhamowanie nastąpiło w kwestii diakonatu kobiet. Ale trzeba zaznaczyć, że ten hamulec został włączony jeszcze przez Franciszka, który zdecydował, że na ostatnim synodzie o synodalności temat diakonatu kobiet nie będzie już poruszany. Nie jest to więc kwestia skreślona przez Prevosta, raczej odłożona na później.

Na majowym konklawe obawiano się, że skrzydło ultrakonserwatywne będzie bardzo silne, bo dysponowało ok. 30% głosów.

Bardzo znaczące jest tu użycie słów i niuansów w pierwszym wywiadzie książkowym z amerykańską dziennikarką Elise Ann Allen: „Nie mam zamiaru na razie zmieniać nauczania Kościoła". Zwróćmy uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, „nie mam zamiaru" – czyli to kwestia jego woli; po drugie, „na razie" sugeruje, że może nadejść bardziej sprzyjający moment. Trzeba też pamiętać, że skończyły się czasy, gdy papież mógł decydować sam, jak monarcha absolutny. Liczą się układy sił wewnątrz Kościoła, a w sprawie kapłaństwa kobiet Kościół jest głęboko podzielony. Większość sprzeciwia się diakonatowi kobiet. Nie ma jeszcze większości po stronie reformatorów, dlatego temat pozostaje w zawieszeniu.

A co z kwestiami społecznymi?

Marco Politi – włoski dziennikarz i pisarz, od 50 lat śledzi historię oraz politykę Watykanu. Biograf trzech papieży. Autor bestsellerów „Jego Świątobliwość. Jan Paweł II i nieznana historia naszych czasów" (napisany razem z Carlem Bernsteinem) i „Joseph Ratzinger. Kryzys papiestwa" oraz licznych książek, w tym trylogii poświęconej papieżowi Franciszkowi. Publikował na łamach „Il Messaggero", „La Repubblica", „Il Fatto Quotidiano". Przez sześć lat, w okresie od Gorbaczowa do Jelcyna, był korespondentem w Moskwie.

eprasa.pl b3301edd1e

– Cała społeczna linia papieża Franciszka – a także wcześniejszych papieży, począwszy od Jana Pawła II – dotycząca równości, walki z wyzyskiem i obrony praw, jest kontynuowana. Leon XIV wypowiedział się bardzo jasno w obronie godności migrantów, zwłaszcza w odniesieniu do decyzji rządu amerykańskiego. Chce też się zmierzyć z jednym z najważniejszych i najaktualniejszych tematów współczesności: sztuczną inteligencją. Jak Leon XIII podjął problem kapitalizmu, tak on chce poświęcić osobny dokument kwestii sztucznej inteligencji, a więc obronie godności osoby ludzkiej wobec rewolucji AI.

z dużą jasnością przesunął punkt ciężkości na postulat, który należy do warunków stawianych przez Zełenskiego i tzw. koalicję chętnych: zawieszenie broni przed rozpoczęciem negocjacji pokojowych. To konkretne żądanie, którego nie ma ani w planach Trumpa, ani w propozycjach rosyjskich. Jest ono charakterystyczne właśnie dla inicjatywy Zełenskiego. Prevost wielokrotnie mówił o konieczności zawieszenia broni i podkreślał potrzebę udziału Europy w negocjacjach.

Rodzi to jednak pytania o przyszłą politykę międzynarodową Stolicy Apostolskiej, ponieważ globalne

Leon XIV nie jest osobowością charyzmatyczną jak Jan Paweł II czy Franciszek.

Amerykański papież przywitał się z wiernymi słowami „Pokój wam wszystkim!”. Prevost kontynuuje pokojowe wysiłki Franciszka, ale jego słowa mają inny odcień, zwłaszcza w stosunku do Ukrainy. Jak ułoży swoje relacje z Trumpem, bo to papież, który w pewnym sensie jest „antytrumpowski”, przynajmniej częściowo?

– W jednej z rozmów prywatnych powiedział, że jako papież nie będzie nigdy stawał w kontrze do amerykańskiego prezydenta i to stanowisko jest zrozumiałe. Jednak Amerykańska Konferencja Episkopatu, która nie należy do skrzydła progresywnego i ma raczej profil centroprawicowy, opublikowała mocny dokument w obronie sprawiedliwej polityki wobec migrantów i potępiający wszelkie postawy niegodne. To jasny sygnał. Sam Prevost, rozmawiając z dziennikarzami, powiedział wprost: „Jak można być pro-life, a jednocześnie mieć tak bezduszne podejście do migrantów albo popierać karę śmierci?”. Pod tym względem jego stanowisko jest jednoznaczne.

Co już teraz rzuca się w oczy w kwestiach polityki zagranicznej?

– W polityce zagranicznej wyraźnie widać zmianę akcentów, jeśli chodzi o konflikt rosyjsko-ukraiński. Prevost nie tylko powtarza słowa Franciszka o męczeństwie Ukrainy, ale również Południe jest bardzo wyczulone na to, co postrzega jako podwójne standardy moralne. Mówi się – i słusznie – o reparacjach, o tym, że Rosja powinna zapłacić za odbudowę Ukrainy, lecz globalne Południe pamięta, że nikt nigdy nie mówił o amerykańskich reparacjach za atak na Irak i zniszczenia dokonane wbrew wszelkim zasadom prawa międzynarodowego. Dlatego Leon XIV będzie musiał precyzyjnie wyważać uwagę także wobec tej części świata, która domaga się równych zasad dla wszystkich.

A jak amerykański papież zachowa się w stosunku do Izraela? Relacje między Franciszkiem a rządem izraelskim były trudne.

– W odniesieniu do Bliskiego Wschodu Leon XIV potwierdza tradycyjną linię Stolicy Apostolskiej: dwa narody, dwa państwa. Jednocześnie widoczna jest jego wola, by nie urażać psychologicznie Izraela. Dostrzeżono, że podczas pierwszej pielgrzymki apostolskiej na Bliski Wschód mówił o rozwiązaniu dwupaństwowym wyłącznie w rozmowie z dziennikarzami na pokładzie samolotu. Nie padło to publicznie podczas żadnego oficjalnego wydarzenia. Dyplomaci oraz politycy regionu wyraźnie to zauważyli.

Czego możemy się spodziewać po Leonie XIV?

– Wiele osób wciąż pyta, jaki właściwie jest ten papież, co pokazuje, że do szerokiej opinii publicznej przesłania wychwytywane przez dziennikarzy, polityków czy wyspecjalizowanych obserwatorów, którzy czytają dokumenty i teksty, docierają tylko częściowo. Prevost nie jest osobowością charyzmatyczną jak Jan Paweł II czy Franciszek. Nie ma tych krótkich, mocnych sformułowań ani nagłych gestów, które u Franciszka stawały się hasłami trafiającymi natychmiast do masowej świadomości. Jest osobą refleksyjną, delikatną, a zarazem stanowczą – prawdziwym człowiekiem od rządzenia, dla którego ważne jest też wzmocnienie instytucji Kościoła katolickiego. Kontynuuje linię reform i otwarcia na świat oraz dialogu, poprzez Ewangelię, ale nie leżą w jego temperamencie „fajerwerki”, co cechowało innych papieży.

Czy Prevost zarysował już własną agendę polityczną lub kościelną? Na jakich zagadnieniach się skupił: reformie kurii, dyplomacji, kwestiach moralnych?

– Musi jeszcze zbudować własną kurię, a więc własny sposób rządzenia. Już teraz widać, że pierwszym jego posunięciem będzie przeprowadzenie tego ważnego spotkania kardynałów z całego świata, które odbędzie się na początku stycznia w Watykanie. Po nim stopniowo zacznie tworzyć swoją kurię, czyli własny rząd. Jednym z problemów pontyfikatu Franciszka było to, że niemal cała kuria była nominowana przez Benedykta XVI, który wciąż żył. Franciszek po objęciu pontyfikatu nie chciał nikogo urazić, odsuwając osoby wybrane przez Ratzingera, poza nielicznymi przeciwnikami, takimi jak kard. Burke, odsunięty dopiero po pięciu latach.

Leon XIV już podjął pierwsze decyzje, które zaskoczyły. Na przykład zmienił prefekta Dykasterii ds. Biskupów, wybierając abp. Filippa Iannonego, który objął urząd 15 października 2025 r., zastępując samego papieża, który wcześniej pełnił tę funkcję. To pierwsza tak znacząca nominacja Leona XIV w kurii rzymskiej, dokonana po jego wyborze w maju br. Iannone jest kanonistą. Wielu

eprasa.pl b3301edd1e



To papież dwóch światów – umiarkowany i konsekwentnie kontynuujący linię reform Franciszka.

dziwiło się, dlaczego Prevost nie wybrał kardynała o doświadczeniu podobnym do własnego, z bogatą praktyką duszpasterską w różnych częściach świata. Wybór kanonisty oznacza jednak, że papież chce dobrze uporządkować nominacje biskupie na całym świecie. To pokazuje, że zamierza spokojnie i systematycznie budować nową kurię, odpowiadającą jego pragnieniu wzmocnienia instytucji przy jednoczesnym kontynuowaniu reform.

Śmierć jednego papieża i wybór drugiego w Roku Jubileuszowym to rzadkie wydarzenie w historii. Ten rok w pewnym sensie sprawił, że papież jeszcze nie zdążył w pełni się zaprezentować.

– Tak. Leon XIV musiał doprowadzić do końca ten szczególny rok, zainaugurowany przez Franciszka. Trzeba więc poczekać, aż odsłoni kolejne karty, choć już teraz podjął jedną bardzo ważną decyzję strategiczną. Franciszek jeszcze podczas pobytu w szpitalu Gemelli ogłosił projekt trzech lat pracy Kościoła powszechnego nad wdrażaniem ustaleń światowego synodu o synodalności. Wśród tych zadań były trzy kluczowe punkty.

Po pierwsze, wprowadzenie w całym Kościele systemu rad – takich, jakie są znane we Włoszech czy w Ameryce Północnej, czyli diecezjalnych rad duszpasterskich, które w wielu częściach świata, także w krajach globalnego Południa, nie funkcjonują w sposób uporządkowany. Chodzi o realne wzmocnienie udziału świeckich w życiu Kościoła.

Po drugie, powierzenie kobietom realnych stanowisk władzy i odpowiedzialności – nie tylko jako sile pomocniczej, lecz jako sile kierowniczej. To również linia, którą Leon XIV zamierza kontynuować w Watykanie.

Po trzecie, wprowadzenie tego, co Anglosasi nazywają *accountability*, czyli rozliczalności. Oznacza to, że biskup nie powinien rządzić diecezją jak udzielny książę, lecz musi co cztery-pięć lat spotykać się z kapłanami, diakonami, świeckimi, zakonnicami i kobietami, by wspólnie zapytać, czy idziemy w dobrą stronę, gdzie popełniliśmy błędy, co trzeba poprawić i jakie inicjatywy podjąć.

To trzy fundamentalne elementy dziedzictwa Franciszka. Leon XIV jako nowy papież miał pełne prawo powiedzieć: „To był projekt mojego poprzednika, mnie on nie interesuje". Tymczasem potwierdził go w całości. Oznacza to, że w ciągu najbliższych trzech lat parafie, diecezje, konferencje episkopatów krajowych i kontynentalnych będą się spotykać, a wszystko to doprowadzi do wielkiego światowego zgromadzenia kościelnego w 2028 r., swoistego małego soboru, który ma pomóc odpowiedzieć na pytanie o drogę Kościoła w XXI w.

Jaki właściwie jest ten papież?

– Uderzająca jest wrażliwość Leona XIV, widoczna choćby podczas spotkania z kapłanami diecezji rzymskiej, kiedy powiedział: „Nie da się być doskonałym, ale trzeba być wiarygodnym". Mówił też o Kościele zranionym, który zwraca się do zranionej ludzkości w zranionym stworzeniu. To doskonale oddaje jego temperament: z jednej strony pragnie kontynuować ewangelizację Kościoła katolickiego, z drugiej jest świadomy kruchości jego członków i faktu, że to Kościół poraniony, który ma jednak działać na rzecz ludzkości dotkniętej konfliktami, nierównościami i coraz bardziej niepokojącą degradacją środowiska naturalnego.

W odniesieniu do Bliskiego Wschodu papież potwierdza tradycyjną linię Stolicy Apostolskiej: dwa narody, dwa państwa.

Agnieszka Zakrzewicz

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b3301edd1e

Medycyna przyszłości to już rzeczywistość

Sztuczna inteligencja, rewolucyjne leki i terapie genowe zmieniają życie milionów pacjentów

Marek Czarkowski

Wyobraźmy sobie kobietę z opornym na leczenie czerniakiem, której jeszcze 15 lat temu dawano kilka miesięcy życia. Dzięki terapii CAR-T dziś może ona liczyć na pięć-sześć, a może i więcej lat. To nie jest stopniowa poprawa – to zmiana paradygmatu.

Mamy też algorytmy sztucznej inteligencji, które wykrywają raka płuc na zdjęciu rentgenowskim z dokładnością przewyższającą umiejętności doświadczonych radiologów.

Do niedawna gronkowiec złocisty oporny na metycylinę, który odpowiadał na świecie za ponad 120 tys. zgonów rocznie, był niemal niezniszczalny. Dzisiaj jest szansa, że poradzi sobie z nim nowa generacja antybiotyków zaprojektowanych przez sztuczną inteligencję.

Chirurgia wspomagana przez roboty (Robotic-Assisted Surgery, RAS) to jeden z najdynamiczniej rozwijających się sektorów technologii medycznych. Fundamentalnie zmieniła ona sposób przeprowadzania skomplikowanych zabiegów.

To nie science fiction – to rzeczywistość medycyny lat 2024-2025. To głęboka ewolucja napędzana przez postęp w dziedzinie biologii molekularnej, sztuczną inteligencję oraz presję ekonomiczną wymuszającą nowe modele biznesowe w przemyśle farmaceutycznym.

Dla Polski, w której budżet NFZ zmaga się z liczonym w miliardach deficytem, zmiany te są zarówno obietnicą, jak i wyzwaniem.

Rewolucja w leczeniu otyłości i cukrzycy

Do lekarza przychodzi osoba z kilkunastoma kilogramami nadwagi, podwyższonym poziomem cukru we krwi i rosnącym ryzykiem zawału serca. Ten wypisuje jej receptę na lek, który w ciągu roku sprawi, że straci prawie 25% wagi, cukrzyca wejdzie w remisję, a ryzyko zawału spadnie o 20%. To również nie science fiction.

Do niedawna gronkowiec złocisty był niemal niezniszczalny, ale może sobie z nim poradzi nowa generacja antybiotyków zaprojektowanych przez AI.

W 2024 r. koncern Novo Nordisk, producent leków o nazwach Ozempic i Wegovy, stosowanych przy leczeniu cukrzycy i otyłości, uzyskał ponad 30 mld dol. przychodów. Jego największy konkurent, amerykański koncern Eli Lilly, ze sprzedaży swoich dwóch flagowych specyfików: stosowanego w leczeniu cukrzycy Mounjaro i Zepboundu na otyłość, uzyskał w sumie 16,4 mld dol.

By zrozumieć, jak działają wymienione leki, należy sobie wyobrazić, że ludzkie ciało to fabryka, w której hormony przesyłają informacje do mózgu. Jednym z tych hormonów jest glukagonopodobny peptyd-1, w skrócie GLP-1, który organizm naturalnie produkuje po posiłku. GLP-1 wysyła do mózgu sygnał: „Jestem najedzony, przestań jeść". Jednocześnie nakazuje trzustce wydzielanie insuliny (by obniżyć poziom cukru) i hamuje produkcję glukagonu (który ten cukier podwyższa).

Problem w tym, że naturalny GLP-1, zanim zostanie rozłożony przez enzymy, działa zaledwie kilka minut. Uczeni postawili przed sobą zadanie stworzenia jego syntetycznej wersji. Przełomowe dla rozwoju leków z tej klasy były badania kanadyjskiego endokrynologa Daniela Druckera, który współodkrył i opisał rolę GLP-1.

Na ich podstawie Duńczycy z Novo Nordisk opracowali związek o nazwie semaglutyd, który pobudzał działanie hormonu, i po latach badań klinicznych wprowadzili na rynek lek Ozempic. Dzięki niemu pacjent może stracić 15-17 kg rocznie. U osób z otyłością – bez cukrzycy – zmniejszenie ryzyka zawału serca i udaru wynosi 20%. Dzięki amerykańskim celebrytom i influencerom Ozempic zyskał niemal kultowy status. Reprezentował on pierwszą generację tych leków.

Ostatnio okazało się jednak, że u części pacjentów przyjmujących Ozempic pojawiły się nudności, wymioty, biegunka, bóle brzucha, wzdęcia i zaparcia. Odnotowano też ciężkie powikłania, m.in. zapalenie trzustki, choroby pęcherzyka żółciowego, potencjalne ryzyko nowotworów tarczycy oraz poważne reakcje alergiczne, takie jak obrzęk twarzy, języka, gardła i duszności. Donoszono także o powikłaniach okulistycznych, z utratą wzroku włącznie.

eprasa.pl b3301edd1e



Operacja resekcji przełyku z udziałem eksperta w chirurgii robotycznej, prof. Jellego P. Ruurdy z Holandii. Warszawa, Wojskowy Instytut Medyczny, 11 czerwca 2024 r.

Gdy Novo Nordisk wprowadził na rynek Ozempic, swój ruch wykonał amerykański koncern Eli Lilly, rejestrując leki o nazwach Mounjaro i Zepbound, oba oparte na tej samej substancji czynnej – tirzepatydzie. Obydwa aktywowały nie tylko GLP-1, ale również glukozozależny peptyd insulinotropowy (GIP). Efekty działania tych leków były jeszcze lepsze. W ciągu 72 tygodni pacjenci tracili średnio ok. 24 kg. U wielu osób z cukrzycą typu 2 poziom hemoglobiny glikowanej, czyli marker długotrwałej kontroli cukru, wracał do normy, pozwalając na odstawienie insuliny. Dziś uważa się tirzepatyd za drugą generację substancji czynnych w leczeniu cukrzycy i otyłości.

Obecnie koncern Eli Lilly prowadzi badania kliniczne nad substancją trzeciej generacji o nazwie retatrutyd, która ma aktywować nie tylko GLP-1 i GIP, ale też receptor glukagonu.

Ten ostatni mechanizm ma na celu zwiększenie wydatku energetycznego organizmu, co sprawi, że ciało będzie spalało więcej kalorii. Wyniki badań opublikowane na początku grudnia 2025 r. okazały się bezprecedensowe: pacjenci, którzy ukończyli terapię, stracili średnio 28,7% masy ciała. Jeśli badania kliniczne wykażą, że retatrutyd jest bezpieczny dla ludzi, lek zostanie wprowadzony na rynek.

Tymczasem w Chinach, po raz pierwszy w historii, 25-letnia pacjentka chorująca na cukrzycę typu 1 odzyskała zdolność naturalnego wytwarzania insuliny. W tym celu wykorzystano komórki macierzyste pobrane z jej organizmu. Przełomu dokonał zespół uczonych z Uniwersytetu Pekińskiego, pod kierunkiem wybitnego biologa komórkowego prof. Hongkui Denga oraz lekarzy z Tianjin First Central Hospital. Jeśli uda się opracować skuteczną i możliwą do powszechnego zastosowania terapię, będzie to oznaczało rewolucję w leczeniu cukrzycy.

Onkologia i neurologia – immunoterapia i terapie celowane

W 2024 r. amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) zatwierdziła ponad 50 nowych leków, z których niemal jedna trzecia ma zastosowanie w onkologii. Dominowały wśród nich przeciwciała monoklonalne – było to 13 preparatów, co stanowiło rekord w historii. I nie był to przypadek. Immunoterapia, która uczy układ odpornościowy rozpoznawania i niszczenia komórek nowotworowych, w ostatnich latach przeszła drogę od metody eksperymentalnej do standardu leczenia w wielu typach raka. Najbardziej spektakularnym przykładem są terapie CAR-T (limfocyty T z chimerycznym receptorem antygenowym). By zrozumieć, jak działają, należy sobie wyobrazić, że komórki odpornościowe – limfocyty T – to „żołnierze" patrolujący organizm w poszukiwaniu intruzów. Trzeba jednak pamiętać, że komórki nowotworowe są mistrzami kamuflażu – wyglądają jak normalne komórki organizmu, więc limfocyty T ich nie rozpoznają.

W terapii CAR-T lekarze pobierają limfocyty T z krwi pacjenta i wysyłają do specjalistycznego laboratorium, gdzie zostają genetycznie zmodyfikowane. Wprowadza się do nich gen kodujący specjalny receptor CAR, który działa jak lornetka noktowizyjna, pozwalająca wykryć specyficzny znak rozpoznawczy (antygen) na powierzchni komórek rakowych. Następnie zmodyfikowane komórki są namnażane do milionów kopii i podawane pacjentowi. W efekcie ci genetycznie udoskonaleni „żołnierze" wyszukują i bezlitośnie niszczą każdą napotkaną komórkę rakową.

Terapie CAR-T już zrewolucjonizowały leczenie białaczki i chłoniaków. Teraz naukowcy starają się znaleźć dla nich zastosowanie w leczeniu guzów litych, czyli raka piersi, płuc, prostaty, mózgu – przypadków, które stanowią zdecydowaną większość zachorowań. To wyjątkowo trudne wyzwanie, gdyż guzy otaczają się „fortyfikacjami" w postaci mikrośrodowiska, które działa immunosupresyjnie, tłumiąc aktywność limfocytów CAR-T. Dodatkowo komórki nowotworowe w guzach litych są heterogeniczne – mogą tracić antygen, w który celuje terapia CAR-T, i „uciekać" przed nią.

W 2024 r. zespół z USC Viterbi School of Engineering opracował komórki EchoBack CAR-T, aktywowane ultradźwiękami. Krótki, 10-minutowy impuls skupionych w miejscu guza ultradźwięków aktywuje komórki CAR-T, które niszczą komórki nowotworowe przez pięć dni – pięciokrotnie dłużej niż poprzednie generacje. Co ważne, gdy komórki CAR-T

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl b3301edd1e

migrują poza guz, ich receptor ulega degradacji, co radykalnie zwiększa bezpieczeństwo terapii. Obecnie system ten jest testowany klinicznie w leczeniu raka prostaty i glejaka wielopostaciowego – najbardziej agresywnego nowotworu mózgu.

Oddzielną kategorią są tzw. szczepionki przeciw rakowi. I nie chodzi o opracowanie jednego magicznego zastrzyku, który radziłby sobie ze wszystkimi rodzajami nowotworów.

Mamy już algorytmy sztucznej inteligencji, które wykrywają raka płuc na zdjęciu rentgenowskim sprawniej niż doświadczeni radiolodzy.

Pandemia COVID-19 i opracowane w latach 2020-2021 szczepionki mRNA zmotywowały badaczy do szukania skutecznych rozwiązań w onkologii. Jako jedne z pierwszych podjęły to wyzwanie niemiecka spółka BioNTech oraz amerykański koncern Moderna. Obie firmy zdobyły doświadczenie, pracując nad własnymi szczepionkami przeciw COVID-19: BioNTech wspólnie z koncernem Pfizer nad Comirnaty, a Moderna nad Spikevax.

„Antyrakowe" szczepionki mRNA mają dostarczać komórkom instrukcji do wytworzenia konkretnych antyciał, które wywołają skuteczną odpowiedź immunologiczną. Obecnie trwa ponad 120 badań klinicznych szczepionek mRNA przeciwko nowotworom płuc, piersi, prostaty, trzustki, mózgu oraz czerniakowi. Jeśli zakończą się sukcesem, za pięć-siedem lat powinny zostać dopuszczone do użytku. Poza BioNTechem i Moderną technologią tą zajmuje się koncern Merck.

Jeśli zatem CAR-T to ciężka artyleria immunoterapii, przeciwciała monoklonalne można porównać do precyzyjnie sterowanych pocisków. Mogą one blokować konkretne molekuły napędzające rozwój choroby. Przykłady? Donanemab – opracowane przez koncern Eli Lilly przeciwciało zaprojektowane do wiązania i usuwania beta-amyloidu z mózgu w celu spowolnienia postępu alzheimera w początkowej fazie. W badaniach klinicznych lek spowolnił postęp choroby u osób we wczesnym stadium demencji. Obecnie jest on wprowadzany pod nazwą handlową Kisunla.

AI i robotyka

Prawdziwego przełomu w diagnostyce medycznej, chirurgii i przemyśle farmaceutycznym dokonała sztuczna inteligencja. Trudno dziś wyobrazić sobie badania nad nowymi lekami bez jej wykorzystania. To samo dzieje się na salach operacyjnych, gdzie coraz częściej spotykamy roboty chirurgiczne.

Niekwestionowanym liderem w ich produkcji jest amerykańska spółka Intuitive Surgical, produkująca dobrze znany w Polsce system da Vinci, który zrewolucjonizował takie dziedziny medycyny jak urologia, ginekologia, chirurgia ogólna i kardiochirurgia. Da Vinci oferuje trójwymiarowy obraz pola operacyjnego w wysokiej rozdzielczości, eliminację drżenia rąk chirurga oraz instrumenty o niespotykanym dotąd zakresie ruchu. Najnowsza generacja, da Vinci 5, wprowadza kolejne innowacje, w tym lepsze konsole chirurgiczne, potężniejsze systemy kontroli wibracji i drżenia rąk, a także technologię Force Feedback, która pozwala chirurgowi odczuwać siłę nacisku narzędzi na tkanki. Tylko w Stanach Zjednoczonych w 2023 r. z użyciem systemów da Vinci wykonano ok. 2,63 mln zabiegów i oczywiście liczba operacji rośnie.

Pojawiła się też konkurencja. System Hugo firmy Medtronic, zaprojektowany z myślą o szerokim spektrum procedur, już zdobył przyczółki w 25 krajach. Brytyjski kompaktowy system Versius firmy CMR Surgical jest elastyczny i, co najważniejsze, tańszy niż da Vinci.

Inne firmy celują w nisze rynkowe. Znana z robotyki ortopedycznej spółka Stryker rozwija swój system Mako z zakresu chirurgii kręgosłupa i barku, integrując go ze sztuczną inteligencją. A mniejsze firmy, takie jak Medical Microinstruments, producent systemu Symani, przesuwają granice mikrochirurgii, umożliwiając precyzyjne operacje na naczyniach krwionośnych i limfatycznych. Ta konkurencja napędza innowacje technologiczne i wywiera presję na obniżenie cen, co w przyszłości uczyni chirurgię z użyciem robotów bardziej dostępną.

Postęp w medycynie i przemyśle farmaceutycznym stawia dziś pytania o koszty i modele finansowania opieki zdrowotnej. Dotyczy to także bogatych społeczeństw. Możliwe, że pojawią się „terapie dwóch prędkości", czyli najnowsze i najdroższe dostępne jedynie dla zamożnych i starsze, niedające szans na skuteczne leczenie. Na pewno będzie to poważny problem społeczny i polityczny.

Marek Czarkowski

NOWOŚĆ
Po raz pierwszy! Już w grudniu!
Przegląd
KOLPORTER
Firma Kolporter Sp. z o.o. zaczyna przyjmować prenumeratę „Przeglądu" dla instytucji.
Informacje pod numerem infolinii +48 41 367 88 88
lub na stronie internetowej www.kolporter.com.pl

eprasa.pl b3301edd1e



Z Galicji

Jan Widacki

Smutne święta narodowców

Najbardziej nastrojowe polskie święta. Wiadomo, „wigilia drzewko, stół opłatki, wierzcie mi, wielka to godzina”, pisał z rozrzewnieniem legionowy poeta Józef Mączka, wspominając święta spędzone w okopach I wojny. Dalej zaś: „W Polsce – o jakże cudną bywa ta noc w królewskiej śniegów szacie, tam każda chata dzisiaj śpiewa, tam każde serce śpiewa w chacie pieśń, co w krąg echem się rozchodzi, wieszcząc radosne Bóg się rodzi!”.

Któż, nawet gdy dziś zabiegany, odczuwający przesyt przedświąteczną nachalną reklamą supermarketów, nie wspomina ze wzruszeniem świąt z czasów dzieciństwa? Któż, nawet jeśli niepraktykujący albo zgoła niewierzący, nie obchodzi tych świąt? Nie stroi choinki, nie śpiewa lub przynajmniej nie słucha kolęd? Nie zasiada do tradycyjnej wigilijnej wieczerzy? Kto nie składa najbliższym świątecznych życzeń? To bardzo polskie święta i bardzo piękna polska tradycja.

Każdy szczegół świątecznego obrzędu miał jakiś głębszy sens, czasem teologiczny, czasem bardzo praktyczny. Dzisiaj często ten sens jest zapomniany, obrzęd staje się pusty. Czasem tragicznie pusty, jak ten z jednym wolnym nakryciem wigilijnego stołu dla nieznanego, samotnego, zbłąkanego przybysza. Przy ilu pustych nakryciach wigilijnych polskich stołów rozprawiano o imigrantach jako intruzach?

A jak powinny wyglądać „polskie święta” w idealnej, wymarzonej przez narodowców Polsce dla Polaków, bez intruzów, gdzie czyta się tylko – jak zaleca pan prezydent – „książki polskich autorów”? Gdzie wszystko obce, co już przyszło z zagranicy, należy odrzucić, a nowego obcego, z założenia niebezpiecznego dla naszej kultury i tożsamości, nie wpuszczać? Gdyby tę zasadę stosowali nasi przodkowie, Polska wyglądałaby zgoła inaczej.

Pomijam już to, czy do Polski wpuszczono by chrześcijaństwo. Wpuszczono i zakorzeniło się, wprawdzie, jak się okazuje, bardzo płytko, ale zawsze. Chrześcijaństwo przyszło do Polski – o zgrozo! – z Zachodu! Wyparło lokalny kult czy też może kulty. Polski strój narodowy, jak sama nazwa wskazuje, pochodzi… z Turcji. Bardzo prawicowi podhalańscy bacowie nie tylko kulturę wypasu owiec i wyrobu serów, ale nawet samą nazwę baca odziedziczyli po Wołochach. E, lepiej dajmy już spokój! Wróćmy do świąt.

Choinka przyszła do nas z Austrii, i to relatywnie niedawno, bo dopiero na początku XIX w. Wyparła „tradycyjne polskie” snopki ustawiane w kątach izby oraz podłaźniczki wieszane pod sufitem. Wśród potraw wigilijnych (a tych, jak pisze Gloger, „u ludu było siedem, u szlachty dziewięć, a u magnatów jedenaście”) były m.in. pierogi ruskie i kutia (tradycyjna, przywleczona zapewne z imperium Osmanów, potrawa kuchni ukraińskiej, białoruskiej i, o zgrozo absolutna, rosyjskiej!), a wśród podawanych ryb jakże pyszny karp po żydowsku! Czy świadomy polski narodowiec patriota jest w stanie to znieść?

> Któż, nawet gdy dziś zabiegany, nie wspomina ze wzruszeniem świąt z czasów dzieciństwa?

Nawet pomiędzy tradycyjnymi polskimi kolędami czai się na prawdziwych patriotów jak „ukryta opcja niemiecka” piękna skądinąd kolęda „Cicha noc” (tytuł oryginału „Stille Nacht”). To austriacka kolęda z początku XIX w., jej pierwszy polski przekład miał miejsce dopiero w 1930 r.!

Jak widać, przeżycie świąt Bożego Narodzenia w Polsce przez narodowców, wyznawców hasła „Polska dla Polaków”, musi być jednym pasmem jeśli nawet nie cierpień, to co najmniej przykrości. To znaczy byłoby, bo musieliby znać te smutne fakty o niepolskim pochodzeniu wielu elementów „prawdziwie polskiej tradycji” Bożego Narodzenia. Podejrzewam jednak, że nie znają. To może trzeba im to systematycznie przypominać i uświadamiać?

Wszystkim Wesołych Świąt, a świadomym narodowcom, konfederatom z panem prezydentem na czele: „mimo wszystko Wesołych Świąt”!

■

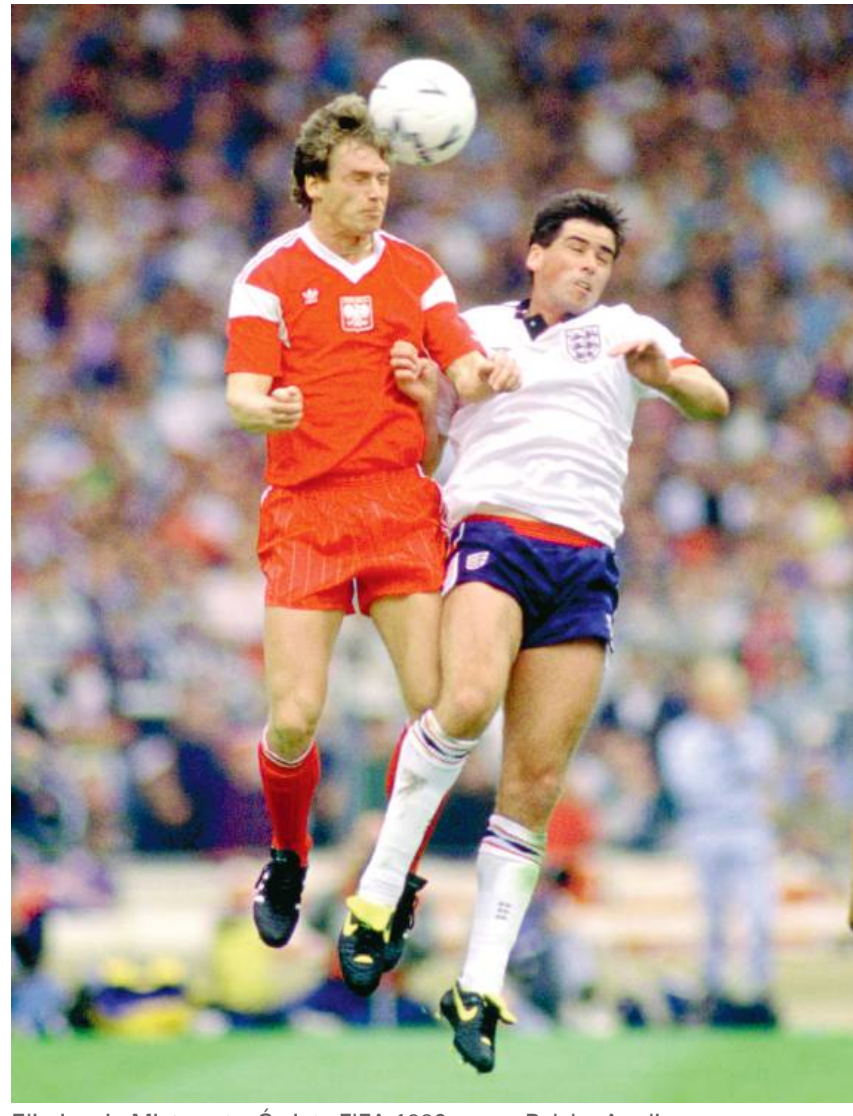
sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI Przegląd
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

eprasa.pl b3301edd1e

Urban et orbi

Może właśnie na takiego selekcjonera kadra czekała

Wojciech Kuczok



Eliminacje Mistrzostw Świata FIFA 1990, mecz Polska-Anglia. Nz. Jan Urban i Neil Webb. Wembley, 6 marca 1989 r.

Były lęki, że będzie za miękki. Bo potrafi się dogadać z piłkarzami i nie trzyma krótko za mordę. A przecież Polacy tęsknią do zamordystów, autokratów, do złego tyrana, którego będą się bali, a jednocześnie obdarzali go bałwochwalczą czcią, jak w syndromie sztokholmskim – będą go kochali za to, że go nienawidzą, bo Polak lubi mieć tego złego, na którego może wyrzekać, zarazem czując się zwolnionym z obowiązku samostanowienia. Polakom wolność nie jest pisana, bo od razu robią z niej anarchię, na to przynajmniej wskazuje przechył preferencji wyborczych w stronę obu konfederacji.

Naród polski nie jest stworzony do small talku, nie ceni miękkich kompetencji, Okrągły Stół śmierdzi mu zdradą, kompromisami się brzydzi, w hymnie ma „szablą odbierzemy", a nie „wynegocjujemy". I to wszystko przekłada się na mentalność kibica – o piłkarzach naród ma niewysokie mniemanie, że to przepłacane darmozjady, że w klubach zachodnich zarabiają, to im się chce, a na kadrę przyjeżdżają z musu, rozleniwieni, rozmemłani, zdemotywowani, trzeba im bata, żeby zechcieli się poderwać do biegu, trzeba im tresera, a nie trenera, inaczej nie wyskoczą do główki, wślizgu nie zrobią, głowy za ojczyznę nie nadstawią.

Prezes Cezary Kulesza, swojak z Podlasia, idący z Duchem Puszczy w rytmie disco polo, jak dotąd szczęścia do trenerów nie miał – w miejsce ślicznego portugalskiego bajeranta, który zwiał przed barażami, przywołał Czesława Michniewicza, za którym ciągnąć się będzie dozgonnie gorąca linia z „Fryzjerem" z czasów, kiedy piłkarze ustawiali mecze częściej, niż się kibole młócili w ustawkach. Wyniki były, ale w tak kiepskim stylu, że głos ludu o dziwo się wzburzył na strategię „laga na Robercika" i polski minimalizm – okazało się, że oprócz celu ważne są środki.

No to się Kulesza zastawił, a postawił i za ciężkie miliony ściągnął Fernanda Santosa, który co prawda w CV miał mistrzostwo Europy, ale najlepsze lata trenerskie minęły mu już dawno, o polskiej piłce pojęcia nie miał i mieć nie chciał, piłkarze nie wiedzieli, co grać, więc na wszelki wypadek przegrywali wszystko jak leci. I w końcu zatrudnił Kulesza tyrana, kłótliwego buraka, zarozumiałego, apodyktycznego samca alfa, który za wyzwanie selekcjonerskie uznał dowiedzenie wszystkim, kto tu rządzi i że żadnego gwiazdorstwa tolerował nie będzie.

Probierzowski zamordyzm nie zadziałał sportowo, reprezentacja Polski nie przestała się staczać, aż w końcu Lewandowski postawił sprawę jasno: „Probierz albo ja" i naród jednak się opowiedział po stronie piłkarza, boć

eprasa.pl b3301edd1e



Uwagi trenerskie w meczu eliminacyjnym do Mistrzostw Świata 2026 Polska-Holandia. Warszawa, 14 listopada 2025 r.

dotarło do rozumów pospólnych, że trener bez piłkarzy nigdzie nie awansuje, już prędzej piłkarzom bez trenera to się przytrafić może. I męczył się prezes Kulesza, przymierzał jak pies do krzaka, kombinował, aż w końcu z zaciśniętymi zębami zatrudnił tego, który wydawać by się mógł wyborem najbardziej oczywistym. Dał robotę Janowi Urbanowi, przy czym kontrakt sformułował tak, żeby nie było wątpliwości – jak tylko się noga powinie, koniec kropka, zwolnienie, piąty kandydat za kadencji Kuleszowej już przebiera nóżkami.

Jan Urban najlepsze lata kariery spędził z dala od polskiego grajdołka, był pierwszym polskim piłkarzem w lidze hiszpańskiej (nie liczmy wstydliwego epizodu bramkarza Tomaszewskiego w Alicante), nastrzelał w niej kilkadziesiąt bramek, zagrał ze 200 spotkań, a potem jeszcze potrenował tam trochę, tak, że wystarczyło, aby rozjaśnić duszę znękaną krajem, w którym zimą o czwartej po południu robi się ciemno. No i zeuropeizował się, wykształcił inteligencję emocjonalną, wyzbył kompleksów, nabrał miękkich kompetencji, wyrobił sobie markę w kraju futbolowo pobłogosławionym, w najlepszej lidze świata.

I właśnie na tym polega jego siła, że nie musi się dopominać o szacunek u innych, zna swoją wartość i promieniuje tą dobrze pojmowaną pewnością siebie. Nie pręży się, nie puszy, nie obraża, nie wygraża jak nasi dwaj ostatni nieszczęśni prezydenci, dyplomatoły z awansu społecznego. Urban to człowiek spolegliwy w pierwotnym, filozoficznym znaczeniu tego słowa: taki, na którym można polegać, budzący zaufanie, wiarygodny. Dla młodych jest sigmą właśnie dlatego, że nie obnosi się ze swoimi dokonaniami. W dodatku jest wciąż niezawodny, *zuverlässig*, jako selekcjoner i takim będzie musiał pozostać co najmniej do wiosny, jeśli chcemy pojechać na mundial.

Z Urbanem jestem spokojny o to, że Polska nie zagra fuszerki, że zarówno z Albanią, jak i z Ukrainą lub Szwecją zagramy na miarę naszych możliwości – a to powinno wystarczyć na takich rywali. To jednak wielka ulga znowu mieć kadrę, która nie schodzi poniżej swojego normalnego poziomu (a jeśli przytrafiają się jej chwile słabsze, i tak potrafi mecze wygrywać), czasem wzlatując wyżej, kiedy wymaga tego klasa przeciwnika. Tak było za Nawałki, tak było też za Brzęczka, choć w przypadku tego drugiego walory estetyczne zalatywały już michniewiczyzną, Polacy grali po prostu szpetnie, przepychając wyniki, nie dało się na to patrzeć.

Jako kibice kadry narodowej wciąż czekamy na trzeciego zbawiciela po Górskim i Piechniczku, jedynych trenerach, z którymi Polska zdobywała mistrzowskie medale. Jeśli ktoś chciałby podważyć dorobek trenerski Urbana, który właściwie może się pochwalić tylko dubletem z Legią (powiadacie, że z Legią to żadna sztuka? Spójrzcie na aktualną tabelę Ekstraklasy), niech pamięta, że Kazimierz Górski przed kadrą też oszałamiających wyników nie miał, dwa razy doprowadził Legię na podium, to wszystko. Antoni Piechniczek miał jeszcze skromniejszy dorobek – w Ekstraklasie pracował tylko z opolską Odrą, z którą zresztą sam wywalczył awans. Adam Nawałka był najbliżej dołączenia do duetu medalowych selekcjonerów, na Euro 2016 zabrakło odrobiny szczęścia, przegraliśmy jednym niewykorzystanym karnym Błaszczykowskiego, a w półfinale czekałaby na nas Walia, z którą bilans mamy fantastyczny.

Co Jan Urban ma ze swoich wielkich poprzedników? Przede wszystkim idealnie się wpasował jako zaprzeczenie konfliktowego Probierza; Urban ma w sobie rodzaj stoickiej cierpliwości, w czym bliżej mu raczej do Górskiego niż do Piechniczka, jeśli już mielibyśmy marzyć o jego reprezentacyjnej karierze w kontekście naszych najbardziej utytułowanych selekcjonerów. Przy czym Górski wiedział, że ma do dyspozycji złote pokolenie, Piechniczek już miał znacznie gorzej, wydaje się, że wycisnął ze swojej kadry więcej, niż była warta, choć kto wie, czy nie wycisnąłby jeszcze więcej, gdyby nie jego niechęć do Szarmacha, niewystawionego w półfinale mundialu z Włochami.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, REUTERS/FORUM

eprasa.pl b3301edd1e

Urban ma nosa albo to piłkarze przy nim grają ponad swoje możliwości, uskrzydleni zaufaniem, jakim ich obdarzył trener. Najwyraźniej to pokazuje kazus Przemysława Wiśniewskiego, przeciętnego w swoim drugoligowym klubie włoskim i wybitnego w meczach kadry (pomijając fatalny mecz na Malcie, no ale tam cała reprezentacja zagrała jak na kacu).

Prezes Cezary Kulesza, swojak z Podlasia, idący z Duchem Puszczy w rytmie disco polo, jak dotąd szczęścia do trenerów nie miał.

Może właśnie na takiego selekcjonera kadra czekała. Od gwiazd z zagranicy odróżnia go doskonałe rozeznanie w potencjale polskich piłkarzy, on w rodzimym futbolu siedzi od kilku dekad. Od Brzęczka czy Probierza różnią go też dokonania piłkarskie – bądź co bądź facet, który strzelił hat tricka na Santiago Bernabéu, budzi respekt, drugiego takiego kozaka poza Lewym nie znajdziesz, o autorytet martwić się nie musi. Na domiar dobrego Jan Urban miał także świeże doświadczenie bycia na co dzień szkoleniowcem gwiazdy światowego formatu, zanim bowiem wziął w opiekę kadrę z kapitanem Lewandowskim na czele, prowadził w Górniku Lukasa Podolskiego, a ten to dopiero ma muchy w nosie.

Jako piłkarz Urban napsuł mi krwi w latach 80., bo stał za trzema z czterech kolejnych mistrzostw Górnika Zabrze. Akurat wtedy, gdy mój ukochany Ruch przeżywał czas trudny, spadał z ligi, a potem do niej wracał, zabrzanie zdobywali seryjnie tytuły, aż w końcu na jeden sezon nas wyprzedzili w tabeli wszech czasów, zdobywając 14. majstra. Świetny w grze głową – 180 cm wzrostu, bramkostrzelny – wychowany w Jaworznie, zaczynał karierę trampkarską w Victorii dopiero jako 11-latek, co w dzisiejszych realiach, gdy każdy klub ma przedszkole piłkarskie, a dziatwa strzela gole, zanim dobrze nauczy się chodzić, należałoby uznać za bardzo późny start.

Urban wszędzie startował późno, transfer zagraniczny przytrafił mu się dopiero w 27. roku życia, posadę selekcjonera dostał, mając lat 63, żaden Polak nie przejmował sterów reprezentacji w tak podeszłym wieku. W polskiej lidze, w barwach Zagłębia Sosnowiec, a potem Górnika, nastrzelał tony bramek, biegając po skrzydle, dopiero w Pampelunie, do której przeniósł się jesienią 1989 r., został zgodnie ze swoimi predyspozycjami przesunięty na środek ataku. Był klasyczną dziewiątką w Osasunie przez kilka lat, w najlepszym historycznie czasie klubu ze stolicy Nawarry. W przeddzień sylwestra 1990 r. Jan Urban przeżył najważniejszy wieczór w karierze – po raz pierwszy w życiu ustrzelił hat tricka – ale i tu warto było czekać, skoro tej sztuki dokonał na Santiago Bernabéu. Osasuna wygrała w Madrycie z Realem 4:0, Urban do trzech goli dołożył asystę hat tricka i stał się na zawsze pomnikowym bohaterem Pampeluny. Prasa pisała o „Chupinazo w Madrycie" – chodzi o doroczną fiestę pampeluńską z udziałem byków i tłumu przed nimi uciekającego.

Jan Urban najlepsze lata kariery spędził z dala od polskiego grajdołka, był pierwszym polskim piłkarzem w lidze hiszpańskiej.

Gdyby kto miał wątpliwości – to nie był słaby Real, to była już wtedy drużyna galaktyczna: Gheorghe Hagi w środku pola, Emilio Butragueño w ataku, Fernando Hierro i Manolo Sanchis w obronie i – uwaga, uwaga – Alfredo Di Stéfano na ławce trenerskiej. Osasuna z Urbanem na szpicy zagrała swój najlepszy sezon w dziejach, zajęła czwarte miejsce na koniec rozgrywek, punkt za Realem, i zapewniła sobie udział w Pucharze UEFA. Listopad 1991 r. przyniósł kolejny fenomenalny wyczyn naszego dzisiejszego selekcjonera: zaliczył on dublet i asystę w wyjazdowym meczu ze Stuttgartem w Pucharze UEFA. Ale już tydzień później pożegnał się na zawsze z kadrą narodową, wybiegając z opaską kapitańską w Poznaniu przeciw Anglii, z którą zremisowaliśmy i odpadliśmy z kolejnego turnieju w przedbiegach.

Do kadry narodowej piłkarz Urban nie miał szczęścia. Zagrał co prawda na mundialu w Meksyku, ale to właśnie od porażek z Anglią i Brazylią zaczęło się najbardziej koszmarne półtorej dekady narodowej jedenastki, kiedy przegrywała wszystkie kolejne eliminacje. Urban był jedną z twarzy tych klęsk – grał u Łazarka i Strejlaua, aż w końcu w wieku zaledwie 29 lat, kiedy był gwiazdą La Liga, przestał być powoływany. Dziś jako selekcjoner może sobie powetować ten niedosyt.

Urban przetarł drogę do Osasuny innym Polakom: Romanowi Koseckiemu, Jackowi Zioberowi, Ryszardowi Stańkowi i Mirosławowi Trzeciakowi, ale żaden z nich nie okazał się jego godnym następcą. Szlify trenerskie także zdobywał w Pampelunie, krótko był nawet pierwszym trenerem zespołu i choć nie udało mu się Osasuny z kryzysu wydobyć, właśnie jemu szansę na ligowy debiut zawdzięcza młody Mikel Merino, dziś gwiazda Arsenalu i reprezentacji Hiszpanii. W kadrze narodowej Urban był już asystentem Leo Beenhakkera, od którego, jak sam twierdzi, nauczył się zarządzania drużyną.

Okazało się, że tą kadrą wcale nie trzeba było wstrząsnąć, aby się pozbierała – reprezentacja była już wystarczająco roztrzęsiona po kadencji Probierza – potrzeba jej było spokoju i opanowania, nade wszystko zaś uporządkowania. I właśnie taki zaczęliśmy grać futbol porządny, bo Jan Urban to w porządku facet jest. I tylko martwi, że nie jest ulubieńcem Kuleszy, że ten, zamiast mu błogosławić, czeka na pretekst do zwolnienia. Bo prezes PZPN i jego świta to prawdziwy gang Olsena działający pod hasłem: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie".

Wojciech Kuczok

eprasa.pl b3301edd1e

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Polska zdziecinniała

Właściwie nie powinienem się dziwić. Opuściłem przed 20 laty redakcję „Tygodnika Powszechnego", gdy zorientowałem się, że – wbrew tradycji Stanisława Stommy – wartością najwyższą nie jest już dla niej Polska, lecz antykomunizm. Opuściłem w tym samym czasie Radę Krajową Unii Wolności, gdy zorientowałem się, że – wbrew tradycji Znaku i KOR – szuka ona aliansów wyłącznie po prawej stronie sceny politycznej, że więc i tu antykomunizm stał się najważniejszy.

Nie powinienem również się dziwić, bo wciąż mam w kościach osiem lat z PiS, wypełnione pracowitym piłowaniem gałęzi, na którą z takim trudem się wdrapaliśmy: gałęzi Unii Europejskiej. Zresztą także gałęzi NATO, bo w czasie „pierwszego Trumpa" pisowcy załatwiali niekiedy sprawy wprost z Amerykanami, nad głowami NATO. Lecz i trumpistowskim Amerykanom dali się z czasem we znaki, ci bowiem zażądali odwołania ministra Antoniego Macierewicza.

No i zwłaszcza nie powinienem się dziwić, skoro dziś widzę prezydenturę Karola Nawrockiego. Wszyscy wszak obserwujemy zjawisko nieznane w Polsce od czasu rozbicia dzielnicowego: destrukcję władzy centralnej. Rozmaite w późniejszej Rzeczypospolitej rokosze, powstania i konfederacje nigdy nie rościły sobie pretensji do zastąpienia króla, wkroczenia w jego kompetencje, przypisania sobie jego majestatu. To dopiero dziś doczekaliśmy się dwóch ośrodków władzy, sczepionych w śmiertelnej walce. Ośrodka pierwszego, legalnego, mającego oparcie w konstytucji, oraz drugiego, faktycznie uzurpatorskiego, bo pojmującego swą misję jako wypuszczanie zatrutych pocisków w polski rząd.

Czy coś takiego miało szansę zaistnieć w przeszłości? Czy kiedykolwiek występowało i czy dziś występuje gdziekolwiek na świecie? Ośrodek prezydencki nie jest w stanie zachwiać rządem – jego walka jest zatem jałowa. A przecież jedno już mu się udało: doprowadził do spadku pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Oto zatem prezydent Polski, który jest wrogiem polskiego państwa. Tego państwa, które raz po raz traciliśmy i raz po raz, z olbrzymim trudem i tysiącami ofiar, odzyskiwaliśmy przez stulecia. Prezydent Polski jako wróg Polski – czy ktoś chce może polemizować?

Ta niegodna prezydentura trwa już cztery miesiące, czyż zatem powinienem się dziwić sejmowemu głosowaniu w sprawie kryptowalut? A jednak – człowiek naiwny – przez chwilę miałem złudzenia. Wszak z ust premiera Donalda Tuska padły argumenty bardzo silne. Były konkrety: wydarzenia, nazwy i nazwiska. I rzecz szła nie o sprawę partyjną, lecz państwową: o bezpieczeństwo Polski. Na zdrowy rozum mogło więc się zdawać, że argumenty premiera zostaną przynajmniej rozważone. Tymczasem nie znalazł się nikt, komu sumienie kazało się wyłamać: wszyscy z prawicy, z rykiem triumfu, głosowali po myśli Nawrockiego. Głosowali przeciw bezpieczeństwu Polski. Jak więc niegdyś ważniejszy niż Polska był antykomunizm, tak dziś ważniejsza niż Polska jest chęć, by „niebać Tuska".

Wszystko to dzieje się zaś w czasie, gdy Stany Zjednoczone przyjęły Narodową Strategię Bezpieczeństwa. Gdy największe mocarstwo świata, w przeszłości wielokrotnie broniące Starego Kontynentu i osłaniające Stary Kontynent, dziś go opuściło, kierując swe zainteresowanie w stronę Chin i Pacyfiku. Oczywiście każde państwo dowolnie definiuje priorytety swego bezpieczeństwa, w tym jednak przypadku towarzyszą temu ataki na nas: na porządek europejski i Unię Europejską. Towarzyszy też zapowiedź ingerencji w europejskie wybory. Takie ingerencje Amerykanie już w tym roku przeprowadzili – nie tylko w Polsce, lecz i w Niemczech, gdzie stało się to przedmiotem szczegółowego dochodzenia. Na niemiecki raport czekamy, polskiego oczywiście nie będzie. Przecież dla Nawrockiego USA są przyjacielem.

> Obserwujemy zjawisko nieznane od czasu rozbicia dzielnicowego: destrukcję władzy centralnej.

Jak jednak kiedyś zaciskały się nad Polską kleszcze niemieckie i rosyjskie, tak dziś kleszcze może jeszcze groźniejsze zaciskają się już nad całą Europą. Z jednej strony, są to kleszcze mocarstwa euroazjatyckiego, sięgającego od granicy naszego województwa warmińsko-mazurskiego po Pacyfik, a z drugiej – kleszcze mocarstwa zaoceanicznego, któremu niepokojąco blisko do mocarstwa pierwszego, z którym nieomal sąsiaduje przez Alaskę. I to w tym właśnie czasie hasło „niebać Tuska" wystarcza za całą myśl polityczną polskiej, zdziecinniałej prawicy.

Dlatego sądzę, że Sejm powinien wreszcie procedować istniejący już projekt ustawy o utrudnieniu wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Nawet gdyby pan Karol nie zechciał tego podpisać.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b3301edd1e

Święta w Białym Domu

Przewodnik dla niewtajemniczonych

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA



O działaniach Melanii na rzecz poprawy bytu dzieci przypominają tegoroczne dekoracje choinkowe: niebieskie motyle i ozdoby z hasłem „Be Best".

Świątecznie udekorowany Biały Dom to widok, na który Amerykanie czekają co roku z zapartych tchem. Pierwsze damy, odpowiedzialne za dekoracje, od dawna prześcigają się w pomysłach, jak przekształcić go w baśniową krainę, a jednocześnie umiejętnie przemycić wątki odzwierciedlające wizje polityczne ich mężów oraz elementy nawiązujące do ich własnych projektów.

Tegoroczny wystrój Melania Trump podporządkowała dwóm motywom: „Majestat Ameryki" oraz „Dom jest tam, gdzie serce". Dominują w związku z tym ozdoby i akcenty tradycyjne, klasyczne i elegancka kolorystyka głębokiej czerwieni, złota oraz zieleni. Razem mają oddawać klimat domowego ogniska, a jednocześnie są ukłonem w stronę estetyki Gilded Age, „pozłacanego wieku", do którego Donald Trump lubi się odwoływać i w życiu, i w polityce. Nie brakuje też mocnych akcentów patriotycznych w kolorze amerykańskiej flagi. Te z kolei mają przypominać, że w nadchodzącym roku Ameryka będzie świętować 250-lecie istnienia, a Trump, wręcz zafiksowany na tym jubileuszu, przy każdej okazji ogłasza, że ma zamiar go uczcić z wyjątkowym rozmachem.

O działaniach Melanii na rzecz poprawy bytu dzieci przypominają dekoracje w Pokoju Czerwonym: niebieskie motyle na drzewkach oraz białe ozdoby z napisami „Be Best" (Bądź najlepszą wersją siebie), hasłem tego projektu.

Boże Narodzenie – od cenzury po splendor

Biały Dom w okresie świątecznym to dziś bez wątpienia największa atrakcja Waszyngtonu. Jednak Boże Narodzenie zawitało do Ameryki relatywnie późno. Pierwsi koloniści, zwłaszcza społeczność purytanów, widzieli w nim oznaki pogaństwa, więc jawnie tępili obchodzenie go, a winnych surowo karali. Ale nawet mniej ortodoksyjnym protestantom w późniejszych wiekach – a ci stanowili większość białych mieszkańców Nowego Świata – Boże Narodzenie nie kojarzyło się najlepiej. Zbyt mocno zalatywało katolikami, których przecież uważali za zło wcielone.

Wszystko zmieniło się dopiero z nadejściem XIX w. i napływem do Ameryki nowych imigrantów. A wśród nich właśnie rzesz katolików z Włoch, Irlandii i Polski, tyleż zdeterminowanych realizować swój amerykański sen, co i nieskorych do porzucenia wyznawanej religii oraz jej obrządków. Fali popularności Bożego Narodzenia nic już nie mogło zatrzymać i prezydent Franklin Pierce ogłosił je świętem publicznym w roku 1856. Warto jednak dodać, że zachowały się dokumenty świadczące o tym, że może nigdy nie było ono aż tak potępiane, jak twierdzono. Wielu pierwszych prezydentów celebrowało Boże Narodzenie wystawnym obiadem, w tym John Adams, który w listopadzie 1800 r. wprowadził się do nie całkiem jeszcze ukończonego Białego Domu.

Na swoją pierwszą choinkę rezydencja wciąż jednak musiała poczekać. Drzewko pojawiło się w prywatnej części, dokładnie w Żółtym Pokoju Owalnym na drugim piętrze, dopiero za prezydentury Benjamina Harrisona w 1889 r. Jego następca, Grover Cleveland, jako pierwszy zapalił na prezydenckiej choince lampki elektryczne (1895), a dzieci Williama Tafta podsunęły ojcu w 1912 r. pomysł, by zainwestował w oficjalną „choinkę państwową", którą ustawi się w słynnym Pokoju Błękitnym, naprzeciwko głównego wejścia do Białego Domu, czyli Północnego Portyku.

Współcześnie o honor dostarczenia prezydenckiej choinki ubiegają się co roku tysiące plantacji z całego kraju. Tegoroczne drzewko przyjechało z Michigan, a Melania Trump, hołdując kolejnej uświęconej

eprasa.pl b3301edd1e



Dekoracje w Białym Domu wykonane przez pracowników i wolontariuszy, 30 listopada 2025 r.

i transmitowanej na żywo w mediach tradycji, oficjalnie przejęła je z konnego zaprzęgu 24 listopada.

W 1923 r. prezydent Calvin Coolidge dokonał pierwszego uroczystego włączenia lampek na choince przed Białym Domem – obyczaj ten znany jest odtąd jako Narodowe Rozświetlenie Choinki. Z pomysłem, by wybór i ubieranie prezydenckiej choinki w Pokoju Błękitnym stały się oficjalnie domeną pani prezydentowej, wyszła w 1929 r. żona prezydenta Hoovera, Lou Henry Hoover.

Powojenny rozmach w modernizacji i rozbudowie kraju obudził też apetyt na bardziej uroczyste obchody Bożego Narodzenia. Dla Mary „Mamie" Eisenhower, miłośniczki tych świąt, było to zadanie, na które czekała całe życie. Nie tylko uczyniła ze świąt w Białym Domu sprawę wagi państwowej, lecz także stworzyła precedens dla roli, jaką będzie w nich odtąd odgrywać pierwsza dama. A dokładniej, że zajmie się już nie samym ustrojeniem drzewka w Pokoju Błękitnym, ale dekorowaniem całego Białego Domu (132 pokoje!), będzie korzystała z pomocy specjalnie do tego zadania wybieranych wolontariuszy z różnych stron kraju (dziś to sztab ponad 1,5 tys. osób), szeroko otworzy Biały Dom dla świątecznych akcji charytatywnych i warsztatów klejenia ozdób przez dzieci, zwłaszcza z rodzin weteranów, wreszcie – że będzie wydawać świąteczne przyjęcia nie tylko dla polityków, ale również dla dzieci pracowników Białego Domu, w tym woźnych, kucharek, sprzątaczek... Prezydentowa Eisenhower – wulkan energii – osobiście wypisywała setki świątecznych kartek i wybierała prezenty, które wysyłała kancelaria prezydenta. Nie bez powodu nazywa się ją w Ameryce „matką chrzestną współczesnego Bożego Narodzenia".

Boże Narodzenie – kanony dekoracji

Ostatni szlif świętom w Białym Domu nadała Jackie Kennedy. Ikona stylu krzywo patrzyła na poczynania poprzedniczki, która najchętniej dekorowała rezydencję prezydentów w tonacji biało-różowej (ulubione kolory „Mamie" Eisenhower), a w dodatku robiła to chaotycznie. Jackie wprowadziła więc zasadę: musi panować jakaś spójność, dekoracje muszą mieć motyw przewodni. Podczas swoich pierwszych świąt w Białym Domu, w 1961 r., wybrała muzykę i bohaterów baletu „Dziadek do orzechów".

Jednak to nie uporządkowanie świątecznego przystrajania Białego Domu było najważniejszą zasługą pani Kennedy. Chociaż w 1960 r. budynek wciągnięto na listę obiektów o znaczeniu historycznym, jego lokatorzy wciąż mieli prawo dowolnie pozbywać się mebli, sprzętów czy dekoracji. Dzięki zabiegom Jackie wyposażenie Białego Domu w końcu zaczęto traktować jako eksponaty muzealne, którym należy się odpowiednia troska. Ochroną objęto również świąteczne dekoracje. „Jackie Kennedy powołała w 1961 r. Stowarzyszenie Historyczne Białego Domu, które m.in. opiekuje się specjalnym magazynem na obrzeżach Waszyngtonu, gdzie przechowywane są świąteczne ozdoby. Z tych zbiorów zrobiło się już swoiste muzeum", wyjaśnia Stewart McLaurin, obecny szef tej organizacji.

Z kolejnymi, choć już nie tak znaczącymi inicjatywami wyszły Pat Nixon oraz Nancy Reagan. Ich pomysły także weszły z czasem do kanonu świątecznych tradycji Białego Domu.

Pat Nixon w 1972 r. ustawiła w reprezentacyjnej jadalni Białego Domu ozdobę w postaci domku z piernika. Idea się przyjęła – skromne domki dość szybko ewoluowały w cukiernicze dzieła sztuki ważące po kilkadziesiąt kilogramów, będące replikami znanych obiektów publicznych, wśród których najpopularniejsza stała się replika samego Białego Domu. Pierwsze damy personalizują te instalacje, dodając do nich detale o szczególnym dla nich znaczeniu. U Hillary Clinton były to czekoladowe figurki czworonożnych pupili rodziny: kota Socksa i psa Buddy'ego. U Michelle Obamy – kosze z warzywami i owocami – symbol jej kampanii na rzecz aktywności fizycznej i zdrowego odżywiania dzieci i młodzieży. Melania Trump pokazała zaś we wnętrzu tegorocznego piernikowego Białego Domu miniaturę Żółtego Pokoju Owalnego z choinką, imponującym kryształowym żyrandolem oraz kompletem różowych kanap, w które wyposażyła ten salon jeszcze za pierwszej prezydentury męża.

Za Nancy Reagan Biały Dom zaczął corocznie wypuszczać specjalne prezydenckie ozdoby choinkowe. Początkowo były one do nabycia tylko w Waszyngtonie, w sklepach z pamiątkami, dziś są dostępne powszechnie, można je kupić nawet na Amazonie. Tegoroczna edycja to blaszana zawieszka przedstawiająca złoty Biały Dom na wieńcu z ostrokrzewu.

FOT. ANDREA HANKS/WHITE HOUSE

eprasa.pl b3301edd1e

Jak wyjaśniła Melania Trump, ozdoba ma podkreślać, że sercem Ameryki jest Biały Dom.

Boże Narodzenie w opowieściach

Ale święta to nie tylko dekoracje, to też, a może przede wszystkim, ludzie i ich przeżycia. Przez lata Biały Dom był świadkiem wielu niezwykłych historii, z których kilka zyskało taką popularność, że weszły do szkolnych podręczników.

Gdyby nie bożonarodzeniowe przyjęcie w 1805 r., świat być może zapomniałby o tym, że Thomas Jefferson był również utalentowanym muzykiem. Podczas tego wieczoru uraczył swoich gości w Białym Domu wirtuozowską grą na skrzypcach. Rzecz była zaskakująca i dlatego opisano ją potem w listach, które przetrwały do naszych czasów. Choć trzeci amerykański prezydent odebrał wykształcenie muzyczne, nigdy się z tym nie obnosił i Waszyngton kojarzył go przede wszystkim z mównicą, książkami i literaturą.

Andrew Jackson, który jako dziecko stracił matkę i zasmakował biedy, co roku na święta zapraszał do Białego Domu sieroty. Karmił je i hojnie obdarowywał prezentami – coś, na co sam w ich wieku nie mógł liczyć. Od 1835 r. urządzał też z dziećmi bitwy na śnieżki. Sam brał w nich udział, a jeśli pogoda nie dopisywała, śnieżki skręcano z gałganków i zabawa odbywała się w reprezentacyjnej jadalni.

Dla Jamesa Buchanana, jedynego w historii Ameryki prezydenta kawalera, antidotum na samotne święta stało się zaproszenie na świąteczny obiad kilkudziesięciu rdzennych Amerykanów. Goście zjawili się w tradycyjnych strojach i pióropuszach, a niektórzy nieśli dary w postaci przysmaków ich plemiennych kuchni. O świętach z 1857 r. do dziś mówi się, że były najbardziej niezwykłe w historii Białego Domu.

Pod rządami Theodore'a Roosevelta, swego czasu naczelnego ekologa Ameryki, który nie popierał wycinki drzew na świąteczne choinki, Biały Dom miał się obywać bez tego typu atrakcji. Gromadka prezydenckich dzieci była jednak innego zdania, a ośmioletni synek Archie postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Przemycił do domu malutkie drzewko, schował udekorowane w szafie, po czym zaprezentował niespodziankę rodzinie. Cel został osiągnięty, serce ojca zmiękło, czyn Archiego stał się narodową legendą, chociaż mógł grozić pożarem.

W Wigilię 1929 r. pożar w Białym Domu wybuchł naprawdę. Doszło do spięcia w instalacji elektrycznej. Prezydent Herbert Hoover musiał podjąć decyzję: przerwać świąteczne przyjęcie dla dzieci, które właśnie odbywało się w Białym Domu, czy nie? Dzięki szybkiej interwencji straży zniszczeniu uległa tylko część Zachodniego Skrzydła, ta z Gabinetem Owalnym, podczas gdy dzieci bawiły się w innej części Białego Domu. Ponieważ niczego nie zauważyły, Hoover stwierdził, że nie ma co psuć im zabawy. Podobno, nie odstawiając nawet kieliszka i nie wyjmując cygara z ust, poprosił tylko dorosłych, by wraz z nim podziwiali pracę strażaków.

Dzieci Williama Tafta podsunęły ojcu w 1912 r. pomysł, by zainwestował w oficjalną „choinkę państwową", którą ustawi się w słynnym Pokoju Błękitnym.

Boże Narodzenie na stole

Prezydenckie menu od zawsze wzbudza uzasadnione zainteresowanie nie tylko kulinarnych koneserów. Czy w święta w Białym Domu przestrzega się tradycji, czy prezydenci pozwalają swoim szefom kuchni na eksperymenty? Odpowiedź na te pytania brzmi: to zależy, czy głowa państwa faktycznie spędza święta w Białym Domu. Do tych, którzy woleli uciekać w święta z Waszyngtonu, należeli m.in. Harry Truman – wyjeżdżał do rodzinnego Independence w Missouri, Jimmy Carter – udawał się do rodzinnego Plains w Georgii, oraz Barack Obama, który zatrzymywał się na rodzinnych Hawajach. Obaj prezydenci Bushowie uwielbiali spędzać święta w Camp David, wiejskiej rezydencji prezydentów w górach w Maryland, Donald Trump zaś nie wyobraża sobie lepszej świątecznej lokalizacji niż jego luksusowa rezydencja Mar-a-Lago na Florydzie.

Śmiało można jednak powiedzieć, że świąteczne jadłospisy w Białym Domu zawsze w jakimś stopniu odzwierciedlały ogólnonarodowe trendy. W pierwszych dziesięcioleciach istnienia państwa nie brakowało w nich dań, które dziś uznalibyśmy za osobliwe, lecz wówczas, dla ludzi żywiących się tym, co ofiarowała natura wokół, były one na porządku dziennym. Gulasz z wiewiórek? To przysmak Abrahama Lincolna, który się na nim wychował. Zupa z żółwia? Serwowano ją przez większą część XIX w. Na zachowanej karcie menu świątecznej kolacji Grovera Clevelanda z 1887 r. widnieją: przystawka z ostryg, zupa z dziczyzny, gotowana ryba, pieczona gęś, ziemniaki, warzywa z wody oraz plum pudding – brytyjski deser z suszonych owoców, popularna kulinarna pozostałość po czasach kolonialnych. Do picia zaś obowiązkowo cydr i Yard of Flannel, czyli gorący koktajl robiony z piwa, ciemnego rumu i surowych jajek, doprawiany cukrem, imbirem i gałką muszkatołową. Szef kuchni Białego Domu przyrządził nawet swego czasu potrawkę z oposów! W prezencie prezydentowi Williamowi Taftowi miała je przysłać naczelniczka poczty z Gainesville w stanie Georgia.

W czasach współczesnych dominują dania, które można znaleźć w większości amerykańskich domów. A ponieważ pod względem kulinarnym Boże Narodzenie w USA stało się bliźniakiem Święta Dziękczynienia, mówimy tu o pieczonym indyku, szynce, fasolce szparagowej, sosie żurawinowym oraz cieście z dynią na deser.

Na życzenie rodzin prezydenckich szefowie kuchni chętnie oczywiście dodają potrawy regionalne. „Hillary Clinton przywiozła ze sobą książkę

eprasa.pl b3301edd1e

z przepisami z Arkansas i nie było świąt bez zapiekanki z batatów oraz sałatki warzywnej z kostkami wiśniowej galaretki", wspomina John Moeller, który karmił Clintonów. Henry Haller, szef kuchni w Białym Domu od 1966 do 1987 r., zapamiętał z kolei Lane Cake, czyli popularny w Georgii tort nasączany burbonem, z nadzieniem z budyniu i owoców, obowiązkowy świąteczny deser Jimmy'ego Cartera.

Boże Narodzenie à la Trump

Jak Amerykanie ocenili tegoroczną odsłonę świąt w Białym Domu? Bardziej gestem niż słowem – przede wszystkim odetchnęli z ulgą. Melania może nie kocha się w złocie i marmurze tak bardzo jak jej mąż (przed świętami wyremontował historyczną „łazienkę Lincolna", zmieniając ją w marmurową klatkę!), ale jej świąteczne wizje z przeszłości bywały kontrowersyjne. Lodowe kolumny i wazony z wiechciami białych i srebrnych patyków, część dekoracji z 2017 r., wykreowały zdaniem krytyków nie klimat świąt ani nawet nie zimowy wonderland, ale obraz „postapokaliptycznych, opuszczonych komór lodowych". Patrząc z kolei na rzędy krwistoczerwonych „choinek" z 2018 r., trudno było się opędzić od skojarzeń ze scenografią z „Opowieści podręcznej" i podobnymi „psychologicznie niepokojącymi, dystopijnymi koszmarami" („White House Christmas Decorations, and They're Straight Out of Gilead", *Vogue*, grudzień 2018 r.).

Wśród wyborców MAGA Melania dodatkowo zapunktowała tym, że przycięła koszty. W porównaniu z 2020 r. zużyła bowiem do dekoracji tylko 53 choinki (wówczas 62), 75 wieńców (wówczas 106) oraz 215 m girland i 2 tys. kompletów lampek choinkowych. Pięć lat temu poszło 360 m girland i 3 tys. kompletów światełek.

Czego zabrakło? Rozczarowani są turyści, którzy w loterii prowadzonej przez stanowe biura kongresmenów wygrali bilety na specjalne oprowadzanie po świątecznie przybranym Białym Domu – to również wieloletnia tradycja, rokrocznie rozprowadzanych jest ok. 30 tys. takich biletów. Ze względu na wyburzenie Wschodniego Skrzydła pod salę balową wyłączono z trasy zwiedzania cały parter, w tym zabytkową bibliotekę i bardzo popularny Pokój Porcelanowy, gdzie można podziwiać zastawy stołowe niemal wszystkich prezydentów, począwszy od George'a Washingtona.

Choć opinie na temat budowy sali balowej są mocno podzielone i nie jest nawet pewne, czy sala powstanie, już dziś nie brakuje osób deklarujących, że zrobią wszystko, by zdobyć bilet na jej zwiedzanie. Jeśli uda się ją zbudować przed końcem kadencji Trumpa, można być pewnym, że jako jego oczko w głowie zostanie potraktowana na święta w sposób szczególny. A jeśli do tego Melania znów pofolguje swojej wyobraźni, „Biały Dom na święta" może się stać wydarzeniem nie tylko w Ameryce, ale i na całym świecie. Ale może właśnie o to chodzi?

Eliza Sarnacka-Mahoney



eprasa.pl b3301edd1e

Zastrzelony przez pomyłkę

Krzysztof Teodor Toeplitz pisał o morderstwie członka jego rodziny w burzliwym 1906 r. Do dziś sprawa pozostaje zagadką

Krzysztof Pilawski



Edward Toeplitz, fotografia publikowana w Tygodniku Ilustrowanym „Świat".

W wydanej przez Iskry w 2004 r. „Rodzinie Toeplitzów. Książce mojego ojca" Krzysztof Teodor Toeplitz napisał, że jeden z synów jego pradziadka Bonawentury, Edward, „w wieku dwudziestu kilku lat zginął tragicznie w 1906 r. w czasie rewolucji, zastrzelony w zamachu, który wymierzony był w kogo innego. Zamachowcy po prostu pomylili się o jedną bramę i zabili wychodzącego z niej młodego Edwarda". KTT nie wspomniał, że sprawa była bezpośrednio związana z Różą Luksemburg.

Wczesna wiosna 1906 r. Rewolucja w Warszawie gaśnie, ale komitety fabryczne wciąż podburzają robotników, ideowej amunicji dostarcza im wydawana w wielu tysiącach egzemplarzy socjalistyczna prasa z pepeesowskim „Robotnikiem" i esdeckim „Czerwonym Sztandarem"

Nic nie wiadomo o związkach Edwarda z socjalistami.

na czele. W użyciu są też rewolwery. Kule trafiają funkcjonariuszy carskiego reżimu, zdrajców, donosicieli i wrogów klasowych. Broni palnej używa też druga strona: żołnierze, żandarmi i działający w interesie fabrykantów członkowie bojówek terroryzujących robotników. Ogólny zamęt wykorzystują kryminaliści, organizując napady z rewolwerami w ręku. „Do takiego stanu walki wszystkich ze wszystkimi doprowadzili robotników agitatorzy socjalistyczni w Królestwie", komentuje 6 kwietnia 1906 r. konserwatywny krakowski „Czas".

Krew obryzgała ścianę

Dzień wcześniej, w czwartek 5 kwietnia 1906 r., „Kurier Warszawski" informował: „Dziś o godz. 9 z rana na ul. Jasnej spełniono jedną z tych zbrodni ohydnych, które dreszczem oburzenia wstrząsają wszystkich. Ofiarą jej padł nie jakiś osobnik podejrzany, nie jednostka w jaki bądź sposób zaangażowana w starciach politycznych, nie krzywdziciel ludzki ani ktoś w ogóle komu bądź szkodliwy, lecz człowiek stojący poza wrzeniem społecznym, spokojny, nikomu wody nie zamącający, i nie mogący mieć wrogów ani politycznych, ani osobistych. Ofiarą tą jest b.p. [błogosławionej pamięci] Edward Toeplitz, współpracownik Domu Handlowego »Herman Meyer«, 28-letni syn zmarłego w r.z. [roku zeszłym] Bonawentury Toeplitza. Przebieg faktu był następujący: gdy dziś z rana Edward Toeplitz wychodził z domu swojej matki przy ul. Jasnej nr 5 do biura, w bramie tuż przy wyjściu podeszło do niego dwóch czy trzech młodych ludzi,

eprasa.pl b3301edd1e

którzy już przez kilkanaście minut oczekiwali przed domem. I zapytali go: »Czy pan jesteś właścicielem tego domu?«. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, napastnicy wyjęli pistolety i w mgnieniu oka oddali trzy strzały. Jedna kula chybiła, trafiając w ścianę, gdzie utkwiła, dwie zaś trafiły Toeplitza w szyję i w brzuch. Po oddaniu strzałów napastnicy umknęli, a ranny padł na ziemię, brocząc we krwi, która obryzgała ścianę i zalewała wnętrze bramy".

Już w dniu morderstwa „Gazeta Polska" twierdziła, że zbrodni dokonało „trzech młodych Żydów, z których jeden miał na sobie czapkę ucznia szkoły handlowej". Z innych relacji wynika, że sprawców było dwóch i wystrzelili dwie kule – jedna przecięła tętnicę szyjną. Musieli znać rozkład dnia Toeplitza, bo pojawili się niedługo przed jego wyjściem do pracy. Zapytali go nie o to, czy jest właścicielem. Pytali, czy jest gospodarzem, czyli osobą zarządzającą kamienicą. W tej sprawie miało to znaczenie.

Pierwszy na miejsce zamachu przybiegł stróż. Palcem, a potem całą dłonią próbował zatamować krew, po chwili zbiegli się sąsiedzi. Konający miał powiedzieć, że nie wie, co się stało ani kto do niego strzelał. Zmarł, zanim pojawił się lekarz pogotowia.

Na podstawie sekcji zwłok ustalono, że śmiertelny strzał został oddany przez osobę wyższą od ofiary. Czynności śledczo-operacyjne trwały, ale w natłoku innych zajęć śledztwo utknęło, a sprawcy nie zostali ujęci.

Prasa gubiła się w domysłach, kto stoi za zabójstwem członka znanej, zamożnej i wpływowej warszawskiej rodziny. Zwracano uwagę na nieposzlakowaną opinię zastrzelonego: uczynny, uprzejmy, nie miał wrogów ani w miejscu zamieszkania – administrowanej przez niego, a należącej do matki kamienicy – ani w dużej, należącej do rodziny firmie, w której pracował. Współpracownicy zeznali, że dwukrotnie nachodziły Toeplitza w kamienicy przy Jasnej nieznane osoby, żądając pieniędzy. Miał odmówić i nosić od tej pory rewolwer. Bliska środowisku zintegrowanych ze społeczeństwem polskim



Zdjęcie więzienne Róży Luksemburg.

tzw. postępowych Żydów „Nowa Gazeta" informowała o zamówionej tydzień przed śmiercią przez Toeplitza „lupie do drzwi". Miał ponaglać wykonawcę, by bezzwłocznie zamontował wizjer.

Akt zemsty

W sobotę 7 kwietnia „Nowa Gazeta" wskazała możliwy motyw zabójstwa: „Istnieją poważne poszlaki, iż Edward Toeplitz padł ofiarą pomyłki. Zbrodnia owa ma podobno pozostawać w związku z aresztowaniem w Warszawie przed kilkoma tygodniami pewnej osoby przy ul. Jasnej, ale w zupełnie innym domu. Zabójcy, będąc widocznie niedokładnie poinformowani o właściwym numerze domu, pomylili się co do niego i następstwem tego była gwałtowna śmierć najniewinniejszego człowieka. Pogrzeb ofiary straszliwej pomyłki odbędzie się jutro, t.j. w niedzielę". Na cmentarzu żydowskim przy Okopowej zachował się grób Edwarda Toeplitza.

Dziennik postępowych Żydów nie ujawnił nazwiska aresztowanej osoby, choć kilkukrotnie pisał o sprawie. Zrobiło to tego samego dnia stołeczne „Słowo": „O powodach zbrodni krążą najrozmaitsze wersje, z których jedna stawia je w związku z aresztowaniem znanej agitatorki socjalistycznej Róży Luxemburg, która chwilowo zamieszkała przy ulicy Jasnej, ale w innym domu i tam została aresztowana". Następnego dnia krakowski „Czas" doprecyzował, że zadenuncjował ją administrator domu, w którym mieszkała.

„Słowo" podało też inną wersję – zgodnie z nią „jakoby zamordowany należał do partii socjalistycznej, z którą następnie zerwał stosunki, i za to padł ofiarą zemsty partyjnej".

Róża Luksemburg przyjechała do Warszawy w końcu grudnia 1905 r., posługując się paszportem partyjnej koleżanki, Anny Matschke.

Nic nie wiadomo o związkach Edwarda z socjalistami. Miał je już w latach 90. XIX stulecia jego brat Teodor, jednak w okresie rewolucji nie było go w Warszawie, kierował fabryką w Charkowie, do stolicy wrócił kilka lat później. W okresie międzywojennym zasłynął jako współtwórca budownictwa społecznego. Do dziś zachowały się przedwojenne WSM-owskie kolonie mieszkaniowe na Żoliborzu i postawione z inicjatywy Teodora, zbudowane z lekkich materiałów domki jednorodzinne – można je zobaczyć w Otrębusach, w pobliżu pałacyku, w którym urodził

eprasa.pl b3301edd1e

się KTT. Drugie imię dobrze znany czytelnikom „Przeglądu" publicysta otrzymał po dziadku.

Róża Luksemburg przyjechała do Warszawy w końcu grudnia 1905 r., posługując się paszportem pożyczonym od partyjnej koleżanki, Anny Matschke. Wynajęła pokój przy Jasnej 1, na rogu Świętokrzyskiej. Tu na pierwszym piętrze znajdował się Pensjonat-Hotel W. Walewskiej i J. Jagmin. W nim zamieszkał też jej wieloletni partner Leon Jogiches, który przeniósł się z hotelu Victoria przy Jasnej 8. Zameldował się jako obywatel niemiecki Otto Engelmann.

Położony niedaleko Dworca Wiedeńskiego – w ruchliwym punkcie miasta, w którym nowi przybysze nie rzucają się w oczy – pensjonat spełniał wymogi konspiracji. Róża spędzała tu większość czasu, kierownictwo partii pilnowało, by nie pokazywała się publicznie, ograniczono nawet jej kontakty z braćmi i siostrą. Mimo podjętych środków ostrożności została aresztowana w niedzielę 4 marca, gdy była już przygotowana do powrotu do Berlina.

Do zastrzelonego Toeplitza przylgnęły określenia „ofiara pomyłki", „zamordowany przez pomyłkę". Tygodnik Ilustrowany „Świat" pisał o ofierze „rzekomej pomyłki", a wydawany w języku polskim w Petersburgu ugodowy „Kraj" ironizował: „Wszyscy znający zmarłego zachodzili w głowę, co mogło skłonić »partię bojową« do zabójstwa człowieka spokojnego, pracowitego, który nigdy nikomu wody nie zamącił, a w żadną tzw. politykę nie mieszał się wcale. Nareszcie rozwiązana została zagadka. Była to – *pomyłka*! Co za szczęście! Jaka pociecha dla biednej matki nieszczęśliwego! Pomyłka!".

Socjaliści zaprzeczają, ale…

9 kwietnia „Słowo" informowało: „Wczoraj odbył się pogrzeb b.p. Edwarda Toeplitza. O przyczynach morderstwa krążą jeszcze różne pogłoski. W kołach socjalistycznych zapewniają z całą stanowczością, że



Obraz nieznanego autora przestawia demonstrację na ulicach Warszawy, 1905 r.

morderstwo to nie ma nic wspólnego z aresztowaniem Róży Luxemburg". Dwa dni potem „Czerwony Sztandar" zamieścił zawiadomienie Komitetu Warszawskiego Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy: „Wobec bezmyślnej wieści kolportowanej przez prasę burżuazyjną (a której źródła szukać należy w kancelariach policyjnych), jakoby zabójstwo na Ed. Toeplitzu miało związek jakikolwiek z naszą partią, oświadczamy, że partia nasza absolutnie wspólnego nic z tą sprawą nie ma. (…) zarówno osoba, jak i stosunki zmarłego Toeplitza absolutnie nieznane były naszej organizacji i wskutek tego partia nasza nie mogła przeciw niemu podnosić żadnych uwłaczających czci zmarłego zarzutów".

Od zabójstwa Toeplitza odciął się także Bund, żydowska partia socjalistyczna. Z kolei „Robotnik" oświadczył 27 kwietnia: „Ponieważ uporczywie krążą pogłoski, że ohydne to morderstwo miało podkład zemsty politycznej, uważamy za swój obowiązek zaznaczyć, że samo podejrzenie uwłacza pamięci nieszczęśliwej ofiary bandytyzmu, która cieszyła się opinią uczciwego i uczynnego człowieka".

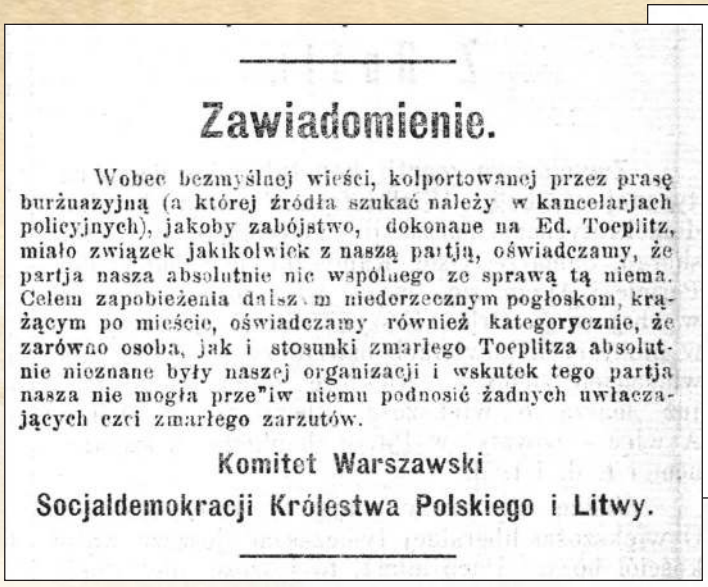
W redagowaniu oświadczenia SDKPiL musiał brać udział Jakub Hanecki. To on czuwał nad bezpieczeństwem Róży Luksemburg w Warszawie, po aresztowaniu odwiedzał ją w areszcie centralnym na tyłach ratusza, a potem w tzw. Serbii, kobiecym oddziale Pawiaka. Wystarał się tam o przestronną, nasłonecznioną celę i dobre jedzenie, przynosił prasę, książki, przybory piśmiennicze, by mogła pracować nad kolejnymi artykułami.

W 1929 r. Hanecki, wieloletni bliski współpracownik Lenina, zgładzony przez Stalina, opublikował w wydawanym w Moskwie czasopiśmie „Krasnaja Now" tekst „Areszt Róży Luksemburg". Wspominał: „Mimo naszego drobiazgowego śledztwa nie udało się nam ustalić dokładnej przyczyny aresztu. Zdołaliśmy jedynie ustalić, że niemałą rolę w tym areszcie odegrał zarządzający domem, który poinformował ochranę, że w pensjonacie mieszka jakaś tajemnicza osoba. Wkrótce po aresztowaniu Róży zarządzający został zabity i w mieście mówiono, że dosięgnęła go kara za zdradę Róży Luksemburg".

Brat Edwarda, Teodor, w okresie międzywojennym zasłynął jako współtwórca budownictwa społecznego.

Hanecki ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, czy za zamachem stała esdecja. Nie odniósł się też do pogłosek o zastrzeleniu Toeplitza przez pomyłkę. A przecież zaznaczył, że przed powrotem do Berlina Róża zgłosiła zamiar wyjazdu zarządzającemu domu, w którym mieścił się pensjonat. To była procedura obowiązkowa w ramach surowych przepisów meldunkowych, odpowiadali za nią zarządzający domami,

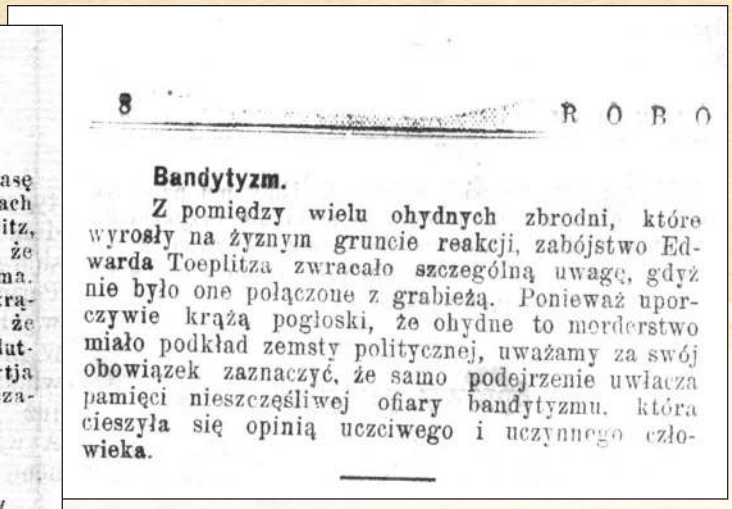
eprasa.pl b3301edd1e



Zawiadomienie.

Wobec bezmyślnej wieści, kolportowanej przez prasę burżuazyjną (a której źródła szukać należy w kancelarjach policyjnych), jakoby zabójstwo, dokonane na Ed. Toeplitz, miało związek jakikolwiek z naszą partją, oświadczamy, że partja nasza absolutnie nic wspólnego ze sprawą tą niema. Celem zapobieżenia dalszym niedorzecznym pogłoskom, krążącym po mieście, oświadczamy również kategorycznie, że zarówno osoba, jak i stosunki zmarłego Toeplitza absolutnie nieznane były naszej organizacji i wskutek tego partja nasza nie mogła przeciw niemu podnosić żadnych uwłaczających czci zmarłego zarzutów.

Komitet Warszawski
Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.



8 ROBO

Bandytyzm.

Z pomiędzy wielu ohydnych zbrodni, które wyrosły na żyznym gruncie reakcji, zabójstwo Edwarda Toeplitza zwracało szczególną uwagę, gdyż nie było one połączone z grabieżą. Ponieważ uporczywie krążą pogłoski, że ohydne to morderstwo miało podkład zemsty politycznej, uważamy za swój obowiązek zaznaczyć, że samo podejrzenie uwłacza pamięci nieszczęśliwej ofiary bandytyzmu, która cieszyła się opinią uczciwego i uczynnego człowieka.

O zabójstwie Edwarda Toeplitza pisały „Robotnik" i „Czerwony Sztandar".

nie zawsze byli to właściciele. Kamienica przy Jasnej 5 należała do matki Edwarda Toeplitza, wdowy po zmarłym we wrześniu 1905 r. Bonawenturze. Właścicielami domu przy Jasnej 1, w którym mieścił się pensjonat, byli bracia Aron i Izrael Bachrachowie.

Jeszcze jedna Róża Luksemburg

Prof. Feliks Tych, najwybitniejszy biograf i znawca spuścizny Róży Luksemburg, w artykule zamieszczonym w wydanym w 1968 r. zbiorze „Warszawa popowstaniowa" napisał, że kilka dni przed planowanym powrotem Róży do Berlina „ochrana warszawska otrzymała wiadomość, że przybyli z Berlina i zamieszkali w pensjonacie hr. Walewskiej pod nazwiskiem Anna Matschke i Otto Engelmann cudzoziemcy – to w rzeczywistości Róża Luksemburg i Leon Jogiches. (...) Trudno dziś powiedzieć, w jaki sposób ochrana wpadła na ślad pobytu Róży Luksemburg w Warszawie. Dotąd w archiwach policyjnych nie odnaleziono żadnego raportu na ten temat, jednak zupełnie wykluczyć faktu, że wiadomość tę policja zdobyła od znajdującego się w szeregach partii agenta, nie sposób. Faktem jest, że pierwszy sprawozdawczy raport żandarmerii o dokonanym aresztowaniu powołuje się właśnie »na otrzymane dane agenturalne« i przytym dane nie ogólnie naprowadzające na ślad anonimowych działaczy partii, lecz wręcz stwierdzające, że Anna Matschke to Róża Luksemburg, zaś Otto Engelmann to Leon Jogiches".

Współpracownicy zeznali, że dwukrotnie nachodziły Toeplitza nieznane osoby, żądając pieniędzy.

Kulisy aresztowania Róży Luksemburg, podobnie jak i zabójstwa Edwarda Toeplitza, pozostają zagadką. Zastrzelony nie był ani właścicielem, ani zarządcą kamienicy, w której znajdował się pensjonat hrabiny Walewskiej, nie mógł znać terminu powrotu Róży Luksemburg do Berlina. Z pewnością jednak dobrze wiedział, kim ona jest. Znał bardzo bogatego brata ojca Róży, Maurycego Luxemburga. Zresztą Toeplitzowie i Luxemburgowie znali się od pierwszych lat XIX w. Prapradziadek KTT Samuel i pradziadek Róży Elisze mieszkali przy Daniłowiczowskiej, chodzili do tego samego niewielkiego domu modlitwy przy tej samej ulicy, nazwanego starą synagogą niemiecką, czyli postępową.

Zabójstwo Edwarda nie przeszkodziło w małżeństwie syna Maurycego Luxemburga, Alfreda, kuzyna Róży, z jej imienniczką, wnuczką Bonawentury Toeplitza. Ślub odbył się 30 kwietnia 1907 r. – niewiele ponad rok od zamachu na Edwarda Toeplitza i trzy miesiące po zaocznym skazaniu na 15 lat katorgi Róży Luksemburg, która po zwolnieniu z więzienia za kaucją i łapówką uciekła za granicę. Relacjonując uroczystość ślubną w pokarmelickim kościele św. Józefa Oblubieńca przy Krakowskim Przedmieściu, „Kurier Warszawski" napisał: „Świątynię przepełniali przyjaciele i znajomi obu łączących się par". Nowo poślubiona przyjęła nazwisko męża, odtąd nazywała się Róża Luxemburg.

Krzysztof Pilawski



FOT. POLONA.PL, DOMENA PUBLICZNA (3), MUZEUM MIASTA WARSZAWY

eprasa.pl b3301edd1e

Zabiegani, pędzą…

Przejażdżka po Małopolsce na koniec 2025 roku

Anna Wyrwik

Starzy się krzywią, że czego tu oczekiwać, młodzi, że drogo, a pieniędzy nie ma. Jeżdżę po Małopolsce i pytam ludzi o rok, który mija, i o ten, co idzie. Wybrałam kierunek na zachód od Krakowa, bo na zachód jednak zawsze lepiej, prawda?

Mijam kolejne miejsca. Kryspinów, gdzie latem część Krakowa plażuje w rytm basów z głośników. Liszki. Czernichów. Wszystko szare i powysychane. Dalej widać góry, bliżej czuć niewymienione piece. Mijam Zator, gdzie Małopolska od średniowiecza zaopatruje się w karpie, a cały świat od ponad dekady przyjeżdża po rozrywkę na rollercoasterze. Przy domach coraz częściej powiewają polskie flagi. A przed domami stoją ogrodowe krzesła. Nie ławki, to nie Podlasie, to Małopolska. Wisła i Cracovia rządzą na murach. A poza tym Polska Walcząca, nieczytelne tagi i że ktoś jest cwelem albo dziwką.

Mijam kolejne miejsca, w tym to o nazwie Miejsce, bo tak się nazywa jedna z małopolskich wsi. Mijam Spytkowice, Smolice, Babice i wzgórze z zamkiem Lipowiec w Wygiełzowie. Jeżdżę i rozmawiam.

Przed marketem panie palą papierosy na tle bilbordu z promocją na kiełbasę.

– Zabiegani są wszyscy – mówi pierwsza i zaciąga się dymem.

– Zabiegani, pędzą, nie uśmiechają się, jest dramat z ludźmi – mówi druga i też bierze macha. – To jest trend czegoś, nie wiem czego, ale jakiś taki trend jest…

– …że ciągle za czymś gonią.

– Może za bogactwem? Nie wiem. Ciężko jest po prostu. Ciężko ze służbą zdrowia, ciężko z chorobami, ciężko ze wszystkim.

– Mnie się wydaje, że ten 2025 był taki ciężkawy.

– W pracy.

– Tak, w pracy, ale dla Polski też.

Smutne drzewa o zwisających gałęziach, na dachach smutne, zardzewiałe anteny Polsatu i C+.

„Żebyśmy nie zanurzyli się w tę nicość za życia”, mówi kobieta w radiu, bo rozmawia o śmierci, więc przełączam na muzykę – Nene Heroine, jazz, album „4”, ponoć płyta roku, też smutno, ale inaczej.



Renata, która prowadzi sklep z ubraniami, mówi, że zły rok za nią, bo ludzie robią zakupy w internecie.

Świat nie wie, na czym stoi

Od jakiegoś czasu, gdy o coś ludzi spytać, to wszyscy wspominający o Polsce są anonimowi. Dlatego nie ma imion (poza jednym wyjątkiem). I wszyscy o tej Polsce albo o polityce mówią. Jakiekolwiek zadać pytanie, tak odpowiadają, nawet jeśli tylko po to, by powiedzieć: nie wiem, bo się polityką nie interesuję, nie oglądam telewizji. Tak jakby każde pytanie wydawało nam się pytaniem o Polskę i politykę. Gdy więc pytam, jaki był dla pana/pani rok 2025…

– Mało telewizji oglądam, nie chcę, bo po co, na każdym programie mówią co innego – słyszę od jednej z kobiet.

– Oglądam telewizję i oglądam internet, i widać, że rządzący słabo sobie radzą, a jak w domu ktoś źle gospodaruje, to w domu źle – odpowiada inna kobieta gdzie indziej. Na rynku sprzedaje już ozdobione małe choinki, bo emerytury ma tysiąc siedemset, więc korzysta z Bożego Narodzenia i ze Wszystkich Świętych, by dorobić. – Starzy powinni odejść, a polityką powinni zająć się młodzi i to oni powinni decydować o kraju.

Jest Polska, jest polityka i są finanse.

Wnioski po iluś rozmowach są takie, że rok finansowo był słabszy, a nawet najsłabszy od dawna, od lat siedmiu, od pięciu, od przedcovidu.

eprasa.pl b3301edd1e

Prąd drogi, wszystko drogie, drożyzna. Do tego politycy się nakręcają, jedni na drugich, i to na skalę kiedyś nieznaną. Znowu polityka. Ale wielu ludzi ma z rodziną i znajomymi pakty nierozmawiania o polityce przy grillu i alkoholu. A jak rozmawiają ze mną, to jedni mówią, że czekają na rozliczenia i że tamci to tylko TV Republika, propaganda i Nawrocki jest święty, a drudzy, że Tusk wszystko pod Niemcy sobie kręci. Wszyscy zaś gderają, że jak do koryta się dorwą ci politycy…

Za to Polska pięknieje, co ludzie widzą. Wszystko się zmienia, emerytka z emeryturą tysiąc siedemset mówi, że nawet tutaj, gdzie rozmawiamy, wszystko lepiej wygląda.

Mieszkaniec jednego z miejsc dokłada do dyskusji ekologię, twierdząc, że ochrona środowiska jest najważniejsza, powinna być priorytetem każdej władzy i trzeba więcej łożyć na wymianę pieców. Gdy wspominam o politykach, którzy negują kryzys klimatyczny, to się denerwuje.

Przy drogach są stare domy z cegły i nawet stare domy z drewna, jak z młodopolskich obrazów, bo to w końcu Małopolska. Są też wariacje na temat szlacheckich dworków oraz katalogowe standardy. Między nimi wszystkimi, gdzie tylko się da, wyrastają miniosiedla.

Miasto rośnie i rośnie i jak nadmuchane dobija do wsi, już dobiło, rośnie dalej, a gdzie tylko w tej wsi jakaś działka budowlana została wolna, rękoma deweloperów bloki dwa, trzy albo i siedem bloków się stawia. I często zasłaniają widok na zachód słońca, same tego widoku nie mając; tak blisko siebie są poupychane, że zastanawiam się, czy polska dusza to zniesie.

Jest więc rozwój, ale i strach, bo czasy są, jakie są, stwierdza jeden z mieszkańców jednego z miejsc, mamy wojnę za granicą i źle to działa na wszystko dookoła, ale oby nie było wojny u nas, choć trudno powiedzieć, bo Trump z Putinem już pewnie się dogadał. Ludzie wojny się boją, nawet jeśli nie myślą o niej codziennie, to gdzieś siedzi z tyłu głowy. Emerytka mówi, że wojna byłaby najgorsza w jej wieku, ale wydaje się jej realna.

W kwietniu tego roku na stronie Deutsche Welle można było przeczytać o analizie opublikowanej przez francuski magazyn „Le Grand Continent", dotyczącej oceny ryzyka wojny z Rosją w dziewięciu krajach UE: Belgii, Chorwacji, Francji, Hiszpanii, Holandii, Niemczech, Polsce, Portugalii i Włoszech. W Polsce wynik jest najwyższy – 77%. Dalej są Francja z 54% i Niemcy z 51%. We wrześniu Instytut Badań Pollster przeprowadził dla „Super Expressu" sondaż, w którym 55% badanych powiedziało, że Polsce grozi wojna, a że nie grozi – 45%.

– Co do wojny, nie wiemy, na czym stoimy – mówi pierwsza kobieta przed marketem i zaciąga się dymem.

– Świat nie wie, na czym stoi, dlatego wszyscy są tacy nerwowi – dodaje druga i też bierze macha. – A jak widzimy, co pokazują w telewizji, to ja nie wiem, co będzie.

– Dużo złego robi prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie przepadam za nim, jest dziwnym człowiekiem. Tak czy siak, na wojnach zarabia góra, a najbiedniejsi ludzie tracą. To wszystko jest ukartowane. Ale ja się nie boję. Byle zdrowie było.

W listopadzie więcej zadowolonych niż w październiku

W połowie października 2025 r. CBOS opublikował comiesięczny raport na temat nastrojów społecznych. 32% badanych uważało, że sytuacja w kraju zmierza w dobrym kierunku, a 50%, że nie. Zdania na ten temat nie miało 18% badanych. W pierwszej połowie listopada wyniki lekko się poprawiły i już 34% uznało, że sytuacja w kraju zmierza w dobrym kierunku, a przeciwnego zdania było wciąż więcej badanych, ale o 3% mniej niż w październiku, bo 47%. Zdania nie miało 19%.

W listopadowym raporcie możemy również się zapoznać z ocenami badanych dotyczącymi ich rodzin. 63% sytuację rodzinną ocenia jako dobrą, 32% jako ani dobrą, ani złą, a jako

Chciałabym, aby ludzie byli dla siebie bardziej życzliwi. Boli mnie ogromna znieczulica.



To nie Podlasie, to Małopolska. Wisła i Cracovia rządzą na murach, a poza tym Polska Walcząca.

FOT. ANNA WYRWIK

eprasa.pl b3301edd1e

złą tylko 4% badanych. Jeśli chodzi o warunki materialne gospodarstwa domowego, wyniki są podobne, czyli dla 62% są dobre, dla 33% ani dobre, ani złe, a dla 5% złe.

Co na przyszłość? Większość ludzi uważa, że za rok ich rodzinom będzie się żyło tak samo jak teraz. Takie zdanie ma 56% badanych. 18% sądzi, że będzie lepiej niż teraz, a 16%, że będzie gorzej.

– Zdrowie dopisuje, w przyszłym roku pięćdziesiątka, w mijającym psa kupiłam, miał być na polu, został w domu, dzieci na studiach, ja pracuję, mąż pracuje, widzimy się wieczorami – wylicza kobieta spotkana w przydrożnym sklepie. – Postanowienia? Rzucić palenie. Już kilka razy próbowałam. I marzy mi się jakaś wycieczka zagraniczna do ciepłych krajów, by zobaczyć coś ciekawego. Tak najbardziej to Nowa Zelandia, ale to chyba nierealne.

Mieszkanka uśmiecha się i optymizm wbija, bo opowiada, że wczoraj reprezentacja Polski została mistrzem świata w socca, czyli sześcioosobowej piłce nożnej, a tak mało się o nich mówi, wzdycha, bo mówi się o tych z jedenastoosobowej drużyny, co ledwo ciągną. Ale ani się obejrzę, znowu o Polsce.

– Uważam, że my, Polacy, jesteśmy zawistni i zazdrośni. Zazdrościmy sobie nawzajem i może innym narodom też… Jeden pan ze Śląska przyjeżdża tu handlować na rynku światełkami. Czemu nasi nie handlują? Bo nikt nie da sąsiadowi zarobić. Czego jeszcze zazdrościmy? Samochodu i telewizora to chyba już nie, rzecz nabyta, bardziej może domu albo działek. Przyjdzie wiosna, będzie fajniej! – mieszkanka się uśmiecha. – I ma być u nas pierwszy raz jarmark świąteczny.

Jarmarki są dziś, jak kraj długi i szeroki: rękodzieła, gastronomie, koncerty, zespoły pieśni i tańca, zagrody reniferów i świąteczne ścianki fotograficzne.

Mijam domy, przystanek, szkołę, za szkołą dzieci coś szponcą, a na parkingu auta stoją: srebrne, czarne, białe albo szare, bo inaczej zrobiłyby w krajobrazie niepotrzebne zamieszanie. Mikołaje dyndają ponad ulicami wśród światełek i przyprószonych sztucznym śniegiem stroików. Z głośników lecą świąteczne songi z USA. Mieszkańcy zaś mówią o social mediach.

– Ludzie są jacyś bardziej nerwowi dzisiaj. To przez te telefony i aplikacje – stwierdza jeden z nich.

– Wszyscy w internecie teraz wszystko robią – dodaje Renata, ta jedna nieanonimowa. – To wpływa negatywnie na relacje społeczne, bo gdy ludzie nie mają kontaktu face to face, wariują.

Podkreślają ludzie, że rolki oglądają godzinami i że to bez sensu, że net zabija żywy kontakt i że w necie wszyscy odważni są i chętni do hejtowania, bo – jak mówi Renata – każdemu siedzącemu z drugiej strony ekranu wydaje się, że jemu wszystko wolno i może człowieka zbluzgać od A do Z.

– Jest bardzo duży dostęp do social mediów – przyznaje pierwsza kobieta przed marketem. – To bardzo wpływa na ludzi.

– Na dzieci bardzo – dorzuca druga.

– Nie wszystkie informacje są potwierdzone. Ktoś coś przeczyta i sieje panikę…

Przy drogach też jest jak w social mediach i można te pobocza scrollować: „Święta pełne słodyczy”, „Przyjmujemy zamówienia na karpia żywego”, „Rozświetlanie choinki” „pod patronatem wójta”, a do tego „wspólne śpiewanie kolęd” i koncert zespołu Toporki, „Iluminacja choinki”, „choinki cięte i w donicach”, „jodła kaukaska, sosna, świerk srebrny, jodła koreańska”…

Spełniłam swoje marzenie

Renata prowadzi sklep z ubraniami i ocenia, że zły rok za nią, bo ludzie przerzucili się na internet i tam robią zakupy. Gdy pytam o 2026, mówi o marzeniach.

– Moim celem było dożyć do pięćdziesiątki i to mam za sobą – śmieje się. – Na wiele rzeczy nie mamy wpływu, co ma być, to będzie. Ja z rodziną kładziemy nacisk na podróże. Od kilku lat latamy do Stanów Zjednoczonych po dwa, trzy razy w roku. Uwielbiam Stany!

W 2025 r. Renata spełniła swoje marzenie – w wieku 50 lat zobaczyła zapalenie choinki pod Rockefeller Center. To była wyprawa śladami filmów „Kevin sam w domu” i „Kevin sam w Nowym Jorku”, czyli od przedmieść Chicago, gdzie w miejscowości Winnetka stoi dom McCallisterów, aż po Nowy Jork.

– Czytaliśmy dużo artykułów na temat kręcenia filmów o Kevinie i natknęliśmy się na informację, że Donald Trump zgodził się użyczyć swój hotel do jednej ze scen tylko pod warunkiem, że pojawi się w filmie – wzdycha Renata.

> My, Polacy, jesteśmy zawistni i zazdrośni. Zazdrościmy sobie nawzajem i może innym narodom też.

I chwilę rozmawiamy o prezydencie USA, a ona wspomina, że podczas podróży po Ameryce widziała wielu bezdomnych i nie podoba jej się postawa Trumpa wobec nich. Jest nieludzka. Wracając do marzeń, w przyszłym roku Renata chciałaby odwiedzić dr. Jana Pola, znanego weterynarza z Michigan, który od lat prowadzi w telewizji program „Niezwykły dr Pol”.

– Chciałabym też w końcu zobaczyć wodospad Niagara. Ale kto wie, gdzie nas poniesie na przyszły rok…

Ludzie różne mają priorytety, ale ogólnie to dzieci na studiach, praca, no i by zdrowie było, bo jak zdrowie jest, to reszta będzie się kręcić. I mówią, że życzą innym i sobie więcej optymizmu. Proszę na koniec Renatę o jakieś życzenia.

– Chciałabym, aby ludzie byli dla siebie bardziej życzliwi. Boli mnie ogromna znieczulica, gdy np. ktoś leży na chodniku, a wszyscy kładą na nim kreskę, bo pewnie jest pijany, podczas gdy komuś mogło coś się stać. Mało ludzi działa w odruchu serca. Gdy jestem w USA, uśmiech nie schodzi mi z twarzy, bo tam wszyscy się do siebie uśmiechają. Chciałabym, by i tu tak było.

Anna Wyrwik

eprasa.pl b3301edd1e

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Radość bycia z innymi

Co roku staram się na 6 grudnia być w Alicante. A to z powodu odbywającej się tam tego dnia wielkiej parady, związanej z obchodami święta narodowego Hiszpanii, Dnia Konstytucji. Także w tym roku spędziłem tam mikołajkowy wieczór. Cóż to był za spektakl! Zgromadził tysiące osób wzdłuż Rambli – głównej ulicy miasta. I wcale nie dominowali turyści, których skądinąd w tym roku było wyjątkowo wielu (w tym setki naszych rodaków). To głównie miejscowi podziwiali i nagradzali oklaskami kilkanaście orkiestr dętych, dziesiątki zespołów tanecznych, przejazd wielu platform z przeróżnymi żywymi obrazami, hidalgów (szlachciców) na koniach oraz reprezentacje poszczególnych cechów. Większość występujących była w strojach ludowych, wielu w przebraniach historycznych.

Każdego roku ujmuje mnie w tej paradzie wspaniałe połączenie tradycji narodowej, prezentowanej bez zadęcia i tromtadracji, uśmiech występujących i szczera życzliwość widzów. Wygląda na to, że całe miasto jest zaangażowane w to wielkie, radosne wydarzenie. Jego uczestnicy muszą godzinami przygotowywać się do występu, co ogromnie podziwiam, dowodzi to bowiem, jak ważna dla mieszkańców Alicante jest chęć bycia razem, okazania siły wspólnotowości, jak dużo czasu poświęcają pielęgnowaniu dumy ze swojej małej i dużej ojczyzny. Wzrusza mnie też uczestnictwo osób w bardzo zróżnicowanym wieku, od dzieci, przez młodzież, aż do ludzi starych. Często maszerują w jednym szeregu. Widać, jak bardzo wszyscy się cieszą z bycia tego dnia razem. A potem fiesta trwa niemal do rana.

Również w dzień restauracje i bary są pełne. I, co najważniejsze, ludzie ze sobą rozmawiają! Nie gapią się każdy w swój telefon, co tak często obserwuję u nas. Powtarzam, Hiszpanie cieszą się z bycia razem (łagodny klimat nader temu sprzyja). Pokazuje to, że lokalna kultura może z powodzeniem przeciwstawić się hiperindywidualistycznym presjom dzisiejszego turbokapitalizmu, nastawieniu na walkę i konkurencję, które skutecznie rozbija delikatną tkankę wspólnotowości. Dlatego lubię być w Hiszpanii, podobnie jak w Portugalii. Sympatyczne są także pod tym względem Włochy, choć raczej południowe niż północne.

A Polska? Różnie z tym bywa. Trzeba się wystrzegać generalizujących ocen. Z pewnością najważniejszy jest kontekst lokalny. Nie znam żadnych polskich badań na ten temat, ale moje doświadczenie jako kogoś, kto mieszka trochę w dużym mieście, a trochę na wsi, pokazuje, że z owym poczuciem wspólnotowości lepiej jest na wsi i w małych miasteczkach. W mojej wsi zawsze ujmowały mnie gotowość ludzi do pomocy oraz swoiste poczucie dumy z bycia miejscowym. Nie powinno to zaskakiwać, od bardzo dawna bowiem wiadomo, że środowisko wielkomiejskie sprzyja raczej obcości niż bliskości. Już ponad 100 lat temu zauważył to wielki niemiecki socjolog i filozof Georg Simmel, pisząc sławny esej „Mentalność mieszkańców wielkich miast" (1903).

Sprawa ma też jednak kontekst historyczny. Dam przykład mojego dzieciństwa (lata 60. XX w.). Byłem dzieckiem podwórka, spędzałem całe dnie z kolegami, bawiąc się w gry i zabawy przez nas samych wymyślane. Ale nie to jest najważniejsze. Chodzi raczej o ówczesne wychowywanie dzieci z ogromnym udziałem wspólnoty większej niż tylko rodzinna. Pamiętam, że opiekowali się nami ci akurat rodzice, którzy byli na miejscu i od czasu do czasu sprawdzali, co się dzieje na podwórku. A niekiedy po prostu nas żywili, nie zwracając uwagi, kto jest dzieckiem własnym, a kto sąsiadów. Moja matka była w tym znakomita, regularnie dożywiając moich kolegów z zaniedbanej rodziny, którzy odwdzięczali się potem wielką dla niej sympatią, a dla mnie przyjaźnią, stanowiąc nadto swoistą ochronę w dzielnicy, która nie była najlepsza. Między innymi ta żywiołowa solidarność i wspólnotowa opiekuńczość spowodowały, że wspominam swoje dzieciństwo jako nader szczęśliwe. To pewnie już wtedy ukształtowało się we mnie przekonanie, że podstawą zadowolenia z życia czy po prostu szczęścia jest bycie z innymi (potwierdza to współczesna socjologia i psychologia).

> Kapitalizm nakłania nas do tego, abyśmy byli bogaci i samotni.

I dlatego za główny grzech dzisiejszego świata Zachodu uważam tak wielki nacisk kładziony na indywidualizm. Stoi za tym oczywiście współczesny kapitalizm, który nakłania nas do tego, abyśmy byli bogaci i samotni. Dewastuje on nasze życie w wielu wymiarach, ale ten uważam za kluczowy. I gdy czytam dziś o upadku romantycznej miłości i kryzysie przyjaźni, obwiniam za to kapitalistyczne nastawienie na traktowanie wszystkich jako konkurentów, narzędzi w naszych rękach, elementów gry, w której chodzi wyłącznie o nasz interes. Być może stajemy się przez to materialnie bogatsi, ale karlejemy duchowo i społecznie. Zmierzamy ku światu pełnemu zamożnych i nieszczęśliwych egoistów, którzy poczucie pustki i samotności leczą konsumpcją. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b3301edd1e

TEATR powinien dawać odpowiedzi

Chcę przemycać na scenę postulaty oświeceniowe



MATEUSZ PAKUŁA
– dramatopisarz i reżyser, laureat Nagrody im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Napisał pan ok. 30 oryginalnych utworów dramatycznych.

– Wydaje mi się, że nawet więcej, ale kilka nie trafiło nigdy na scenę.

Do tego piję, bo konkursów dramaturgicznych jest coraz więcej. Sam pan wielokrotnie bywał ich laureatem. Co roku powstaje w Polsce 500-600 nowych dramatów konkursowych.

– A w szkołach teatralnych drugie tyle na zajęciach dramaturgicznych.

Ich część, nawet znaczniejsza, nigdy do teatru nie trafia.

– Moim zdaniem to nie szkodzi. Nie wszystkie te sztuki muszą trafiać na scenę. Część może funkcjonować jako propozycja literacka. Jestem orędownikiem traktowania dramatu jako literatury, która nie musi realizować się na scenie. Konkuruje z tym pogląd, że dramat żyje dopiero na scenie, a w czytaniu to takie nie wiadomo co.

Też uważam, że to literatura. Choć nie jest to lektura popytna.

– Bardzo niepopytna i myślę, że wszystko zaczyna się w szkole i od edukacji. Od tego, jak w ogóle uczy się czytania czegokolwiek. A jak się uczy czytania dramatu i poezji, to w ogóle dramat w polskiej edukacji.

Nomen omen.

– Z tym czytaniem i dramatem jako literaturą nie wszystko jest takie oczywiste. Najwięcej się nauczyłem i największym moim zyskiem na początku drogi dramatopisarskiej były zajęcia w szkole teatralnej, w ramach których napisałem jeden z pierwszych tekstów. Zrealizowało go czworo moich kolegów, powstały cztery naprawdę różne spektakle.

To rzadka przygoda.

– Bardzo rzadka. Szkoła teatralna faktycznie pozwala na takie eksperymenty, a to nauka, której się nie dostanie nigdzie indziej. Był to dla mnie ogromny zysk – faktycznie zobaczyć, co działa i co nie działa na scenie albo co sobie mogą reżyser czy reżyserka wyciągnąć, podbić i wyinterpretować. Kiedy działa język, a kiedy bardziej charyzma aktora.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/TEATR ŁAŹNIA NOWA

eprasa.pl b3301edd1e

Pan ma niezłą praktykę podwójnego spojrzenia na własne utwory: jako autor i reżyser. Jak pan ze sobą rozmawia? Czy reżyser strofuje autora?

– Odetchnąłem z ulgą, kiedy zacząłem być reżyserem własnych tekstów. Bo przez wiele lat tylko oddawałem teksty innym. Czasami to się udawało lepiej, czasami gorzej, kosztowało mnie to dużo nerwów.

A pan woli się denerwować sam na siebie.

– Zdecydowanie. Wydaje mi się, że reżyseruję sobie te teksty już na poziomie pisania. Obsadę znam wcześniej. To kluczowe. Piszę pod konkretnych aktorów. Spektakl, przed którym rozmawiamy, „Latający Potwór Spaghetti", cały mi się ułożył w głowie właśnie dzięki temu, że wiedziałem, kto kogo gra: kto Szatana, Jezusa, a kto Ducha Świętego.

Pracuje pan jak Fredro.

– Trochę tak. To też kwestia jakiegoś zakochania w konkretnych aktorach, dawania im zadań, stawiania przed nimi nowych wyzwań. Ale to jest właśnie fajne.

Świetna zabawa.

– To była chyba najprzyjemniejsza zabawa. Zrobiłem kilka ważniejszych spektakli, jeśli chodzi o ich powagę i doniosłość. Ale ten dał mi szczególną frajdę, bo wiedziałem, dla kogo piszę. No i jest bardzo śmieszny. Moi aktorzy świetnie się bawią, podobnie jak ja i publiczność.

Z „Jak nie zabiłem swojego ojca" też tak było. Nie zrobiłbym tego spektaklu w ogóle, gdybym na początku nie wymyślił obsady. Ale należało pokonać przeszkodę, bo to jednak była proza, która zawierała zresztą utwór dramatyczny.

Niewykorzystany w spektaklu.

– Wykorzystany jako osobny spektakl. „Lem vs. P.K. Dick" powstał wcześniej, w trakcie pandemii, kiedy mój ojciec był chory. Potem to weszło w skład książki.

Na scenie pewnie byłoby trudniej to połączyć.

– Mieliśmy marzenie, żeby zagrać po sobie te dwa spektakle albo jakoś je połączyć. Tam jest jeszcze jeden element, wojenny monolog babci. Początkowo chcieliśmy zrobić tryptyk.

Spektakl wywołał sensację, ale tekst chyba nie miał się znaleźć na scenie.

– Dlatego napisałem książkę prozatorską, bo wydawało mi się niemożliwe, żeby z tego zrobić przedstawienie. Potem mój znajomy, psycholog, powiedział mi, że to było tylko odsunięcie w czasie realizacji scenicznej i stopniowe zbliżanie się do niej. Faktycznie, napisałem tę książkę, ale długo szukałem dla niej wydawcy.

Bali się?

– Tak, różnych rzeczy. Przynajmniej do różnych się przyznawali. Na przykład tego, że w środku jest dramat. Albo że to zbyt osobiste i dziennikowe, że są konkretne osoby: syn, ojciec, padają nazwiska. Ale moja intuicja okazała się słuszna – im to jest konkretniejsze, tym bardziej ludzi dotyka i tym bardziej się w tej historii przeglądają. Co zaskakujące, redaktorzy z dużych wydawnictw uważali inaczej. Kiedy czwarte wydawnictwo odmówiło, byłem bliski przyznania, że mają rację i trzeba to przeredagować. Ale trafiłem na wspaniałą wydawczynię Krystynę Bratkowską.

Obsadę znam wcześniej. To kluczowe. Piszę pod konkretnych aktorów.

Gdy już znalazłem redaktorkę i wiadomo było, że to zostanie wydane lada miesiąc, przyszło mi do głowy, że można by tekst zaadaptować. Wtedy dopiero uwolniłem się od poczucia, że jest zbyt rodzajowy, pretensjonalny, dosłowny itd.

A potem?

– Wymyśliłem, że będzie czterech facetów w moim wieku, poczwórny Mateusz będzie to opowiadał. Potem poczwórny Mateusz trochę się zróżnicował: okazało się, że jeden w zasadzie jest ojcem, drugi kilkunastoma osobami.

Trochę się rozgałęził.

– Gdy to wszystko wymyśliłem, stwierdziłem, że wiem, jak to zrobić. Postanowiłem do spektaklu zaprosić swojego brata i to była kluczowa decyzja. Wszyscy tego przedstawienia się bali, niektórzy przestrzegali, że nic z tego nie wyjdzie. Ci, którzy wcześniej mówili, że nie wyjdzie, po dobrej recepcji książki stwierdzili, że w teatrze na pewno się nie uda. Potem, że w książce się udało, w teatrze też, ale w Teatrze Telewizji nie ma szans. No i też się udało.

A teraz będą mówić, że w filmie nie wyjdzie.

– Pewnie będzie to już zupełnie coś innego, bo to nie będzie moja reżyseria, ale są plany nakręcenia filmu.

Po drugiej pana powieści, „Skóra po dziadku", pojawiły się głosy, że Pakuła eksploatuje rodzinę i ciekawe, na kogo teraz będzie polował. A poza tym, że to dziwaczna proza, nie wiadomo, czy artystyczna. Jak pan do tego się odnosi?

– Wzruszeniem ramion. Cóż mogę z tym zrobić? Od redaktorki w dużym wydawnictwie usłyszałem, że dziennik w ogóle nie jest literaturą.

Parę nazwisk dałoby się wymienić.

– Od razu pomyślałem o Gombrowiczu i Sándorze Máraiu. Myślę o swojej prozie, cokolwiek to znaczy, że jest artystyczna w tym sensie, że jest poetycka, mieści dużo emocji, buduję zdania i ciągi zdań muzycznie. Przeglądam się w tej prozie z poczuciem, że próbuję się dobić do jakiegoś piękna. Ono dla mnie się zawiera głównie w prawdzie czy w prawdziwości. Próbuję się dobijać do tej prawdy i tam znajduję piękno. Ale lubię też ładnie brzmiące zdania. Choć zabawa językiem albo intertekstualność mniej mnie interesuje niż w pierwszych tekstach dramatycznych. Prawdopodobnie to była konieczność na pewnym etapie rozwoju, niezbędna szczeniacka zabawa, ale chęć na to mi przeszła.

Rozumiem te śmieszności, które wynikają z tego, że autor zabrał się do ojca, a teraz do dziadka. Łatwo sobie robić z tego dowcipy.

Chociaż tematy tych książek do dowcipów nie nastrajają.

– Myślę, że to są dowcipy robione przez osoby, które nie zajrzały głębiej do tych treści.

Mówi pan o pięknie prawdy, inaczej rzecz ujmując, że teatr, literatura, sztuka niekoniecznie są tylko do

eprasa.pl b3301edd1e

zadawania pytań – bo także do dawania odpowiedzi. To mnie zaintrygowało. W ostatnich dziesięcioleciach żyjemy pod panowaniem teatru i literatury pytań. Nie powinno być tam żadnych wskazówek. Tylko inspirujemy, a ty martw się sama, sam i szukaj. Pan mówi: nie, ja coś proponuję. Bycie pedagogiem społecznym nie jest ryzykowne?

– To też czasem mi zarzucają, ale jestem już zmęczony zadawaniem pytań. Parę lat temu zapytano mnie, o czym będzie przygotowywany spektakl. Odpowiedziałem, że o ewolucji. Któryś rozmówca powiedział, że przecież nie wiadomo, jak było z ewolucją, to tylko teoria, a za chwilę może się okazać, że to nieprawda. Wtedy zrozumiałem, że teatr powinien dawać jakieś odpowiedzi, np. mógłby wyjaśnić, czym się różni teoria w sensie kolokwialnym od teorii naukowej, czyli czegoś, co jest udowodnione, bo wielokrotnie próbowano to obalać i się nie udało. Uznałem, że sztuka powinna – albo przynajmniej ja chciałbym – sprzyjać oświeceniu, dążeniu ku prawdzie i poznawaniu rzeczywistości, a nie jej rozmydlaniu.

Sztuka powinna sprzyjać poznawaniu rzeczywistości, a nie jej rozmydlaniu.

Wszystko można zrelatywizować.

– Mam wrażenie – a miałem takie poczucie już jako student, dramaturg i potem jako widz spektakli – że wszyscy w kółko zastanawiają się nad tym samym. Choć dawno wiedzą, jak to jest. Nad duszą artysty, nad tym, skąd zło. Wciąż stawia się te pytania i nie ma żadnych odpowiedzi, a przecież wiadomo, skąd się bierze zło, przynajmniej w jakimś stopniu. Możemy zaczerpnąć odpowiedzi z nauki, z biologii ewolucyjnej i już będziemy mieć jakąś odpowiedź. Możemy się posunąć dalej, a nie od 100 lat zadawać sobie te same pytania. Chyba byłem tym zmęczony. Uważałem, że powinniśmy ruszyć dalej z tymi pytaniami.

Jeżeli się udziela odpowiedzi, to też jest zaproszenie do dialogu. To nie znaczy, że widz już nie ma nic do roboty.

– Zdecydowanie tak. Kiedy wyrażam jasne sformułowania, światopoglądowe albo jakieś inne, które mogą wyglądać jak odpowiedzi na pewne kwestie, nie jest to nic ostatecznego. Każdy może powiedzieć: nie, ja uważam inaczej. To może być zaproszenie do dyskusji, grunt, od którego można się odbić.

Powołał się pan na oświecenie, które w Polsce nie zostało przerobione.

– Myślę, że zostało mocno stłamszone przez romantyzm, związany silnie z naszą niepodległością, z tworzeniem się wspólnoty narodowej. Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański to nasz rdzeń. Maria Janion mówiła, że ten upiór romantyczny nas dręczy, dlatego u nas wygrywają serce, czucie i wiara, a nie szkiełko i oko mędrca, w którym jest lokowane to złe. Chciałem spróbować przemycić ten pogląd do teatru, który został owładnięty przez romantyzm. Bo w ogóle sztuka to sfera irracjonalna i tak jest dobrze. Chciałbym do teatru przemycać oświeceniowe postulaty, które wcale nie są antyhumanistyczne, wręcz przeciwnie.

Tak zostały namalowane.

– To prawda, mędrzec z ballady „Romantyczność", ze szkiełkiem i okiem, to trochę taki naukowiec jak Frankenstein. Czyli źle się bawić w Boga i uważać, że się wszystko wie.

Uczony to zimny drań.

– Tak, zimny, uczony drań. Warto walczyć ze stereotypami, które są głęboko zakorzenione.

Na koniec zajrzyjmy do kolekcji pańskich wyróżnień. Jak pan żyje z tymi 30 nagrodami? Boi się pan ich trochę czy się cieszy?

– Bardzo się cieszyłem. Zwłaszcza kiedy dostawaliśmy pierwsze nagrody, ogromny aplauz środowiska, krytyki i widzów dla „Jak nie zabiłem swojego ojca". Pierwszy taki moment to konkurs na wystawienie polskiej sztuki współczesnej, to był akurat świetny rok w polskim teatrze, a my dostaliśmy wtedy dużo nagród indywidualnych i na koniec, czego się nie spodziewaliśmy, grand prix. Był to pierwszy sygnał, że ten spektakl dotyka ludzi jeszcze na jakimś bardzo ponadteatralnym poziomie. Poza tym, że to jest dobra teatralnie robota. No a potem ruszyły kolejne konkursy, w tym Boska Komedia, co było dla mnie bardzo istotne, bo to międzynarodowe jury i międzynarodowa publiczność, a nie byliśmy pewni, czy spektakl jest uniwersalny. Ale okazało się, że działa.

A potem?

– Potem zaczęło mi to ciążyć, zacząłem czuć zawiść środowiskową, to, że wszyscy uważają, że już dość, wystarczy, oj tam, oj tam, wielkie mi arcydzieło. Później był ważny dla mnie moment, kiedy nagraliśmy spektakl dla Teatru Telewizji, bo z tych kilkudziesięciu tysięcy widzów na festiwalach zrobiło się kilkaset tysięcy przed telewizorami, czyli ważny przeskok.

Obecnie wydaje mi się, że konkursy mają sens w odniesieniu do debiutantów, twórców na początku drogi. Jak Gdyńska Nagroda Dramaturgiczna. Także konkurs na wystawienie sztuki współczesnej to jedna z najlepszych rzeczy, jakie się przytrafiły polskiemu teatrowi i współczesnej dramaturgii. Gdyby nie ten konkurs, połowa dyrektorów teatrów nie chciałaby robić polskiej dramaturgii.

Dla mnie więcej zrobił pierwszy finał Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej, gdzie jako dwudziestoparoletni szczeniak ze swoim debiutem znalazłem się obok „Naszej klasy" Tadeusza Słobodzianka w finale, niż wygranie tego konkursu parę lat później. To spowodowało, że potem trafiłem do Łaźni Nowej jako jeden z młodych zdolnych. Wtedy napisałem „Wejście Smoka. Trailer". To ważne momenty, które mogą coś zmienić w karierze młodych twórców. Potem wyścigi uznanych twórców już chyba nie mają sensu. Sens mają takie nagrody jak Nagroda Boya, gdzie nikt z nikim się nie ściga, tylko po prostu się je dostaje.

Gdy przyznawaliśmy panu tę nagrodę, nawet nie zauważyłem, że jest pan drugim dramatopisarzem, który ją dostaje. Pierwszy był Sławomir Mrożek, 35 lat temu.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl b3301edd1e



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Bombki wojennej strategii

Kiedy taki amator jak ja czyta Narodową Strategię Bezpieczeństwa, opublikowany w listopadzie fundamentalny dokument amerykańskiej polityki (zasadniczo tej globalnej w służbie lokalnej), z każdą stroną pogrąża się w konfuzji. Chwilami nieudolna, grafomańska wręcz laurka trumpohołdna, epos o herosie, Najwybitniejszym Przywódcy „wolnego" świata. Były podśmiechujki z kultu Stalina czy Ceaușescu? Słońce Appalachów, Doliny Krzemowej i pasów rdzy opiewany jest niezgorzej. Zapewne tysiące mózgów na całym świecie rozkminiają, za gruby hajs, co to naprawdę znaczy dla ich regionu, kraju, interesów, bezpieczeństwa, przyszłości. Czy mamy tu odę do hegemonii, czy raczej jest to wypełniony paroksyzmami snów o potędze akt zgonu zranionego śmiertelnie globalnego hegemona? Z całą pewnością jest to koniec snu o Ameryce śnionego wśród elit europejskich, szczególnie polskich, które zawierzyły USA, z Trumpem czy bez, bardziej niż Jasnogórskiej Panience.

Pozaedukacyjna „osobowość" obecnego Trumpa wykuła się w jednej tylko kuźni: własnego interesu, bezwzględnej eksploracji kapitalistycznych reguł, trików, matactw, oszustw i kombinacji. Teraz ten model „zarządzania", jedyny dostępny aparatowi umieszczonemu w czaszce (nie odważę się użyć słowa mózg) „Pomarańczowego", będzie stanowił Nowe Reguły, zapowiadające kompleksową, nieokiełznaną próbę wyjścia ze stanu upadłości USA. W oczy rzuca się najcieplej potraktowany wymiar przemocy militarnej, możliwej do zastosowania wszędzie i przeciw każdemu. I żadnego przepraszania za cokolwiek, co już się zmajstrowało.

Bez pakietu cytatów się nie obejdzie: „Począwszy od mojego pierwszego dnia urzędowania, przywróciliśmy suwerenne granice Stanów Zjednoczonych i skierowaliśmy amerykańskie wojsko, aby powstrzymać inwazję na nasz kraj. Usunęliśmy radykalną ideologię gender i szaleństwo »woke« z naszych Sił Zbrojnych i rozpoczęliśmy wzmacnianie naszej armii inwestycjami w wysokości 1 bln dol. Odbudowaliśmy nasze sojusze i sprawiliśmy, że nasi sojusznicy wnieśli większy wkład w naszą wspólną obronę – w tym historyczne zobowiązanie krajów NATO do podniesienia wydatków na obronność z 2 do 5% PKB. (…) W operacji Midnight Hammer znacząco osłabiliśmy irański program nuklearny. Zadekretowałem kartele narkotykowe i dzikie zagraniczne gangi działające w naszym regionie jako Zagraniczne Organizacje Terrorystyczne. Wszędzie na świecie zaprowadzamy pokój. (…) Poniższa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego to dokument, który jest drogowskazem, który zapewni, że Ameryka pozostanie największym i najbardziej udanym narodem w historii ludzkości, domem wolności na ziemi. (…) Sprawy innych krajów są naszą troską tylko wtedy, gdy ich działania bezpośrednio zagrażają naszym interesom. (…) Po pierwsze i najważniejsze, chcemy dalszego przetrwania i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych jako niezależnej, suwerennej republiki, której rząd zabezpiecza nadane przez Boga prawa. (…) Chcemy zrekrutować, wyszkolić, wyposażyć i wystawić najpotężniejsze, najbardziej zabójcze i najbardziej zaawansowane technologicznie wojsko na świecie, aby chronić nasze interesy, odstraszać od wojen i – jeśli to konieczne – wygrywać je szybko i decydująco, przy jak najmniejszych stratach w naszych siłach. I chcemy armii, w której każdy żołnierz jest dumny ze swojego kraju i pewny swojej misji. Chcemy najbardziej solidnego, wiarygodnego i nowoczesnego odstraszania nuklearnego na świecie oraz obrony rakietowej następnej generacji – w tym »Złotej Kopuły« dla amerykańskiej ojczyzny – aby chronić amerykański naród, amerykańskie aktywa za granicą i amerykańskich sojuszników. (…) Chcemy utrzymać niezrównaną »miękką siłę« Stanów Zjednoczonych, dzięki której wywieramy pozytywny wpływ na cały świat, służący naszym interesom. Czyniąc to, nie będziemy przepraszać za przeszłość i teraźniejszość naszego kraju. (…) Pokój poprzez siłę – siła jest najlepszym odstraszaczem. Kraje lub inni aktorzy wystarczająco odstraszeni od zagrażania amerykańskim interesom nie będą tego robić. (…) Dla kraju o tak licznych i zróżnicowanych interesach jak nasze, sztywne trzymanie się nieinterwencjonizmu nie jest możliwe. Jednak ta predyspozycja powinna ustawić wysoko poprzeczkę dla tego, co stanowi uzasadnioną interwencję. (…) Silna, sprawna armia nie może istnieć bez silnej, sprawnej bazy przemysłu obronnego. Ameryka wymaga narodowej mobilizacji do stworzenia innowacyjnej, potężnej obrony za niską cenę, produkcji najbardziej sprawnych i nowoczesnych systemów i amunicji na dużą skalę oraz przeniesienia do kraju naszych łańcuchów dostaw przemysłu obronnego. Aby zrealizować wizję prezydenta Trumpa dotyczącą pokoju poprzez siłę, musimy to zrobić szybko".

Strach się bać. Dziwi tylko, że Donald Trump nie wyjawił, że to on jest ojcem Jezusa, narodzonego tak naprawdę w Teksasie.

Wszystkiego dobrego Czytelniczkom i Czytelnikom „Przeglądu", dumą jest tu pisać. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b3301edd1e



Siedziba Klubu Księgarza znajduje się w kamienicy przy Rynku Starego Miasta 22.

JUBILEUSZ KLUBU KSIĘGARZA

To miejsce dla wszystkich, którzy współtworzą książki – wydawców, drukarzy, księgarzy i bibliotekarzy i autorów.



Jan Rodzeń jest gospodarzem Klubu Księgarza od 38 lat.

Paweł Dybicz

Kiedy stalinizm na dobre zaczął upadać i czuło się polityczną odwilż w środowisku księgarzy i literatów, zrodziła się idea powstania w Warszawie Klubu Księgarza. Z poparciem ówczesnych władz, które przydzieliły mu lokal przy Rynku Starego Miasta, Klub rozpoczął działalność 13 grudnia 1955 r. Data miała prawdopodobnie związek z przedwojennym świętem księgarzy, obchodzonym właśnie tego dnia. Akurat minęło więc 70 lat od tego wydarzenia i rocznica zgromadziła liczne grono współpracowników, przyjaciół i bywalców Klubu.

Choć w nazwie przywołani są księgarze, tak naprawdę jest to klub wszystkich, którzy współtworzą książki – wydawców, drukarzy, księgarzy i bibliotekarzy. I oczywiście autorów. W historii Klubu przewinęły się ich setki, zarówno wielkich literatów, jak i tych, którzy bez rozgłosu tworzyli pozycje do dziś pozostające publikacjami pomnikowymi: słowniki, przewodniki i encyklopedie.

Klub rozpoczął działalność, 70 lat temu, 13 grudnia 1955 r. Data miała związek z przedwojennym świętem księgarzy.

W czasie jubileuszowego spotkania były wspomnienia i anegdoty, listy i życzenia (m.in. od Rafała Skąpskiego, prezesa Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, i Marka Wawrzkiewicza, prezesa Związku Literatów Polskich), a także wręczenie odznak i wyróżnień. Prym wiódł gospodarz Klubu od 38 lat, czyli Jan Rodzeń. Człowiek instytucja, bez którego Klub Księgarza by nie istniał. To znakomity gawędziarz. Gdyby ktoś zebrał chociaż część jego opowieści, wspomnień o ludziach książki i pisarzach, byłby to wydawniczy bestseller. Kilkoma anegdotami podzielił się podczas spotkania, wywołując śmiech i wzruszenie słuchaczy.

Od wielu, wielu lat Jan Rodzeń walczy o istnienie Klubu, ciągle nie

eprasa.pl b3301edd1e



Nagrodzeni podczas jubileuszu Klubu Księgarza.

wiadomo, czy umowa najmu zostanie przedłużona na kolejny rok.

Z Klubem Księgarza nierozerwalnie związana była nagroda Warszawskiej Premiery Literackiej, przyznawana autorom najlepszej książki w danym miesiącu. Otrzymywali ją nie tylko literaci, ale i naukowcy, np. prof. Andrzej Walicki. Nagroda formalnie nie została zlikwidowana, jest zawieszona od kilku lat. Dziwi, że władze stolicy nie są zainteresowane jej reaktywowaniem, a przecież była wizytówką Warszawy na kulturalnej mapie Polski.

Badania pokazują stały spadek czytelnictwa w Polsce, ale jeszcze szybsze jest tempo zamykania się księgarń. Miejmy świadomość roli tych, którzy wkładają ogromny wysiłek w to, by pojawiały się kolejne pozycje książkowe, a dotychczas wydane zyskiwały rozgłos i uwagę czytelników. Klub Księgarza z jego nieco staroświeckim wystrojem i gablotami wypełnionymi świetnymi tytułami z przeszłości wygląda jak miejsce, w którym czas się zatrzymał. Nic bardziej mylnego. Ludzie, którzy w nim pracują, nadal trzymają rękę na pulsie rynku wydawniczego, a szczególnie dbają o zapewnienie okazji do rozmowy o wartościowych i ciekawych publikacjach, za którymi nie stoi potężna machina marketingowa. ■

Maria Pakulnis o prawdzie nie tylko w teatrze

W klimatycznej galerii Janusza Golika na warszawskiej Saskiej Kępie Maria Pakulnis spotkała się z Klubem Krytyki Teatralnej SDRP/polską sekcją AICT. Spotkanie odbyło się z okazji wręczenia artystce nagrody specjalnej im. Stefana Treugutta za rolę pani Alving w „Upiorach" Henryka Ibsena w reżyserii Anny Augustynowicz w Teatrze Telewizji.

Nagroda Treugutta już od lat premiuje osiągnięcia w teatrze małego ekranu, a zwłaszcza te, jak podkreślał Tomasz Miłkowski, prezes polskiej sekcji AICT, które wytyczają nowe ścieżki poszukiwań artystycznych.



Laureatka nagrody Maria Pakulnis i Tomasz Miłkowski, prezes polskiej sekcji AICT.

Laudację wygłosił członek kapituły nagrody Grzegorz Mrówczyński, akcentując wybitne osiągnięcia laureatki nie tylko w wyróżnionej roli. Aktorka ma na koncie kolekcję ponad stu czołowych kreacji teatralnych, filmowych i telewizyjnych.

Maria Pakulnis, dziękując za wyróżnienie, podzieliła się swoimi doznaniami z pracy nad rolą, a także doświadczeniami artystki, która drogę twórczą rozpoczynała w Warszawie, właśnie od „Upiorów" – spektaklu wyreżyserowanego w Teatrze Współczesnym przez Erwina Axera i Macieja Prusa, którzy powierzyli jej rolę Reginy. Historia zatoczyła więc koło. Przyznaną przez AICT nagrodę zadedykowała wszystkim kobietom, które nie boją się mówić prawdy.

W kameralnym spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele Teatru Telewizji: wicedyrektor Wojciech Majcherek i Zbigniew Dziędziel, redaktor telewizyjnej wersji „Upiorów", którzy złożyli artystce gratulacje. Uroczystość była transmitowana w mediach społecznościowych, a jej zapis będzie dostępny na kanale YouTube AICT Polska.

(red.)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (4)

eprasa.pl b3301edd1e

KURTYNA W GÓRĘ

Figura z zaświatów



Phil Olson, „Prezent", tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Aneta Groszyńska-Kącka, Teatr Komedia w Warszawie, premiera 16 października 2025

„Prezent" Phila Olsona, płodnego autora chętnie wystawianego za oceanem, nie wyróżnia się niczym szczególnym na tle innych podobnych utworów o przybyszu z zaświatów. Tym razem jest to gościni, czyli sama Katarzyna Figura jako przedwcześnie zmarła matka dwóch córek i ukochana żona sympatycznego wdowca. Pani duch dostała skierowanie na ten świat, aby wypełnić nie do końca czytelną dla niej misję. Wtedy dopiero będzie mogła korzystać z domniemanych dobrodziejstw życia wiecznego.

Nie trzeba dodawać, że to właśnie obecność Katarzyny Figury, dawno w Warszawie nieoglądanej, jest główną atrakcją tego przedstawienia, zwłaszcza że aktorka przez ponad dwie godziny prawie nie schodzi ze sceny. Z właściwym sobie wdziękiem gra zagubioną zjawę, sprawiając kłopoty córce intelektualistce i pozostałym członkom rodziny. Publiczność dobrze się bawi, bo i reszta obsady spisuje się bez zarzutu, szczególnie Marek Kalita jako wdowiec i Agnieszka Skrzypczak, początkowo oddana bez reszty pasjom zawodowym. Nowa wybranka wdowca grana przez Paulinę Holtz ma coś do ukrycia, a druga córka – w tej roli Julia Banasiewicz – okazuje się niezłym ziółkiem, skoro potrafi wszystkich wyprowadzić w pole, także prostolinijnego Kevina (Filip Lipiecki). Jest więc co oglądać, mimo nieskomplikowanego zarysu opowieści, a dla samego spotkania z Katarzyną Figurą warto spędzić wieczór w pogodnym komediowym nastroju, jak na Komedię przystało.

Tomasz Miłkowski

FABUŁA

Żywy czy martwy,

reż. Rian Johnson, prod. USA, Netflix

Detektyw Benoit Blanc (rewelacyjny Daniel Craig) powraca, aby rozwikłać najbardziej wymagającą zagadkę ze wszystkich. Nie chcemy zdradzać intrygi, więc o trzeciej części serii „Na noże" trzeba pisać wokół fabuły. W każdym razie „Żywy czy martwy" to rzecz o zawieszeniu niewiary, zaufaniu intuicji, trwaniu przy swoich ideałach, empatii wobec poszkodowanych, przełamywaniu konceptów myślowych i przywiązaniu do drugiego człowieka.



Reżyser Rian Johnson gra w swojej lidze i tworzy takie *murder mystery*, że dziś nie ma sobie równych. To bodaj najbardziej samoświadoma część trylogii, trochę opierająca się stereotypom, że zagadka zbrodni na wielkim ekranie musi być „fajna", i kierująca się w mroczniejsze rejony. Johnson sugeruje tu, że popkultura idealizuje zawód detektywa i sam akt morderstwa. W filmie na pewno działa też casting – w obsadzie m.in. Andrew Scott, Josh Brolin, Glenn Close oraz Josh O'Connor – a Johnson potrafi wiele wykrzesać ze swoich aktorów.

Jan Tracz

NA EKRANACH



Eleanor Wspaniała,

reż. Scarlett Johansson, prod. USA, już w kinach

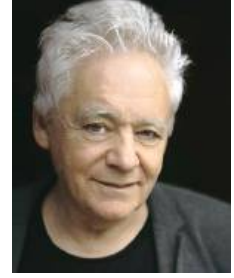
Tytułowa Eleanor faktycznie jest „wspaniała", a debiut reżyserski popularnej aktorki Scarlett Johansson ogląda się niczym najlepsze kino środka. Dramat, który premierę miał jeszcze na Festiwalu Filmowym w Cannes, to nieszablonowa historia Eleanor Morgenstein (brawurowo zagrała ją June Squibb, aktorka 96-letnia, czego na ekranie zupełnie nie widać!). Po śmierci najbliższej przyjaciółki Eleanor przeprowadza się do Nowego Jorku, aby na starość zamieszkać z córką i wnukiem. Kiedy – za sprawą całkowitego zbiegu okoliczności – trafia do grupy wsparcia, pragnie być tam usłyszana i zauważona. Nieco zafałszowuje więc swoją opowieść, aby choć na chwilę znaleźć się w centrum uwagi. To zaś wywoła lawinę konsekwencji nie do zatrzymania. Koniec końców „Eleanor Wspaniała" jest o tym, co najważniejsze, czyli o międzyludzkiej wspólnocie. Której każdy z nas potrzebuje.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAREK ZIMAKIEWICZ, NETFLIX, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b3301edd1e



Oko w oko Tomasz Jastrun

Po latach

Kolacja u Waldka Kuczyńskiego, wybitnego ekonomisty. On i Balcerowicz mają ogromne zasługi w tym, że Polska tak dzielnie wskoczyła w kapitalizm. Waldek był związany z opozycją demokratyczną, tak się poznaliśmy. Niewysoki, mocno utykający na jedną nogę, zawadiacki, odważny, trochę chuligan. Był ministrem w rządzie Mazowieckiego i jego zaufanym doradcą. W sierpniu 1980 r. pojechałem na strajk do Stoczni Gdańskiej, wiozłem list polskich pisarzy i intelektualistów solidaryzujących się ze strajkującymi. Sala BHP jak brzęczący ul, siedzą, kręcą się, pokrzykują delegaci strajkujących z wielu regionów Polski. Pożar strajku stopniowo ogarnia cały kraj. Poznajemy to choćby po przyjeżdżających do stoczni delegacjach z fabryk. Nagle na scenę wbiega 14 ludzi w ciemnych garniturach, przyjechali z Krosna, czyli województwo podkarpackie też płonie. Podchodzi do mnie, dziarsko kuśtykając, Waldek Kuczyński. Cedzi przez zęby: „Ty, k… patrz, to przecież jest rewolucja!". „Chyba dobrze", mówię. „Oszalałeś? Ruskie czołgi na granicy już grzeją silniki".

Miał rację. Byliśmy wszyscy wtedy w jakimś amoku, ale bez niego nie udałoby się dokonać tej bezkrwawej rewolucji. Pytam, co sądzi o wprowadzeniu stanu wojennego, był internowany tej nocy. „Całe szczęście, że został wprowadzony", odpowiada. Kiedyś zabiłbym go za takie słowa. I bez wahania zabiłbym generała. Teraz myślę, że Solidarność parła do zdobycia władzy, dominowali radykałowie, to był już samonapędzający się mechanizm, jak ogromna lokomotywa, której nikt nie powstrzyma. Dobrym znakiem – wspomina Waldek – było już to, że strażnicy tej nocy w więzieniu mówili do nich per pan, a potem oddech ulgi, gdy wystąpił gen. Jaruzelski. Już wiedzieliśmy, że to nie inwazja sowiecka.

A mnie ktoś ostrzegł, krążyłem po Warszawie, budziłem ludzi. Wróciłem do domu po roku. W mieszkaniu czekało na mnie całą noc czterech funkcjonariuszy, jeden w mundurze. Żona weszła do pokoju, gdzie spał nasz synek, za drzwiami znalazła łom. Wyniosła go do salonu. „A co to?", zapytała. Zmieszali się. „Był potrzebny do samochodu", któryś wymamrotał. Wstydzili się, to był bardzo dobry znak.

A po latach miało miejsce oddanie władzy przez generała. O ileż teraz Jaruzelski robi na mnie lepsze wrażenie od prezesa czy Nawrockiego. Nawrocki mówi, że woli Brauna od Tuska, pięknie. Ja znacznie bardziej wolę generała od Nawrockiego. Tak się porobiło (ale to na pewno działanie czasu, dawne łajdactwa kruszą się jak jesienne spadłe liście). Waldek mówi, że Jarosław Kaczyński wyrzeźbił Polskę jak nikt inny. Prawda, ale jak wygląda ta rzeźba! Łatwiej zawsze odłupywać fragmenty, psuć, niż tworzyć. Kraj jest rozłupany na pół, skażony wzajemną nienawiścią, jak na początku stanu wojennego. Napisałem nowelę filmową o nocy stanu wojennego. Na podstawie takiej noweli pisze się potem scenariusz. Mój bohater podobnie jak ja krąży po Warszawie, budzi ludzi, drugi plan akcji to jego mieszkanie, czterech funkcjonariuszy, łom i żona. Znakomity temat, a nie było filmu o tej niezwykłej nocy. Ktoś zdolniejszy ode mnie zrobiłby z tego świetny scenariusz, zainteresowała się tym Agnieszka Holland, ale jeździ teraz po świecie ze swoim Kafką, nie ma kiedy przeczytać mojego tekstu.

•

Znowu w Lanckoronie. Piękna wieś, kiedyś miasto, z ruiną zamku na wzgórzu, z niezwykłym rynkiem, na nim wiele starych drewnianych domów, wykupionych teraz przez przyjezdną inteligencję. Kawiarnie, galerie, niezwykłe miejsce. Na rynku ma też domek Bogdan Frymorgen z Londynu. Odkrył niedawno, że potrafi pisać piękne książki autobiograficzne. Mieszkaliśmy u niego półtora roku temu.

Kraj jest rozłupany na pół, skażony wzajemną nienawiścią, jak na początku stanu wojennego.

Teraz także mieszkam przy rynku, u Zosi Oszackiej, przez dwie kadencje wójt Lanckorony. Mam dla siebie całe piętro domu, niezwykle pięknie urządzone apartamenty, w jasnym, szwedzkim stylu. Obok też piękny domek bliskiej mi Danki Jaworskiej, malarki ze Sztokholmu. Ile w niej jasnej energii! Zaprosiła mnie tu na święto aniołów. Ale mamy oprócz tego interesy malarskie. Wielkie stragany na rynku i wszędzie anioły, również na koniach, anielska husaria.

Mam spotkanie autorskie w starym dworze, pięknie odtwarzanym i remontowanym przez właściciela, miejscowi już nawet nie wiedzieli, że to dawny dwór; teraz kawiarnia, restauracja, wystawy w salach, odsłonięto potężne belki na sufitach. Dużo ludzi na spotkaniu, kilka osób przyjechało specjalnie dla mnie z Krakowa, co mnie wzruszyło, też czytelnicy moich felietonów w naszym tygodniku. Dom Danki bardzo szwedzki, jej mąż Marek, stolarz artystyczny, odnawiał stare szwedzkie meble, więc pełno ich w domu, i stare złote zegary. Przypomniała mi się moja Szwecja, cztery bogate lata. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b3301edd1e



Koncert „Żywioły” w Filharmonii Narodowej. Przy pulpicie dyrygenckim Krzysztof Urbański, w żółtej sukni Agata Szymczewska, prymariuszka Karol Szymanowski Quartet.

Filharmoniczne nowalijki

Testowanie koncertowej sali i publiczności

Bronisław Tumiłowicz

Nowe kierownictwo Filharmonii Narodowej, czołowej polskiej instytucji muzycznej, wprowadza ciekawe i oryginalne obyczaje oraz style kształtowania programu koncertowego. Od dziesięcioleci posługiwano się schematem koncertu, w którym obowiązywał podział na trzy części. Najpierw grano niedługą uwerturę, czyli coś na rozgrzewkę, potem „danie główne” – koncert instrumentalny ze znanym i oczekiwanym solistą wirtuozem. Po tym występie przewidzianych było kilka bisów. Wreszcie, po przerwie, następowała duża forma, czyli symfonia. W ten sposób można było zapełnić cały artystyczny sezon, melomani zaś mogli co tydzień spodziewać się tylko tego, że Mozart zastąpi Beethovena, Chopin Brahmsa, Lutosławski Bartóka itd.

Od września 2025 r. dyrektorem naczelnym FN jest Zofia Zembrzuska, a dyrektorem artystycznym, już drugi sezon, dyrygent Krzysztof Urbański. To oni sprawili, że szablony stopniowo są zastępowane bardziej swobodnymi, a mniej schematycznymi treściami.

Pierwszym krokiem był umieszczony w internecie poradnik dla początkujących słuchaczy „Pierwsza wizyta w Filharmonii”. W przełamaniu obaw przed natrafieniem na bariery w odbiorze mają pomóc specjalne, nieco krótsze, obudowane spotkaniami i rozmowami tzw. koncerty czwartkowe. Kolejnym etapem unowocześniania i uwspółcześniania mają być i będą koncerty tematyczne, z których pierwszy, zatytułowany „Żywioły”, odbył się 12 i 13 grudnia.

Pomysł ułożenia programu wydawał się prosty. Tak jak jednym z największych hitów klasyki są koncerty skrzypcowe Antonia Vivadiego „Cztery pory roku”, podobnie można podejść do innych naturalnych sekwencji naszej rzeczywistości. Krzysztof Urbański wpadł niedawno na pomysł stworzenia programu koncertu zainspirowanego czterema żywiołami: wodą, ogniem, ziemią i powietrzem. „Niech ten wieczór stanie się okazją do wsłuchania się w głosy żywiołów, zarówno tych, które rozbrzmiewają ze sceny, jak i tych, które cicho odzywają się w nas samych”, napisał we wprowadzeniu do tego wieczoru, a koncert był dostępny także w transmisjach w Programie II Polskiego Radia oraz na portalu filharmonia.pl.

Krzysztof Urbański jako jednocześnie pierwszy dyrygent dwóch orkiestr zagranicznych: Berner Symphonieorchester i Orchestra della Svizzera Italiana, złożył u francuskiego kompozytora Guillaume’a Connessona zamówienie na utwór opisujący muzycznie te cztery żywioły. Tak powstała „Symphonie des quatre éléments” (Symfonia czterech żywiołów), którą w odstępie kilku dni wykonano premierowo w stolicy Szwajcarii i stolicy Polski. Atrakcyjna, przystępna dla słuchaczy i niezbyt długa kompozycja została w drugiej części koncertu dodatkowo zilustrowana czterema innymi utworami z czterech różnych okresów: renesansu, impresjonizmu, awangardowego sonoryzmu i quasi-religijnego symbolizmu. Publiczność była zadowolona, choć dla miłośników klasyki orkiestra miała tylko jedno wspaniałe dzieło – poemat symfoniczny „Morze” Claude’a Debussy’ego.

Czy koncertów tematycznych będzie teraz więcej? Zapytaliśmy o to Krzysztofa Urbańskiego. Maestro uśmiechnął się i przyznał, że ma zamiar wprowadzać do repertuaru koncerty tematyczne, ale musi się zorientować, jak publiczność przyjmie pomysł. Obecny koncert jest więc po części testem. A poza tym dyrektor artystyczny testuje akustykę sali Filharmonii Narodowej. Słuchacze przybywający do gmachu przy ulicy Jasnej mogą obserwować, że przy każdym koncercie poszczególne grupy instrumentów są przetasowywane na estradzie. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b3301edd1e

JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY



Wyspa Sint Maarten

TROPIKALNE WAKACJE

Mamy za sobą długie tygodnie szarej jesiennej aury, a ponadto małe szanse na prawdziwą, śnieżną zimę. Niektórzy myślą o ucieczce nad tropikalne morza z białymi plażami, o ciepłych wakacjach w otoczeniu natury. I wcale nie muszą one być drogie, wystarczy się rozejrzeć w propozycjach czarterowych. Do najsłynniejszych kierunków tego typu należą Madagaskar, Kenia czy Zanzibar. Specjalne oferty dla rodzin, między listopadem a marcem, pozwalają spędzić urlop na Mauritiusie, nad turkusowymi lagunami. To od lat symbol dyskretnego luksusu, idealny dla par i rodzin poszukujących elegancji i tropikalnej autentyczności.

Nie mniej atrakcyjna jest Azja Południowo-Wschodnia, czyli Bali, Tajlandia, Wietnam lub Kambodża. A może Karaiby, Meksyk, Kuba, Jamajka czy Honduras?

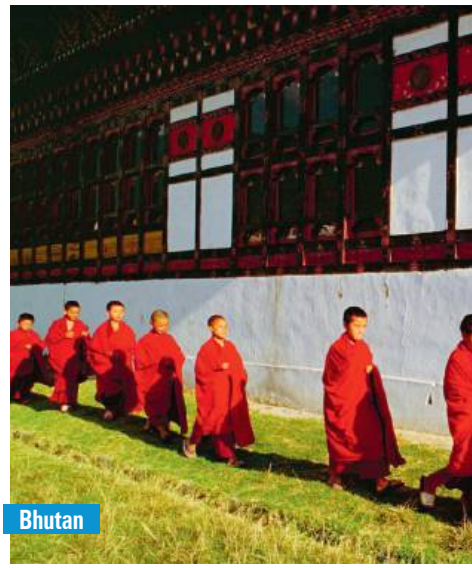
Tym, którzy marzą o egzotycznym sylwestrze, Phuket oferuje idealną zimę: ciepłą, tętniącą życiem i pełną kontrastów. Największa wyspa Tajlandii to mozaika czystych, białych plaż, turkusowych wód, złotych świątyń i kolorowych targowisk. Tutaj tropikalny relaks łączy się z barwnym lokalnym życiem, smakiem owoców morza i romantycznością zachodów słońca.

Każda podróż to chwila piękna, która pozostawia niezatarte wrażenie.

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, autor licznych książek, odkrywca źródła Amazonki; www.palkiewicz.com

eprasa.pl b3301edd1e


Angkor Wat


Bhutan


Szafszawan w Maroku


Dominikana


Malediwy


Namibia

eprasa.pl b3301edd1e





Bora-Bora





Stambuł





Portugalia

ZDJĘCIA: ARCHIWUM J. PAŁKIEWICZA/DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl b3301edd1e



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Schron przeciwświąteczny

Najważniejsze to się nie rozkleić. Po śmierci siostry wiem, że odumarli mnie już wszyscy najbliżsi wierzący; dorosłe dzieci mają swoje rodziny rozproszone po Europie, najmłodszy syn tradycyjnie leci z matką na Karaiby. W tym roku wreszcie mogę spędzić wieczór wigilijny samotnie. Umarli i tak przyjdą, nie ma potrzeby ich przywoływać z pierwszą gwiazdką, której najpewniej i tak widać nie będzie – kiedy słońce zajdzie, i oni zajdą, bez pukania przez drzwi przenikną, przez ściany, i zasiądą przy stole. Lepiej więc nie mieć stołu – duchy lubią zgromadzenia, ale i pustym stołem nie wzgardzą, o okrągłym stoliku nawet nie wspominam, to spirytystyczny kanon.

Lepiej w ogóle być poza domem. Poinhalować żywiczne zapachy w wilgotnym lesie albo obrać sobie pomarańczę gdzieś na polanie; kiedyś rozgniotła się w worku jaskiniowym i cała grota mi zapachniała świętami, choć to był listopad. To tylko bodźce zapachowe, można je sobie dawkować wbrew kalendarzowi, można sobie wywołać święta na poczekaniu. Poprzedzierać się przez ciżbę choinek ozdobionych tylko okiściami, wdrapać się w górach na tyle wysoko, by napotkać śnieg, i to nie ten mokry, odwilżowy, ale biały beton, na którym skrzyć się będzie światło czołówki i skrzypieć będą buty. Wejść choćby i na 2000 m, gdzie zima trzyma tak czy owak, dopaść tej zimy, uświęcić nią ten wieczór świąteczny jak w dziecięcym czasie, kiedy właśnie o zapach igliwia i mróz za oknem chodziło.

Boże Narodzenie było świętem zimy, celebrą ciepłych domowych pieleszy i wspólnoty rodzinnej, w której łatwo się było ogrzać na pohybel siarczystej i ciemnej porze roku. Owóż, dobrze jest zmarznąć, żeby wrócić do ciepła domowego, nawet jeśli domostwo puste, dobrze jest zmęczyć się, aby docenić dach nad głową, książkę na stoliku, płytę na gramofonie, wino w kieliszku (bezalkoholowe, jeśliśmy akurat w fazie suchej) i wymościć się w samoutuleniu. Aby nie było żal, uznać, że to wieczór jak każdy inny, nie pierwsza samotna uroczystość.

Sylwestry samotne są przyjemne, zwłaszcza że nie trzeba się uchlewać, nikt nie zmusza do tańca, można popatrzeć z politowaniem na fajerwerki, odpalane z tęsknoty za wojną (ciekawe, czy kiedy już przejdzie wojna, przemieli nas, przerzedzi nam szeregi, przetrąci kręgosłupy, wciąż będziemy skłonni do odpalania rac i wiwatowania petardami). Urodziny samotne też już niejedne za mną, dawno już niecelebrowane, od kiedy odeszli na zawsze wszyscy, którzy mnie pamiętali jako dziecko, prezentów nie dostaję, gdyby nie brać fejsbukowa, która wysyła życzenia, byłbym nie pamiętał o swoich urodzinach, wszak na co dzień nieczęsto znam datę, jak mi kto każe podpisywać umowę albo się wpisywać do książki czy sztambucha, zawsze pytam, który dzisiaj jest.

Tyle że do Wigilii i świąt trzeba się zawczasu przygotować, wyposażyć swój schron przeciwświąteczny w prowiant na trzy dni, zanim sklepy pozamykają, zgromadzić wiktuały do bunkra, w którym będziemy musieli przeczekać bombardowanie kolęd, podniesionych głosów podchmielonych pasterkowiczów, rytualnych rozanieleń i tych tam wszystkich pozłotek i sreberek mentalnych, które nakłada ludzkość na tych parę dni świątecznego zawieszenia broni.

Jeśli nie ma wiary, a we mnie jej nie ma, zostaje pusty rytuał rodzinnego spotkania, zwłaszcza dla tych, którzy rodzinnego życia nie kultywują na co dzień; odświętna życzliwość zwalnia z obowiązku życzliwości powszedniej – raz do roku ludzie starają się być dla siebie uprzejmi, choć uwiera ich nieszczerość i wymuszoność tej postawy, z tym większą agresją zwracają się ku sobie w okresie poświątecznym. Bukmacherzy powinni przyjmować zakłady, kto z polityków pierwszy wypowie rytualne „nawet świąt nie potrafili uszanować” o swoich adwersarzach.

Bukmacherzy powinni przyjmować zakłady, kto z polityków pierwszy wypowie rytualne „nawet świąt nie potrafili uszanować” o swoich adwersarzach.

Unikać wyzwalaczy wspomnień, choć czasem przychodzą z przypadku – jak portret Ursuli K. Le Guin na okładce grudniowego numeru „Książek. Magazynu do czytania”. Mama jakieś 35 lat temu kupiła od wynędzniałego bukinisty na katowickim dworcu dwa egzemplarze „Czarnoksiężnika z Archipelagu”, przekonana, że to dwa różne tomy, i wręczyła mi je w prezencie. I wtedy się wzruszyłem, i wtedy już wiedziałem, że to jeden z tych momentów, które będę wspomniał rzewnie po jej śmierci, albowiem, jak napisałem w „Gnoju”, dopiero nad grobami okazuje się, żeśmy kochali rodziców za niespełnienia, za to, co się nam wspólnie nie udało, ich gafy wystają z grobu najrzewniej i nie dają się wepchnąć do środka. Najważniejsze to się nie rozkleić. ■

eprasa.pl b3301edd1e

Dyplomacja wigilijna

Oto Polska właśnie! Pytają nas niektórzy, jak wyglądają wigilie na placówkach. Czy pracownicy, będąc czasami kilka tysięcy kilometrów od Polski, mają wspólne wieczerze, czy każda rodzina oddzielnie, w swoim mieszkaniu? Jak to wygląda? Ha! Wygląda po polsku – czyli różnie. Wszystko zależy od ambasadora, dyplomatów, od okoliczności. Nie ma jednego przepisu. Różne są zatem wspomnienia.

Do dziś pamięta się wigilię w Moskwie, na początku lat 90. Zaczęła się dość wcześnie, wiadomo jak, a skończyła tym, że z okna ambasady wyleciało popiersie Lenina. Ech, gdyby po prostu wyleciało – problem byłby średni, ale spadło na zaparkowany pod budynkiem samochód… Tak wyglądała nieprzygotowana, realizowana pod wpływem dekomunizacja.

A np. w Pekinie było inaczej. Najpierw wspólne spotkanie wigilijne, ambasadora z zespołem. Potem wigilia – składkowa, kto się na nią zapisał, ten przyszedł, przyniósł, co miał dobrego (o tych dobrach za chwilę). A na zakończenie – pasterka. W sali w budynku obok basenu. Księża ją celebrowali – oficjalnie studenci w Pekinie, mieszkający w chińskim akademiku, a jednocześnie kapłani, o czym wszyscy, łącznie z gospodarzami, wiedzieli.

To było zresztą dosyć ciekawe, bo odprawiali oni również niedzielne msze, które cieszyły się dużym zainteresowaniem. Na te msze przychodzili nie tylko mieszkający i pracujący w Pekinie Polacy, ale także przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, Włosi, Filipińczycy, dyplomaci z Ameryki Łacińskiej.

Był moment w historii, że Polska była najbardziej katolickim krajem świata, więc to wykorzystywaliśmy. Na przykład w Baku, które Jan Paweł II odwiedził w roku 2002, a katolików mieszka tam kilkuset. Papież modlił się na placu, który prezydent Hejdar Alijew przekazał dzień później polskiej parafii pod budowę kościoła. I był to pierwszy kościół katolicki w stolicy Azerbejdżanu, bo poprzedni został zburzony w roku 1937.

Ale wróćmy do wigilii. Ma ona swoją specyfikę kulinarną i w różnych zakątkach świata nasi dyplomaci stawali na głowie, by być jej jak najbliżej. Tymczasem we wspomnianym Pekinie nie było szans na karpia ani na sernik. Ani na kapustę z grzybami. Szukano więc zamienników. Do karpia podobna w smaku była ryba wąż – tak ją w ambasadzie nazywano. Gorzej z białym serem, bez którego nie zrobi się sernika. Białego sera w Chinach nie ma. Próbowano tego, który można było kupić w sklepach rosyjskich, ale też się nie nadawał, bo za kwaśny i o zbyt dużych ziarnach. A grzyby? Też trzeba było je przywozić z Polski…

I tu kolejna ciekawa sprawa. Otóż ambasady miały niepisaną zasadę: w ostatnich dniach przed Bożym Narodzeniem panie były zwalniane z obowiązków służbowych. Dyżury pełnili mężczyźni. Sporo to mówi o polskich zwyczajach.

Dyplomatów często odwiedzali na święta ich bliscy z Polski. To byli ważni goście. Bo przecież krewni z pustymi rękami nie przyjeżdżali (wiadomo, Polacy), mieli ze sobą tak deficytowe towary jak biały ser, mak czy suszone grzyby. Mak w niektórych krajach jest zabroniony, więc odbierano go jeszcze na pokładzie samolotu, zaraz po wylądowaniu, i przenoszono jako pocztę dyplomatyczną…

I kto powie, że życie polskiego dyplomaty jest usłane różami i nie trzeba kombinować…

Attaché

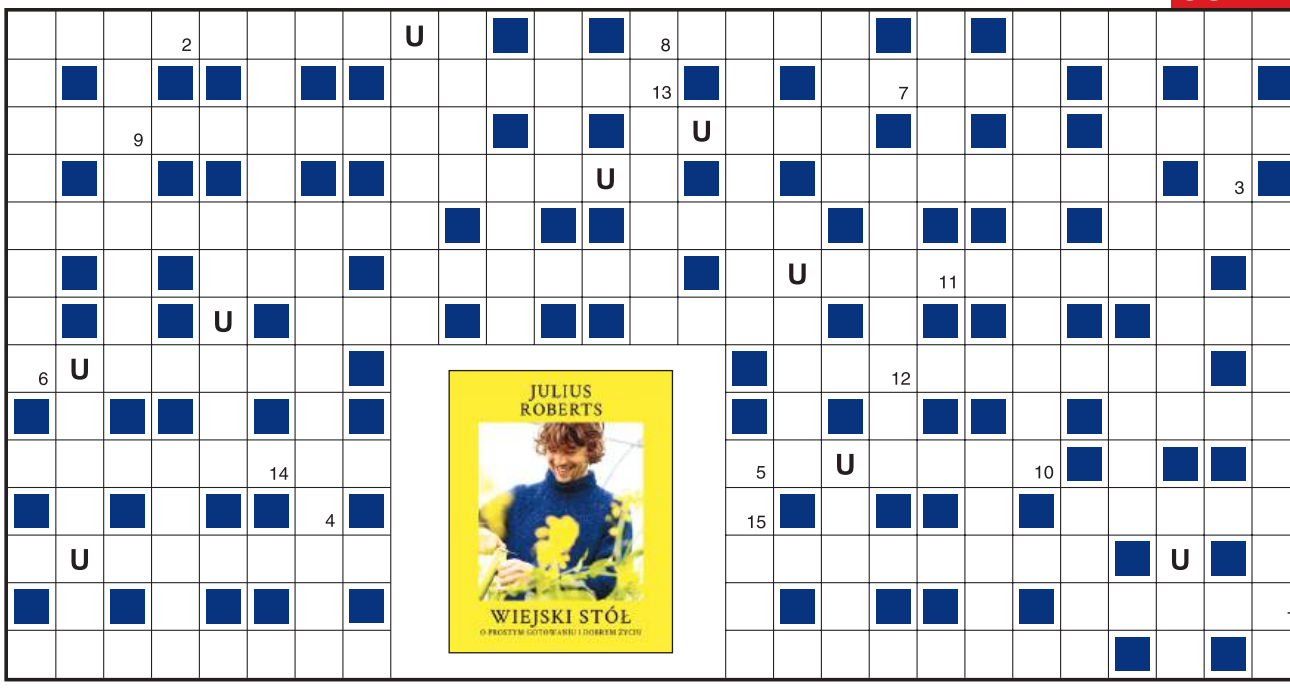


Premier stanu Nowa Południowa Walia Chris Minns odwiedził w szpitalu „bohatera z Sydney". Ahmed al-Ahmed rozbroił jednego z dwóch zamachowców, którzy strzelali do świętujących Chanukę na plaży Bondi w Sydney. 15 grudnia 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b3301edd1e

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- bałkańska pasta z papryki i bakłażanów
- ma ujemny ładunek elektryczny
- zbudowana przez Noego
- sznur do chwytania koni lub jeńców
- …pieczonego ciasta w domu przed świętami
- maszyna licząca, poprzednik kalkulatora
- na uczelni, posła lub Google w telefonie
- Ilona Łepkowska – …scenariuszy
- na pointach i w tutu
- wąż dusiciel
- japońska marka zegarków
- drzewo na fladze Libanu
- powab, wdzięk, urok
- wybuchowy element bomby
- komplement, słodkie słówko
- George… czyli Mary Ann Evans
- ogród pod Atenami siedzibą jego szkoły filozoficznej
- bogini ziemi ze „Złota Renu” Wagnera
- dokonująca zamachów organizacja Basków
- przygląda się ulicznej scenie
- dawni długowłosi buntownicy
- syn Trosa, król Troi
- wyspa z Heklą i Katlą
- zbliżający się okres balowy
- wigilijna ryba
- kumpel, kompan
- do oczu lub walerianowe
- opuszczana w sylwestra na Times Square
- imię reżysera von Triera
- człowiek wybitny, zasłużony
- …ze Wschodu (jeden z trzech)
- śpiewający Czesław, dubbingował bałwana Olafa
- komórka nerwowa
- z fajką lub głębinowe
- wiele ich w kierdlu
- roślinna ozdoba stołu konferencyjnego
- na zebrze lub zebrą nazywane
- zestaw barek ma przed sobą
- przykrycie naczepy
- o językową tekstów dba korekta
- Bolesław Śmiały dla Mieszka I
- elektrycznie sterowany, mechaniczny przełącznik
- leśne koźlę (nie jest dzieckiem łani)
- partyjne niekiedy topnieją
- modna w jakimś okresie piosenka
- …pracz – w Polsce inwazyjny gatunek obcy
- pudełeczko z tytoniem
- zawój z ręcznika na głowie
- wypoczynek pracownika
- Dudziak lub Sipińska
- niewielka wada, niesprawność działania
- fałszywy dzwoni po pieniądze
- gdy jakieś owoce obrodziły
- niewyrośnięta warstwa w cieście
- zaciągana w oknie lub spuszczana milczenia
- słoneczny, biologiczny albo historii
- wielkie publiczne spotkanie
- pierwsza gwiazdka – …by siadać do wigilii

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

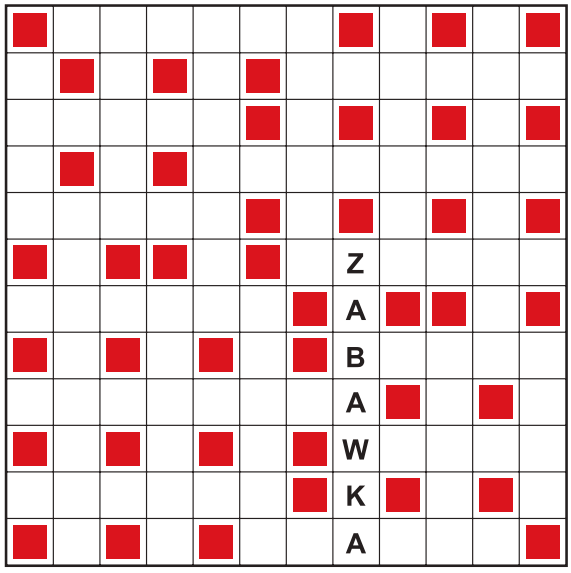
Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1253”. Do rozlosowania książki „Wiejski stół” ufundowane przez Grupę Wydawniczą Foksal. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 grudnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1250” z nr. 49: *Wytrwały zawsze znajdzie drogę.*
Nagrody otrzymują: Marek Grzegorzewski z Lubonia, Wojciech Kołaciński z Kalisza, Teresa Marciniak z Ełku.

eprasa.pl b3301edd1e

JOLKA OD A DO Ż

Każdy wyraz ma inną pierwszą literę – tę, która znajduje się przed objaśnieniem. Liczba w nawiasie informuje, z ilu liter ma on się składać. Jeden wyraz już ujawniono, miejsce pozostałych należy odgadnąć.



A) roślina z wrzosowatych, inaczej rododendron (6)
B) wielki właściciel ziemski na Rusi (5)
C) gęste, dziko rosnące zarośla, krzaki (8)
D) sadysta z piosenki Maryli Rodowicz (8)
E) proces niszczenia skorupy ziemskiej (6)
F) Agnieszka …Perepeczko, Simona w „M jak miłość” (6)
G) wielki, okazały budynek (5)
H) grany z wieży kościelnej lub ratuszowej (6)
I) miękka skóra do czyszczenia, polerowania (5)
J) niejedna rośnie w Puszczy Świętokrzyskiej (5)
K) stare podanie ludowe, baśń (7)
L) miejsce pracy weterynarza (8)
Ł) silny huk, rumor, łomot (6)
M) czynność wykonywana we młynie (8)
N) w powiedzeniu ciągnie wilka do lasu (6)
O) pręt do wygarniania żużlu i popiołu z paleniska (4)
P) ptasie lub stalówka do szkiców, rysunków (6)
R) karczma pechowa dla Twardowskiego (4)
S) Józef, założyciel zespołu SBB (6)
T) ma kolumnę w stolicy Włoch (6)
U) prezydent ją wetuje lub podpisuje (6)
W) narzędzie lub rozgałęzienie utworzone przez rzeki (5)
Z) niejedna dla dzieci pod choinką (7)
Ż) słodkie u Felliniego, podwójne Weroniki u Kieślowskiego (5)

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

	6	8		4		9	5	
								1
				5	3			
	4		6			5	8	
	5			9				
1		9	2				7	6
	9			8			1	
		6	1		4			
	3		5				6	4

WYKREŚLANKA

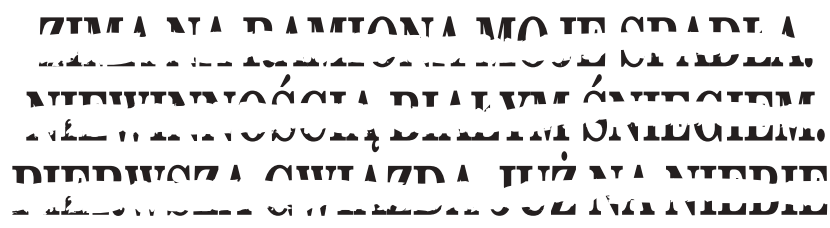
Wykreśl z diagramu podane słowa. Umieszczone są wprost lub wspak poziomo, pionowo, prawoskośnie i lewoskośnie. Nieskreślone litery, czytane kolejno od góry do dołu, utworzą rozwiązanie.

- AGRAFKA
- ALEKSY
- ANEKS
- ANION
- BRYŁKA
- CHARAKTER
- DEMENTI
- ELANA
- FAGOT
- GŁOWICA
- KLINIKA
- KONFEROWANIE
- LESZNO
- MATEMATYKA
- NESTORKA
- ORIENTACJA
- ROMANS
- SADZANIE
- SIECZKARNIA
- ŚMIETNISKO
- TUNEL
- WAHADŁOWIEC

Ś	M	I	E	T	N	I	S	K	O
K	A	F	O	A	U	O	S	R	W
O	B	G	K	L	I	N	I	K	A
N	A	Ł	R	M	E	E	E	N	H
F	R	O	M	A	N	S	C	L	A
E	E	W	U	T	F	D	Z	A	D
R	Ł	I	A	E	E	K	K	N	Ł
O	A	C	N	M	L	R	A	B	O
W	J	A	E	A	O	A	R	F	W
A	I	N	K	T	Z	Y	N	L	I
N	T	M	S	Y	Ł	D	I	A	E
I	R	E	T	K	A	R	A	H	C
E	N	U	A	A	L	E	K	S	Y

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać tekst widoczny tylko częściowo – fragment piosenki, którą wykonują Kayah i Goran Bregović.



Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl b3301edd1e









PENETRACJE

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

W epoce szybkich informacji, kiedy historia nader często zostaje spłaszczona do dat, faktów i bitew, Muzeum Niepodległości staje się przestrzenią zatrzymania. To przestrzeń, w której prowadzimy rozmowę z przeszłością, która wciąż pulsuje w polskiej rzeczywistości. Ideą muzeum nie jest pasywne archiwizowanie, lecz aktywizowanie – inspirowanie pytań: Jak rozumiemy niepodległość? Kto ma prawo mówić „my, Polacy”? Które opowieści milczą, a które dominują? Każdy eksponat to znak, który dopomina się interpretacji; każda wystawa – krok w stronę rekonfiguracji zbiorowej wyobraźni. W tym sensie Muzeum Niepodległości pełni rolę pomostu między historią a teraźniejszością – świadectwa i wyzwania.

PANI

EWA BEM,
WOKALISTKA JAZZOWA

Znalazłam w sobie siłę i zdolność do ciągłego podnoszenia się. Wychodzę na scenę i śpiewam. Publiczność daje mi coś, co trudno opisać – nie tylko oklaski, ale i potężny dopływ ciepła. Czasem myślę, że ludzie doceniają we mnie nie tylko artystkę, lecz także kobietę, która podniosła się po stracie. (…) Pytałam, czy wolno żyć, kiedy serce pękło. Usłyszałam: „Ludzie czekają. Musi pani śpiewać dla nich”. Publiczności potrzeba piosenek, ale też wzoru, że z najczarniejszego dołu da się wyjść. Scena odcina na chwilę ból – nie jak narkotyk, raczej jak świeże powietrze wpuszczone do dusznego pokoju.

na szczycie

PIOTR KILIAN,
GÓRAL Z ISTEBNEJ, PODRÓŻNIK

Wziąłem udział w Wielkim Teście Szarlotek przeprowadzonym w tym roku przez Festiwal Górski w Lądku-Zdroju. Byłem jednym z czterech jurorów. Każdy z nas miał zjeść i ocenić szarlotki na przydzielonym odcinku gór, od Sudetów zaczynając, a na Bieszczadach kończąc. Mnie w udziale przypadły Beskid Mały i Wyspowy, Gorce, Pieniny i Tatry. W ciągu czterech dni odwiedziłem więc wszystkie schroniska w tych pasmach i w każdym zrecenzowałem szarlotkę. Wielkość, smak, zapach, wygląd, serwis, atmosferę miejsca. Najwyżej oceniłem szarlotkę na Hali Ornak. Smakowała mi najbardziej. Natomiast w całym Wielkim Teście pierwsze miejsce zdobyła Szyndzielnia, następne były – już ex aequo – Stacja Turystyczna Orle w Sudetach, schronisko Pod Wysoką Połoniną w Bieszczadach i mój tatrzański Ornak.

VIVA!

ANNA RUSOWICZ,
PIOSENKARKA

Pierwszą płytę nagrałam w 2011 r., a rok później dostałam cztery Fryderyki. Gratulacje, burza w mediach. Jeden z dziennikarzy zadzwonił i mówi, że jest w szoku, bo pogratulował mojemu ojcu (Wojciech Korda), a ojciec powiedział: „Ona wcale nie jest utalentowana, a te Fryderyki to mi się należą”. Przeczytałam to w internecie i rozpłakałam się. Zrozumiałam po raz kolejny, że dla ojca jestem obcą osobą. Zastanawiałam się, dlaczego nienawidzi własnego dziecka. A teraz wiem, że to wypływało z poczucia winy i z tego, że jestem bardzo podobna do mamy i mu ją bardzo przypominałam. Ożywiałam ją jakby.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl b3301edd1e

ROZWIĄZANIA

JOLKA OD A DO Ż

■	F	I	T	K	A	U	■	E	■	L	■
O	■	R	■	L	■	S	K	R	Z	E	K
Ż	Y	C	I	E	■	T	■	O	■	C	■
Ó	■	H	■	C	H	A	S	Z	C	Z	E
G	M	A	C	H	■	W	■	J	■	N	■
■	I	■	■	D	■	A	Z	A	L	I	A
H	E	J	N	A	Ł	■	A	■	■	C	■
■	L	■	A	■	O	■	B	O	J	A	R
D	E	N	T	Y	S	T	A	■	O	■	Z
■	N	■	U	■	K	■	W	I	D	Ł	Y
P	I	Ó	R	K	O	■	K	■	Ł	■	M
■	E	■	A	■	T	R	A	J	A	N	■

SUDOKU

3	6	8	7	4	1	9	5	2
4	7	5	9	6	2	8	3	1
9	1	2	8	5	3	6	4	7
2	4	3	6	1	7	5	8	9
6	5	7	4	9	8	1	2	3
1	8	9	2	3	5	4	7	6
7	9	4	3	8	6	2	1	5
5	2	6	1	7	4	3	9	8
8	3	1	5	2	9	7	6	4

WYKREŚLANKA

S	M	I	E	T	N	I	S	K	O
K	A	F	O	A	U	O	S	R	W
O	B	O	K	L	I	N	K	K	A
N	A	L	R	M	E	E	E	N	H
F	R	O	M	A	N	S	C	L	A
E	E	W	U	T	F	D	Z	A	D
R	Ł	I	A	E	E	K	K	N	Ł
O	A	C	N	M	L	R	A	B	O
W	J	A	E	A	O	A	R	F	W
A	I	N	K	T	Z	Y	N	L	I
N	T	M	S	Y	L	D	I	A	E
I	R	E	T	K	A	R	A	H	C
E	N	U	A	A	L	E	K	S	Y

20% WIDOCZNOŚCI

ZIMA NA RAMIONA MOJE SPADŁA.
NIEWINNOŚCIĄ BIAŁYM ŚNIEGIEM.
PIERWSZA GWIAZDA JUŻ NA NIEBIE.

FABUŁA FILMU



Aby język giętki…

PROF. MAGDALENA FIKUS O GENACH

Żałuję, że nie ma genu zachwytu, który byłby w każdym organizmie, bo to wspaniałe uczucie.

JAN ENGLERT O POLITYKACH

Jestem przerażony, jak ci chłopcy są z siebie zadowoleni. Każdy gra na siebie, choć oficjalnie udaje, że jest inaczej.

KATARZYNA KASIA O PRZEMYSŁAWIE CZARNKU

Mianował się naczelnym troglodytą frontu antyzwierzęcego.

JAN KOMASA O HOLLYWOOD

Spotykam wiele osób, które się tam przeniosły i zarzynając się każdego dnia, desperacko udowadniają sobie i innym, że było warto.

MAGDALENA ZAWADZKA O ROLI BABCI

Wnuczki zapewne zauważają moje wady, ale mam nadzieję, że także zalety.

MAŁGORZATA SOCHA O MĘŻU

Jest absolutnie wspierający, dmucha mi w skrzydła, ale jednocześnie sprowadza na ziemię.

LENA GÓRA O JANIE P. MATUSZYŃSKIM

Jest bardzo rzemieślniczy i bardzo nieefekciarski, wysublimowany, skupiony.

EWA PAJOR O KONTAKTACH Z LUDŹMI

Zawsze byłam bardzo cichą osobą. Nie jestem typem osoby, która wchodzi do szatni i od razu rozkręca imprezę.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

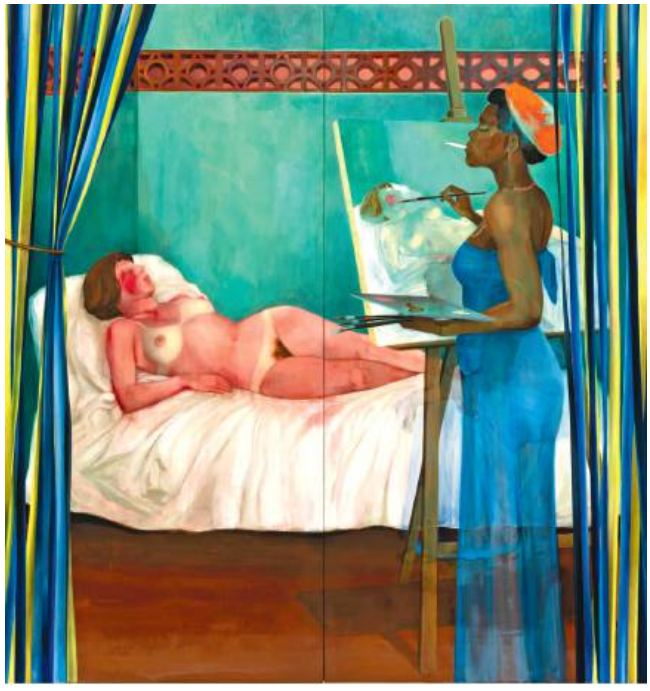
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY

eprasa.pl b3301edd1e



Lisa Brice, Bez tytułu (za Vallottonem)



Lubaina Himid, Amfitryta

Miasto kobiet

To wielowątkowa wystawa ukazująca bogactwo postaw, strategii i języków współczesnej oraz historycznej sztuki feministycznej. Projekt tworzy mozaikę perspektyw, konfrontuje różne sposoby myślenia o feminizmie: od politycznego i aktywistycznego, przez krytyczny wobec utrwalonych kategorii tożsamościowych, po bardziej analityczny. Prezentowane prace odnoszą się zarówno do ugruntowanych tematów badań nad sztuką tworzoną przez artystki, jak i do aktualnych napięć społecznych, ekologicznych i politycznych. „Miasto kobiet" otwiera pole do refleksji nad tym, jak różnorodne formy feministycznej sztuki wzmacniają polityczną wyobraźnię i pozwalają myśleć o równości jak o dynamicznym, niejednorodnym procesie, a nie abstrakcyjnym postulacie.

Muzeum Sztuki Nowoczesnej
Warszawa, ul. Marszałkowska 103
do 3 maja



Anna Güntner, Nieśmiały narzeczony



Betty Tompkins, Kobiety słowa (Artemisia Gentileschi #2)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE (3), © BETTY TOMPKINS/IAN EDQUIST

eprasa.pl b3301edd1e

SEZON 2025/2026

REPERTUAR TCN

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. **15:00 – 19:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. **15:00 – 17:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: **662 155 960**
MAILOWO: **KASA@E-AT.EDU.PL**
OD WT. DO PT. W GODZ. **11:00 – 19:00**
W WEEKENDY W GODZ. **13:00 – 17:00**
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

STYCZEŃ 2026

DON GIOVANNI
REŻ. CEZARY TOMASZEWSKI

07	08	09	10	
ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	PIĄTEK 19:00	SOBOTA 19:00	SCENA GŁÓWNA

SCHODY, SCHODY, SCHODY
REŻ. WOJCIECH FARUGA

13	14	15	
WTOREK 19:00	ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	SCENA GŁÓWNA

RÓZIA
REŻ. JACEK BRACIAK

16	17	
PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

SŁABI
REŻ. MARCIN HYCNAR

23	24	
PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

Fot. Zuzanna Mazurek

Akademia Teatralna Warszawa

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd, nami

Partnerzy Teatru: kicket

eprasa.pl b3301edd1e



Recital kabaretowy

ARTUR ANDRUS

z zespołem

18.01
Stodoła
Warszawa

SALON WOLNOŚCI



KLEYFF I WIELKIE NIE WIEM
ORAZ PRZYJACIELE

3 MARCA KLUB STODOŁA



6 MARCA

RENATA PRZEMYK

KLUB STODOŁA WARSZAWA



WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET

24.03.2026

KLUB STODOŁA WARSZAWA

dEUS
presents

WORST CASE VERSUS IN A BAR

13.04.26

KLUB STODOŁA | WARSZAWA PL



5.05

koncert promujący nowy album

UlaNova

URSZULA DUDZIAK

TEATR ROMA • WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl b3301edd1e